

AGATHA CHRISTIE

PRZEZNACZENIE

PRZEŁOŻYŁA MONIKA STRUPIŃSKA

TYTUŁ ORYGINAŁU NEMESIS

1.

PRZYGOTOWANIE

Jane Marple popołudniami zwykle zabierała się do czytania kolejnej gazety. Pierwszą, jeśli oczywiście przychodziła na czas, czytała, sącząc poranną herbatę. Pocztę dostarczano do jej domu każdego ranka. Chłopiec, który ją roznosił, wybitnie niewłaściwie pojmował czas” Często zresztą pojawiał się ktoś nowy zastępujący go. Każdy z nich miał indywidualne podejście do geograficznego rozkładu tras. Może urozmaicało im to monotonię pracy. Jednakże niektórzy odbiorcy, przyzwyczajeni do wczesnego czytania gazet, jeszcze przed wyjściem do pracy i wychwytywania co pikantniejszych szczegółów, denerwowali się, gdy poczta nie przychodziła o właściwej porze. Aczkolwiek kobiety w średnim wieku i starsze matrony, prowadzące raczej spokojne życie w St.Mary Mead, nie miały nic przeciwko przeglądaniu prasy dopiero przy śniadaniu.

Tego dnia Marple przejrzała pierwszą stronę, jak go nazwała, dziennika „Wszystko i nic”. To ironiczne określenie miało swoje uzasadnienie. Po zmianie właściciela gazety zniknęły z niej wszystkie ważne doniesienia, może tylko z wyjątkiem pierwszej strony. Na dalszych trzeba było ich żmudnie szukać. Marple, będąc osobą starej daty, lubiła, gdy gazety informacyjne dostarczały przede wszystkim informacji.

Skończywszy podwieczorek, Marple oddała się dwudziestominutowej drzemce, zagłębiona w wysokim fotelu, specjalnie w tym celu zakupionym, który doskonale zaspokajał potrzeby jej reumatycznego krzyża. Następnie otworzyła Timesa. Te gazetę traktowała raczej jako rozrywkę. Nie dlatego, że pismo to nie było już tym czym dawniej, ale dlatego, że nie można było w nim nic znaleźć. Nie wystarczało dokładne przestudiowanie pierwszej strony, żeby szybko trafić na najbardziej interesujące artykuły. Teraz gazeta, która zdawałoby się, szanowała czas, zawałona była niezwykle przerywnikami. Ni stad, ni zowąd pojawiały się nagle dwie strony upstrzone zdjęciami, traktujące całkowicie o podróżach na Capri. Obecnie znacznie więcej uwagi poświęcano wydarzeniom sportowym. Nekrologi i kronika sądowa stały się bardziej zrutynizowane. Wzmianki o narodzinach, zgonach i ślubach, które dawniej przyciągały uwagę Marple ze względu na ich centralne usytuowanie, powędrowały gdzieś dalej, jak ostatnio zauważyła, na sam koniec gazety.

Marple zatrzymała się trochę dłużej przy wiadomościach z pierwszej strony. Były one powieleniem tego, co czytała już w gazecie porannej, no może tylko podane w bardziej dostojnym stylu. Przejrzała spis treści: artykuły, komentarze, nauka, sport. Jak zwykle, zaczęła czytać gazetę od ostatniej strony. Szybko przejrziała listę narodzin, ślubów i zgonów, aby przejść następnie na stronę poświęconą korespondencji z redakcją, gdzie zawsze znajdowała coś zabawnego. Następnie przejrziała wiadomości z domów aukcyjnych. Zwykle znajdował się tam również krótki artykuł naukowy, ale Marple nigdy nie starała się go czytać; rzadko kiedy mogła dopatrzeć się jakiegoś sensu. Znowu przerzuciła kartki na ostatnią stronę i, jak zwykle, pomyślała: „To przykre, niestety, że w naszym wieku interesujemy się już tylko zgonami”.

Przejrzała też listę nowo narodzonych dzieci. Marple nie знаła ich nawet z imienia. Może, gdyby była kolumna poświęcona wnukom, Marple mogłaby się mile zdziwić i wykrzyknąć: „Nie do wiary, Mary Prendergast ma trzecią wnuczkę!” Ale i to było już chyba niemożliwe. Szybko więc przebiegła wzrokiem przez śluby, gdyż córki czy synowie jej starych przyjaciółek pobrali się już dawno. Dłużej zatrzymała się przy zgonach, tak aby nie ominąć żadnego nazwiska: Alloway, Angopastro, Arden, Barton, Bedshaw, Burgoweisser (ależ to niemieckie nazwisko, a zdaje się, że pochodził z Leeds), Carpenter, Camperdown, Clegg. Clegg? Czy to jeden z Cleggów, których znała? Nie, chyba nie. Janet Clegg. Gdzieś w Yorkshire. McDonald, McKenzie, Nicholson, Nicholson? Nie. Chyba to też nie ten, którego znała. Ogg, Ormerod. „To pewnie jedna z ciotek” — pomyślała. Linda Ormerod. Nie, tej nie znała. Quantril? O Boże. To musi być Elizabeth! Osiemdziesiąt pięć lat! Niesamowite. Sądziła, że umarła już kilka lat temu. Czyżby żyła aż tak długo? Zawsze była taka delikatna. Nikt nie przypuszczał, że dożyje tego wieku. Race, Radley, Rafiel. Rafiel? Zaraz, zaraz... To nazwisko wydało się jej znajome. Belford Park, Maidstone. Nie, nie mogła sobie przypomnieć takiego adresu. Nie składać kwiatów Jason Rafiel. Tak, imię niezbyt popularne. Gdzieś je słyszała. Ross-Perkins. To może być... nie, raczej nie. Ryland. Emily Ryland. Nigdy o niej nie słyszała. Szczerze oddany mat i kochające dzieci — głosił podpis. Tak, to bardzo miłe... albo bardzo smutne. Zależy, jak na to spojrzeć.

Marple odłożyła gazetę. Leniwie przeglądając hasła krzyżówki, zastanawiała się, dlaczego stale powraca jej na myśl nazwisko Rafiel.

— Przypomnę sobie — powiedziała Marple, znając już doskonale pracę umysłu starszych ludzi — Na pewno sobie przypomnę. Wyjrzała przez okno do ogrodu. Po chwili wróciła spojrzeniem do pokoju. Usilnie starała się nie myśleć o ogrodzie. Swego czasu był on dla niej źródłem wielkiej radości, ale też i wielkiej pracy przez wiele, wiele lat. Teraz, niestety, wskutek przewrażliwienia lekarzy, zabroniono jej pracy w ogrodzie. Kiedyś próbowała złamać ten zakaz, ale w końcu postanowiła postępować zgodnie z zaleceniami

Ustawiła fotel w taki sposób, aby wyglądanie przez okno było utrudnione, ale możliwe, gdyby jednak zdecydowała się to uczynić. Westchnęła, podniosła koszyk z wełną i wyciągnęła mały dziecienny sweterek. Robótka była już na ukończeniu, zostały jeszcze tylko rękawy. Najnudniejsza część: dwa rękawy, oba takie same. Tak, to bardzo nużące.

Jaskrawa, różowa wełna. Różowa wełna! Chwileczkę, z czym to się jej kojarzyło? Ależ tak! Z nazwiskiem z gazety. Różowa wełna, błękitne morze. Morze Karaibskie, piaszczysta plaża, słońce, ona robiąca na drutach i... ależ oczywiście! Pan Rafiel. To ta podróż na Karaiby, hotel St.Honore, zafundowana jej przez kuzyna Raymonda. Pamięta jak Joan, jej kuzynka, upominała: „Ciociu Jane, tylko nie wplącz się znowu w jakieś morderstwo. To nie służy twemu zdrowiu”.

Wcale nie chciała wplątywać się w żadne morderstwo, ale to po prostu samo się jej zdarzało. To wszystko. Jakiś starszy major ze sztucznym okiem nalegał, aby opowiedziała swoją długą i nudną historię. Biedny major. Jak on się nazywał? Już zapomniała. Pan Rafiel i jego sekretarka pani... pani Walters. Tak, Esther Walters i jego masażysta Jackson. Wszystko sobie teraz przypomniała. Tak, tak. Biedny pan Rafiel. Zdawał sobie sprawę, że niedługo umrze. Rozmawiał z nią o tym. I tak żył dłużej, niż przewidywali lekarze. Był silnym, upartym człowiekiem... i bardzo bogatym. Marple rozmyślała, automatycznie poruszając drutami. Starła się przypomnieć sobie wszystko, co miało związek z panem Rafielem. A był to człowiek, którego trudno zapomnieć. Bez większych trudności mogła przywołać w pamięci jego obraz. Tak, bardzo silna osobowość, trudny człowiek, denerwujący, czasami szokująco niegrzeczny. Jednak nikt nigdy nie czuł się urażony jego opryskliwością, ponieważ był bogaty. O tak, bardzo bogaty. Towarzyszyli mu stale sekretarka i służący, wykwalifikowany masażysta. Zawsze potrzebował kogoś do pomocy.

„Dziwny człowiek ten służący–pielęgniarski” — pomyślała Marple. Pan Rafiel często bardzo źle się z nim obchodził. A on nie wydawał się kiedykolwiek tym dotknięty. Oczywiście dlatego, że pan Rafiel był tak bogaty. „Nikt nie zapłaciłby mu nawet połowy tego co ja — mawiał pan Rafiel. — I on o tym wie. Ale trzeba przyznać, że dobrze wypełnia swoje obowiązki”.

Marple zastanawiała się, czy Jackson (może Johnson) pracował dla pana Rafiela do końca, czyli jeszcze gdzieś około roku. Roku i chyba trzech, czy czterech miesięcy. Raczej nie. Pan Rafiel był człowiekiem lubiącym zmiany. Ludzie szybko go nudzili swoimi twarzami, głosami, zachowaniami. Marple doskonale to rozumiała. Ona czasem też to odczuwała, na przykład w stosunku do swojej dawnej gosposi — miłej, usłużnej kobieciny o miękkim szczebiotliwym głosiku, który doprowadzał ją do szału.

— Och! — westchnęła — Co za ulga, że... o Boże, znowu zapomniałam jej nazwiska. Bishop? Nie, oczywiście, że nie Bishop. Skąd mi to przyszło do głowy? Ach, jakie to wszystko trudne!

Znowu pomyślała o panu Rafielu i o Johns..., ależ nie, to nie był Johnson tylko Jackson, Arthur Jackson.

— Och! — westchnęła znowu. — Zawsze przekręcam nazwiska. Oczywiście, miałam na myśli Knight, a nie Bishop. Dlaczego pomyślałam, że nazywała się Bishop... Ach, no przecież, szachy! Figury szachowe: konik i goniec*. Następnym razem nazwę ją pewnie Castle albo Rook, chociaż nie była osobą zdolną do oszukiwania innych.* Absolutnie nie. A jak się nazywała ta miła sekretarka pana Rafiela? Ach tak, Esther Walters. Ciekawe, co się z nią dzieje? Czy otrzymała coś w spadku? Przypuszczam, że tak. Pan Rafiel, jak pamiętam, coś o tym wspominał... och, jak sprawy potrafią się gmatwać, gdy człowiek

stara się zapamiętać wszystko dokładnie! Pani Walters bardzo mocno przeżyła to, co się wydarzyło na Karaibach, ale prawdopodobnie, już doszła do siebie. Chyba była wtedy w domu. Mam nadzieję, że powtórnie wyszła za mąż, za kogoś miłego, na kim można polegać. Aczkolwiek to mało prawdopodobne. Esther Walters miała talent do wiązania się z niewłaściwymi mężczyznami.

Marple wróciła myślami do pana Rafiela: Nie składać kwiatów. Nie dlatego, że chciała sama wysłać mu kwiaty. Mógł wykupić wszystkie szklarnie w Anglii, gdyby tylko chciał, poza tym nie byli w tak zażyłych stosunkach. Nie byli nawet dobrymi znajomymi. Ich stosunki można było określić jako partnerskie. Jakie tu pasuje słowo? Sojusznicy? Tak, sojusznicy. Przez bardzo krótki czas, który obfitował w emocjonujące wydarzenia. Był partnerem, którego warto mieć. Wiedziała o tym dobrze, gdy wtedy, na Karaibach, biegła w ciemną tropikalną noc i nagle wpadła na niego. Tak, pamięta, że miała na sobie różowy wełniany szal zawiązany wokół głowy. Spojrzał na nią i tylko się uśmiechnął. Później powiedziała coś, co go rozbawiło. Ale pod koniec już się nie śmiał. Nie, zrobił to, co mu poradziła i w ten sposób...

— Och! — westchnęła Marple. — To wszystko było takie podniecające, naprawdę — myślała.

Nigdy o tym nie opowiedziała ani kuzynowi, ani drogiej Joan, gdyż zrobiła to, przed czym ją stale ostrzegano. Potrząsnęła lekko głową.

— Biedny pan Rafiel. Mam nadzieję, że nie cierpiał — powiedziała cicho.

Prawdopodobnie opiekowali się nim najlepsi lekarze, dawali środki znieczulające, łagodząc ostatnie chwile cierpienia. Wtedy, na Karaibach, męczył się strasznie. Ból go nie opuszczał. Dzielny człowiek. Żałowała, że odszedł, bo chociaż by! niedołężny i w podeszłym wieku, świat dużo stracił przez jego śmierć. Zastanawiała się, jakim człowiekiem był w pracy. Na pewno bezwzględny, opryskliwy, władczy i agresywny. Atakował wszystko i wszystkich, ale mimo to był dobrym przyjacielem, a gdzieś głębiej, człowiekiem o wielkiej wrażliwości, co starał się zresztą ukrywać. To mężczyzna, którego podziwiała i szanowała. Miała nadzieję, iż nie żałował, że umiera i opuszcza ten świat. Jego zwłoki pewnie ulegną kremacji i zostaną złożone w jakimś pięknym marmurowym grobowcu. Nie wiedziała nawet, czy był żonaty. Nigdy nie mówił ani o żonie, ani o dzieciach. Samotnik. A może życie dostarczało mu tylu wrażeń, że nigdy nie odczuwał samotności?

Siedziała tak dłuższy czas, wspominając pana Rafiela. Nigdy nie myślała, że po powrocie do Anglii zobaczy go i rzeczywiście nigdy to się nie stało. Jednocześnie w jakiś dziwny sposób był jej bliski. Czy przez to, że wspólnie uratowali komuś życie? A może łączyła ich inna więź?

— Czyżby... — uświadomiła sobie nagle. — Czyżby więzią łączącą nas była bezwzględność? Czy Jane Marple kiedykolwiek była bezwzględna? — Przeraziła się. — Czy to możliwe? To niesamowite, nigdy o tym nie myślałam. Cóż, wydaje mi się, że mogłabym być bezwzględna — powiedziała głośno Marple.

Drzwi nagle otworzyły się i ukazała się w nich głowa o ciemnych kręconych włosach. Cherry, następczyni pani Bishop, czy też panny Knight.

— Czy pani coś mówiła? — spytała Cherry.

— Mówiłam do siebie — odparła Marple. — Zastanawiałam się po prostu, czy mogłabym być bezwzględna.

— Co? Pani? Nigdy! Pani jest samą uprzejmością.

— A jednak — powiedziała Marple — wydaje mi się że w pewnych okolicznościach potrafiłabym być bezwzględna.

— W jakich?

— Jeśli w grę wchodziłaby sprawiedliwość.

— A rzeczywiście, zauważyłam to w pani zachowaniu w stosunku do małego Gary'ego Hopkinsa — zgodziła się Cherry. — Wtedy, gdy złapała go pani na torturowaniu kota. Nigdy nie podejrzewałabym pani o taką reakcję. Był śmiertelnie przerażony. Z pewnością zapamięta to sobie do końca życia.

— Mam nadzieję, że nie będzie torturował już więcej kotów.

— W każdym razie upewni się, że nie ma pani w pobliżu. Nie widziałam jeszcze tak przerażonego chłopca. Patrząc na panią, spokojnie robiącą na drutach te śliczne rzeczy, każdy pomyślałby, że jest pani łagodna jak baranek. Ale czasami zamienia się pani w lwicę, jeśli coś panią wyprowadzi z równowagi.

Marple nie wyglądała na osobę przekonaną. Nie całkiem zgadzała się z obrazem siebie samej, jaki przedstawiła Cherry. „Czy kiedykolwiek”... — zatrzymała się na chwilę, przywołując na myśl pewne zdarzenia: to ciągle rozdrażnienie spowodowane panią Bishop, Knight Naprawdę, nie powinna przekręcać nazwisk w ten sposób. Ale jej irytacja przejawiała się jedynie w postaci ironicznych uwag. Lwice raczej nie używają ironii. Nie ma w nich nic ironicznego. Prężą się do skoku, ryczą i wyciągają pazury, którymi prawdopodobnie wyszarpują całkiem niezłe kawałki ze swej ofiary.

— Naprawdę, nie wydaje mi się — rzekła Marple — abym kiedykolwiek zachowywała się w ten sposób.

Tego wieczora, gdy przechadzała się wolno po ogrodzie, z charakterystycznym dla niej narastającym uczuciem niepokoju, znowu przyszło jej na myśl porównanie do lwicy. Spowodowane to było widokiem kwiatu lwiej paszczy. Ciągle powtarzała George'owi, że chce mieć w swym ogrodzie tylko szare kwiaty, a nie ten okropny odcień purpury, który tak fascynuje ogrodników.

— Szaro-żółte — powiedziała głośno Marple.

Nagle usłyszała głos dochodzący z drugiej strony płotu okalającego trawnik.

— Przepraszam, pani mówi do mnie?

— Ach, mówiłam do siebie, niestety — wyjaśniła Marple, spoglądając na nieznajomą. Była to obca dla niej kobieta, mimo że znała prawie wszystkich w SL Mary Mead. Jeśli nie osobiście, to chociaż z widzenia. Tęga, ubrana w starą, ale porządną tweedową spódnicę i robocze buty, w szmaragdowy pulower i ręcznie robiony wełniany szal.

— W moim wieku to się zdarza — dodała Marple.

— Bardzo piękny ogród — zauważyła kobieta.

— Już nie taki piękny jak kiedyś — powiedziała Marple. — Gdybym mogła sama o niego dbać.

— Tak, wiem, co pani czuje. Przypuszczam, że pani ogrodnik to jeden z tych starych niedołęgów — mam dla nich wiele innych, raczej wulgarnych określeń — którzy uważają,

że wszystko wiedzą najlepiej. Nieraz może mają rację, ale w gruncie rzeczy to całkowicie ignoranci. Przychodzą, popijają ciągle herbatkę, a pielają jedynie od czasu do czasu. Niektórzy są całkiem sympatyczni, ale wszyscy działają mi na nerwy. Sama też jestem zapalonym ogrodnikiem.

— Pani tu mieszka? — zapytała zaciekawiona Marple.

— Wynajmuję pokój u pani Hastings. Zdaje się, że wspominała mi kiedyś o pani. Pani nazywa się Marple, czy tak?

— Tak.

— Ja pomagam przy drobnych pracach w ogrodzie. Nazywam się Bartlett — przedstawiła się kobieta. — Niewiele jest tu pracy. Zajmuję się między innymi roślinami jednorocznymi. Nic, czym można by się dokładnie zająć — powiedziała, ukazując w uśmiechu rząd zębów. — Pomagam także przy zakupach i innych pracach. Gdyby pani chciała, znalazłabym dla pani ogrodu ze dwie godziny. Mogłabym więcej zdziałać niż niejeden zawodowy ogrodnik.

— U mnie to raczej lekka praca — powiedziała Marple. — Przede wszystkim lubię kwiaty. Warzywami się nie zajmuję.

— Przy warzywach pomagam pani Hastings. Nudne, ale konieczne. No, muszę już iść.

— Prześliznęła się wzrokiem po Marple, jakby chciała utrwalić jej obraz w pamięci.

Skinęła radośnie głową i odeszła ciężko stąpając.

Hastings. Marple nie mogła przypomnieć sobie nikogo o tym nazwisku. Z pewnością nie była to żadna z jej starych przyjaciółek ani też żadna z wielbicielek ogrodów. Ach, to pewnie jedna z tych z nowo wybudowanych domów na końcu ulicy Gibraltar. Ostatniego roku wprowadziło się tam kilkanaście rodzin. Marple westchnęła i ze złością spojrzała na lwie paszcze. Zauważyła kilka chwastów i nagle zatęskniła do pielenia. Z przyjemnością zaatakowałyby sekatorem rozrastające się pijawki. Odetchnęła i opanowawszy mężnie pokusę, zrobiła tylko rundkę dookoła ogrodu i wróciła do domu. Bezustannie myślała o panu Rafielu. Przypomniała sobie wiersz z czasów młodości Statki przepływające nocą, który doskonale pasuje na określenie ich związku, gdy się bliżej nad tym zastanowić.

Statki przepływające nocą... Tamtej nocy przyszła do niego prosić... nie — żądać pomocy. Nie było chwili do stracenia. Zgodził się i natychmiast podjął działanie. A może wtedy zachowywała się jak lwica? Absolutnie nie. Nie gniew odczuwała wtedy. Był to przymus zrobienia czegoś, co było niezbędnie konieczne. I on to zrozumiał.

Biedny pan Rafiel. Jeżeli przyzwyczało się do jego opryskliwości, można było go uznać za całkiem przyzwoitego człowieka. Nie! Pan Rafiel nigdy nie był przyjemny. No cóż, powinna przestać o nim myśleć.

Statki przepływające nocą, porozumiewają się ze sobą.

Tylko światło i daleki odgłos w ciemności.

Raczej nigdy więcej o nim nie wspomni. Może tylko sprawdzi, czy jest jakieś wspomnienie o nim w Timesie, ale to mało prawdopodobne. Nie był żadną znaną osobistością, lecz jedynie bogatym człowiekiem. Oczywiście, o wielu osobach zamieszczano w gazecie wspomnienia tylko z racji ich bogactwa. Jednakże bogactwo pana Rafiela należało do innego rodzaju. Nie był sławnym przemysłowcem czy bankierem. Przez całe swoje życie robił po prostu wielkie pieniądze.

2.

HASŁO: NEMEZIS

Tydzień po śmierci pana Rafiela Marple, przeglądając poranną pocztę, wśród jakichś rachunków i pokwitowań, natknęła się na list, który niezmiernie ją zainteresował: stempel pocztowy Londynu, adres napisany na maszynie, długa elegancka koperta. Marple starannie rozcięła ją nożykiem, który zawsze miała pod ręką. Nadawcą był Urząd Notarialny i Adwokacki — „Broadribb & Schuster” z adresem w Bloomsbury. W urzędowo-grzecznościowym stylu proszono ją o zgłoszenie się do biura w przyszłym tygodniu, w celu przedyskutowania propozycji, która może okazać się dla niej interesująca. Proponowano czwartek, dwudziestego czwartego. Jeśli data ta nie odpowiadałaby jej, miała zaproponować dzień, w którym będzie mogła przyjechać do Londynu. Wyjaśniono także, że list wystano z polecenia pana Rafiela, z którym, jak rozumiano, Marple była zaprzyjaźniona.

Marple zmarszczyła brwi nieco zdziwiona. Rozmyślając nad otrzymanym listem, powoli uniosła się z fotela. Po korytarzu krążyła jak zwykle Cherry, zawsze gotowa pomóc jej w zejściu po schodach, które były strome i mocno kręcone.

— Bardzo się o mnie troszczysz, Cherry — zauważyła Marple.

— Muszę — odrzekła Cherry. — Trudno teraz znaleźć porządnego człowieka.

— Dziękuję za komplement — powiedziała Marple, stawiając ostrożnie nogę na ostatnim schodku.

— Wszystko w porządku? — zapytała Cherry. — Wygląda pani na trochę podnieconą.

— Otrzymałam dość niezwykły list z urzędu adwokackiego.

— Chyba nie podano pani do sądu? — zaniepokoiła się Cherry, która uważała, że listy od adwokatów wiążą się zawsze z jakimś nieszczęściem.

— Och, nie. Nic w tym rodzaju. Poproszono mnie tylko, żebym zgłosiła się do nich w przyszłym tygodniu.

— Może dostała pani spadek — zawołała Cherry z nadzieją w głosie.

— To raczej mało prawdopodobne.

— Nigdy nic nie wiadomo.

Sadowiąc się na krześle, Marple wyjęła robótkę ze specjalnego haftowanego woreczka i zaczęła myśleć o możliwości otrzymania spadku. Ale w tej chwili wydało się to jej jeszcze mniej prawdopodobne, niż gdy wspominała o tym Cherry. Pan Rafael nie był człowiekiem szczodrym.

Nie mogła zjawić się w umówionym dniu. Brała wtedy udział w spotkaniu w Instytucie Kobiet, na temat zbiórki pieniędzy na dobudowanie kilku dodatkowych pokoi. Napisała więc list, proponując inną datę. Odpowiedź ostatecznie potwierdzająca spotkanie przyszła natychmiast. Marple zastanawiała się, jak też wyglądają panowie Broadribb i Schuster. List podpisał J.R. Broadribb, który najwyraźniej był szefem. A może jednak pan Rafael zapisał jej w testamencie jakiś drobiazg, na pamiątkę ich znajomości. Może książkę o rzadkich okazach kwiatów, którą miał w swojej bibliotece i myślał, że zainteresuje starszą panią zafascynowaną ogrodami, może broszkę w kształcie kamei, należącą do jego przodków. Bawiła się tymi domysłami, które pozostały tylko domysłami,

gdyż tego rodzaju rzeczy zostałyby wysłane pocztą przez wykonawców testamentu. Nie proszono by jej na rozmowę.

— No, cóż — westchnęła Marple — wszystkiego dowiem się w przyszły wtorek.

*

— Ciekaw jestem, jak ona wygląda? — zwrócił się Broadribb do Schustera, spoglądając na zegar ścienny.

— Powinna zjawić się za piętnaście minut — zauważył Schuster.

— Jak myślisz, będzie punktualnie?

— Raczej tak, to starsza pani i, jak sędzę, bardziej obowiązkowa niż te dzisiejsze roztrzepane młodziki.

— Szczupła czy tęga? Broadribb potrząsnął głową.

— Czy Rafael nigdy ci jej nie opisywał? — zapytał Schuster.

— Był wyjątkowo mało konkretny we wszystkim, co jej dotyczyło.

— Cała ta sprawa jest bardzo dziwna. Gdybyśmy tylko wiedzieli coś więcej.

— To może mieć związek z Michaeliem — zasugerował Broadribb.

— Po tylu latach? Niemożliwie. Co spowodowało, że tak myślisz? Czy on o czymś ci wspominał?

— Nie. Nie powiedział nic, co ułatwiłoby mi działanie. Wydał tylko polecenia

— Uważasz, że stał się ekscentrykiem?

— Nie, w żadnym razie. Umysłowo funkcjonował świetnie, jak zawsze. Jego fizyczne dolegliwości nigdy nie miały wpływu na psychikę. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy zarobił kolejne dwieście tysięcy funtów. Ot, tak po prostu.

— Kierował się szóstym zmysłem — stwierdził Schuster z szacunkiem. — Niewątpliwie miał talent

— Wielki umysł finansowy — potwierdził Broadribb melancholijnie. — Niestety, niewielu jest takich jak on.

Zadzwoił telefon. Schuster podniósł słuchawkę. Kobięcy głos oznajmił:

— Przyszła pani Jane Marple na umówione spotkanie. Schuster spojrział na kolegę i wyczekująco uniósł brwi.

Broadribb skinął głową.

— Proszę wprowadzić — odrzekł Schuster. — Teraz wszystko się wyjaśni.

Marple weszła do pokoju. Przywitał ją szczupły mężczyzna w średnim wieku o melancholijnym wyrazie twarzy. To zapewne pan Broadribb, którego wygląd zewnętrzny zaprzeczał nazwisku.

Towarzyszył mu nieco młodszy mężczyzna o obfitych kształtach, czarnych włosach, przenikliwych oczach i podwójnym podbródku.

— Mój współpracownik, pan Schuster.

— Mam nadzieję, że nie zmęczyła się pani zbyt wchodzeniem po schodach — powiedział Schuster. — „Ma chyba z siedemdziesiąt... może osiemdziesiąt lat” — pomyślał.

— Zawsze brakuje mi tchu, gdy wchodzę po schodach.

— To stary budynek — tłumaczył się Broadribb — brak tu windy. Jesteśmy starą firmą i nie przywiązujemy wagi do nowoczesnego wyposażenia wnętrza, jak prawdopodobnie oczekują tego nasi klienci.

— Pokój jest bardzo przyjemny — powiedziała uprzejmie Marple.

Usiadła na krześle. Schuster wycofał się dyskretnie.

— Mam nadzieję, że pani wygodnie — powiedział Broadribb. — Zastonię trochę okna, żeby nie raziło pani słońce.

— Dziękuję — odparła z wdzięcznością Marple. Siedziała wyprostowana, jak miała to w zwyczaju. Ubrała się w lekki tweedowy kostium ozdobiony sznurem pereł. Na głowie miała welwetowy toczek. Broadribb, patrząc na nią, pomyślał: „Prowincjuszka, w pozytywnym znaczeniu. Roztrzepana starsza pani, ale niekoniecznie. Całkiem bystre spojrzenie. Ciekawe, gdzie ją Rafiel poznał. Może ciotka ze wsi?” Rozmyślał i jednocześnie prowadził uprzejmą rozmowę o pogodzie, o fatalnym wpływie ostatnich przymrozków, wypowiadając przy tym inne stosowne uwagi.

Marple grzecznie odpowiadała, spokojnie czekając, aż rozmowa zejdzie na właściwy temat.

— Pewnie zastanawia się pani, dlaczego panią wezwaliśmy — zaczął Broadribb, przekładając w rękę kilka kartek i uśmiechając się uprzejmie. — Słyszała pani, niewątpliwie, o śmierci pana Rafiela?

— Tak, przeczytałam notatkę w gazecie — odparła Marple.

— Rozumiem, że był pani znajomym.

— Po raz pierwszy spotkałam go rok temu... w Indiach Zachodnich.

— Tak, pamiętam. Pojechał tam ze względów zdrowotnych. Ten wyjazd może mu pomógł, ale już wtedy czuł się bardzo źle.

— O, tak — potwierdziła Marple.

— Znała go pani dobrze?

— Nie, raczej nie. Byliśmy tylko sąsiadami w hotelu. Rozmawialiśmy kilka razy. Po powrocie do Anglii więcej już go nie spotkałam. Mieszkam poza miastem, a przypuszczam, że pan Rafiel był całkowicie pochłonięty pracą.

— Prowadził interesy, aż do... No tak, można by powiedzieć, aż do samej śmierci — powiedział Broadribb. — Wspaniały umysł biznesmena.

— Och, z pewnością — rzekła Marple. — Szybko zorientowałam się, że to niezwykle człowiek.

— Czy domyśla się pani, a może pan Rafiel wcześniej pani wyjaśnił, czego dotyczy propozycja, którą mam pani przedstawić?

— Nie mam pojęcia, jakiego rodzaju propozycję mógł mieć dla mnie pan Rafiel. To dziwne.

— Bardzo panią szanował.

— To miło z jego strony, ale trudno mi to zrozumieć — zdziwiła się Marple. — Jestem prostą kobietą.

— Jak pani zapewne wiadomo, pan Rafiel zostawił ogromny majątek. Testament jest jasny i krótki. Już przed śmiercią wydał dyspozycje dotyczące podziału majątku, ustalił spadkobierców i tym podobne.

— To chyba zwykła procedura. Nie znam się na sprawach spadkowych.

— Celem naszego spotkania jest powiadomienie o pieniądzech, które mamy pani przekazać pod koniec roku, pod warunkiem jednak, że przyjmie pani pewną propozycję. Broadribb sięgnął do szuflady biurka, wyjął długą, zapieczętowaną kopertę i podał ją Marple.

— Lepiej, jeśli pani sama zapozna się z treścią listu. Proszę się nie spieszyć. Mamy czas.

Marple wzięła kopertę i rozcięła brzegi. List napisany był na jednej kartce papieru maszynowego. Przeczytała go dwukrotnie i spojrzała na Broadribba.

— To wszystko jest bardzo niejasne. Czy mógłby pan przybliżyć mi tę sprawę?

— Niestety, nie. Miałem tylko dostarczyć list i ujawnić sumę zapisu. Wynosi ona dwadzieścia tysięcy funtów, bez podatku spadkowego.

Marple siedziała nieruchomo wpatrzona w niego. Zdziwienie odebrało jej mowę.

Broadribb również milczał, obserwując ją uważnie. Robiła wrażenie wyraźnie zaskoczonej. Niewątpliwie była to ostatnia rzecz, którą spodziewała się usłyszeć.

Broadribb zastanawiał się, jakie będą jej pierwsze słowa. Patrzyła mu prosto w oczy z uporczywością charakterystyczną dla jednej z jego ciotek. Gdy przemówiła, zabrzmiało to jak oskarżenie:

— Wielka suma pieniędzy.

— Już nie taka jak dawniej. — Ledwie powstrzymał się, aby nie powiedzieć, że dzisiaj to tyle, co kot napłakał.

— Muszę przyznać, że jestem szczerze zdumiona — oznajmiła Marple. Wzięła do ręki list i jeszcze raz przeczytała.

— Zna pan szczegóły? — spytała.

— Tak, pan Rafael osobiście mi go dyktował.

— I nic panu nie wyjaśnił?

— Niestety, nie.

— Ale zapewne prosił go pan o to? — Głos Marple zabrzmiał cierpko.

— Owszem, dokładnie tak. Sugerowałem, że może mieć pani trudności w zrozumieniu, o co mu chodziło.

— Nadzwyczajne.

— Oczywiście, nie musi pani decydować się natychmiast.

— Tak, chciałabym się zastanowić.

— Jak pani zauważyła, jest to duża suma pieniędzy.

— Jestem stara — powiedziała Marple. — Jak to mówią: starsza pani, ale stara jest lepszym określeniem. Zdecydowanie stara. Przypuszczając, że podejmę się tej sprawy, mogę nie dożyć końca roku i nie otrzymam pieniędzy.

— Nigdy nie należy gardzić pieniędzmi — stwierdził Broadribb.

— Mogłabym wspomóc instytucje charytatywne, poza tym zawsze są ludzie, którym chciałoby się pomóc, a własne fundusze na to nie pozwalają. Nie ukrywam też, że każdy ma pewne zachcianki i marzenia, których nie jest w stanie zrealizować. Myślę, że pan Rafael doskonale wiedział, iż stworzenie takich możliwości, sprawi starszej osobie wielką przyjemność.

— To prawda — zgodził się Broadribb. — Albo wycieczka za granicę, jeden z tych fantastycznych wyjazdów, których tyle się dziś organizuje; teatry, koncerty, możliwość zapelnienia półek w spiżarni.

— Moje potrzeby są skromniejsze — powiedziała Marple. — Kuropatwy... — zamyśliła się. — Bardzo trudno dzisiaj o kuropatwy i są takie drogie. Z przyjemnością zjadłabym jedną i to całą na raz. Albo pudełko mrożonych kasztanów, na które nigdy nie było mnie stać. A może wieczór w operze? Ale to pociąga za sobą koszt taksówki do Covent Garden i z powrotem oraz koszt jednej nocy w hotelu... Dość już tych marzeń. Wezmę list ze sobą i pomyślę nad nim. Naprawdę nie wiem, co skłoniło pana Rafaela... Nie domyśla się pan skąd ta propozycja i dlaczego uważał, że właśnie ja mogłabym mu pomóc? Chyba zdawał sobie sprawę, że od naszego ostatniego spotkania minęły prawie dwa lata i mogę być w znacznie gorszej kondycji fizycznej, niezdolna do wykorzystania tych niewielu talentów, których się we mnie dopatrywał. Ryzykował. Myślę, że znalazłoby się wiele innych osób bardziej odpowiednich do przeprowadzenia tego rodzaju badań.

— Mówiąc prawdę, też tak uważam, ale wybrał panią. Proszę wybaczyć moją ciekawość, czy była pani kiedyś... nie wiem jak mam to wyrazić, zamieszana w sprawę kryminalną lub związana z jakimś dochodzeniem?

— Ściśle mówiąc, nie, to znaczy nie zawodowo. Nigdy nie byłam opiekunem społecznym młodocianych przestępców ani też sędzią pomocniczym, ani w jakikolwiek inny sposób związana z agencją detektywistyczną. Mogę tylko panu wyjaśnić, co powinien zrobić pan Rafael, kiedy podczas naszego pobytu w Indiach Zachodnich zostaliśmy wplątani w morderstwo, które tam się wydarzyło. Nieoczekiwane i bardzo zagmatwane.

— I wspólnie rozwiązaliście tę sprawę.

— Wyraziłabym to w inny sposób — powiedziała Marple. — Pan Rafael, siłą swej osobowości, i ja, po złożeniu kilku oczywistych faktów w logiczną całość, zapobiegliśmy następnemu morderstwu. Nie udało by się to, gdybyśmy działali oddzielnie. Ja byłam zbyt słaba, a pan Rafael ciężko chory. Można powiedzieć: byliśmy sojusznikami.

— Chciałbym zadać pani jeszcze jedno pytanie: Czy słowo. Nemezis coś pani mówi?

— Nemezis — powtórzyła i na jej twarzy pojawił się uśmiech. — Tak i to bardzo dużo. Mnie i panu Rafaelowi. Był mocno rozbawiony, gdy określiłam tak siebie.

Broadribb nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Spojrzał na Marple z tym samym zdumieniem na twarzy, co pan Rafael wtedy, w pokoju nad Morzem Karaibskim.

Sympatyczna starsza pani, inteligentna, ale żeby od razu bogini sprawiedliwości?

— Pan też jest zaskoczony? Marple podniosła się z krzesła.

— Jeśli otrzyma pan jakieś dalsze instrukcje w tej sprawie, z pewnością powiadomi mnie pan, prawda? To niezwykle, że pan Rafael niczego bliżej nie wyjaśnił. W tej sytuacji zupełnie nie wiem, co mam robić.

— Nie zna pani jego rodziny, przyjaciół?

— Nie. Jak mówiłam, był tylko towarzyszem podróży zagranicznej. Byliśmy związani jedną zagadkową sprawą. To wszystko. — Podeszła do drzwi, nagle odwróciła się i spytała:

— Czy to naruszy tajemnicę spadkową, jeśli spytam, czy pan Rafael zostawił coś swojej sekretarce, pani Esther Walters?

— Zapisy, których dokonał, ukaza się w prasie — poinformował Broadribb. — Tak, pani Walters otrzymała pięćdziesiąt tysięcy funtów. Obecnie nazywa się Andersen, wyszła za mąż.

— Bardzo się cieszę. Była wdową, miała córkę. Znakomita sekretarka, doskonale rozumiała pana Rafiela. Miła kobieta. Cieszę się, że otrzymała spadek.

Tego wieczoru Marple siedząc w swoim wysokim fotelu z nogami wyciągniętymi w stronę kominka, w którym paliło się — na Anglię, jak zwykle niespodziewanie, nadeszła fala chłodu — wyjęła dokument z długiej koperty i ciągle jeszcze nie wierząc, zaczęła czytać: Do rąk pani Jane Marple zamieszkałej w miasteczku St Mary Mead.

Ten list zostanie doręczony pani po mojej śmierci za pośrednictwem mojego prawnika Jamesa Broadribba. Zatrudniłem go w sprawach spadkowych dotyczących mojego życia prywatnego. Jest solidnym i zaufanym adwokatem. Niestety, jak większość rasy ludzkiej, cierpi na niezdrową ciekawość. Nie zaspokoilem jej. Z wielu względów sprawa ta pozostanie tylko między nami. Naszym hasłem jest: Nemezis. Nie zapomniała pani chyba, w jakim miejscu i w jakich okolicznościach po raz pierwszy pani je wypowiedziała. W trakcie czynności zawodowych, podczas mojego długiego życia, nauczyłem się zatrudniać ludzi, których charakteryzuje pewna cecha: jest nią intuicja, szósty zmysł, który pomaga im w wykonywaniu zleconej pracy. Nie jest to wiedza ani doświadczenie. Po prostu wewnętrzny dar efektywnego działania.

Pani, moja droga — jeśli mogę użyć tego określenia — ma intuicję w sprawach związanych ze sprawiedliwością. Ma pani intuicyjną zdolność wykrywania przestępcy. I właśnie dlatego chciałbym, aby pani zajęła się jednym przestępstwem. Zapisalem pewną sumę, która zostanie przekazana w całości do pani dyspozycji, jeśli przyjmie pani moją propozycję i wyświetli tę sprawę. Daję pani rok na wypełnienie tej misji. Nie jest pani młoda, ale — jeśli mogę tak powiedzieć — twarda. Myślę, że mogę zaufać losowi, iż pozwoli pani przeżyć jeszcze jeden rok.

Sądzę, że praca, którą pani zlecam, nie będzie zbyt męcząca. Ma pani wrodzony dar rozwiązywania zagadek. Niezbędne fundusze, które można określić jako koszty prowadzenia śledztwa, zostaną przekazane w trakcie dochodzenia, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. Propozycja ta może zmienić pani dotychczasowy tryb życia.

Wyobrażam sobie, że siedzi teraz pani w wygodnym fotelu przystosowanym do dolegliwości, na które prawdopodobnie się pani skarży. Wszystkie osoby w starszym wieku cierpią na ten czy inny rodzaj reumatyzmu. Jeśli ta dolegliwość umiejscowiła się w kręgosłupie lub nogach to trudno się pani poruszać i głównie spędza pani czas, robiąc na drutach. Widzę panią, jak tamtej nocy, gdy poderwałem się z łóżka obudzony wołaniem o pomoc... otoczona kłębkami różowej wełny.

Wyobrażam sobie, jak dzierga pani sweterki, chustki i mnóstwo innych rzeczy, których nazw pewnie nawet nie znam. Jeśli postanowi pani kontynuować ten rodzaj spędzania czasu, jest to pani decyzja. Jeśli woli pani służyć sprawiedliwości, mam nadzieję, że zainteresuje się pani moją propozycją.

„Niech sprawiedliwość wystąpi jak woda z brzegów
I prawość jak potok nie wysychający wyleje”

Amos*

3.

MARPLE PODEJMUJE DZIAŁANIE

1

Marple przeczytała list trzy razy, po czym odłożyła na bok i zaczęła zastanawiać się nad jego sensem. Właściwie nie było w nim żadnych konkretnych informacji. Pewnych szczegółów mogłaby dowiedzieć od pana Broadribba, ale wiedziała, że nic takiego się nie zdarzy.

Nie pasowałoby to do planu pana Rafiela. Ale, jak u licha pan Rafael mógł liczyć na to, że zajmie się sprawą, o której nie ma najmniejszego pojęcia. To intrygujące. Po kilku minutach doszła do wniosku, że właśnie o to chodziło panu Rafaelowi. Wróciła myślami do czasów znajomości z nim, wspominając jego chorobę, napady złości, błyskotliwość, okazjonalnie dobry humor. Lubił bawić się ludźmi. Lubił, czego dowodził ten list, żartować sobie z ciekawości pana Broadribba.

W liście, który do niej napisał, nie było nic, co dawałoby jej jakąkolwiek wskazówkę, o co w tym wszystkim chodzi. W niczym jej nie pomógł. „Ale pan Rafael pewnie nie chciał jej pomóc” — pomyślała. Miał inny plan. Jednakże nie mogła zaczynać, nic nie wiedząc. Można to było porównać do rozwiązywania krzyżówki bez haseł. Muszą być jakieś wskazówki. Musi wiedzieć, co ma robić, dokąd się udać, czy też rozwiązywać ten problem, siedząc w fotelu. A może pan Rafael chciał, aby pojechała statkiem lub poleciała samolotem do Indii Zachodnich, Ameryki Południowej lub w inne miejsce?

Miała dwa wyjścia: samej zdobyć informacje, albo czekać na ich otrzymanie. Być może uważał, że jest wystarczająco zdolna, żeby zgadnąć, o co mu chodziło. Ależ to niemożliwe, aby tak myślał.

— Jeśli tak uważa — powiedziała na głos Marple — to jest starym draniem... to znaczy, był.

Ale naprawdę wcale tak nie myślała.

— Na pewno otrzymam jakieś instrukcje — przekonywała samą siebie. — Tylko jakie i kiedy?

Wtedy uświadomiła sobie nagle, że mówi tak, jakby przyjęła propozycję. Jeszcze raz powiedziała głośno, jakby pan Rafael stał przed nią:

— Wierzę w życie pozagrobowe. Nie wiem dokładnie, gdzie pan się znajduje, ale nie mam żadnych wątpliwości, że gdzieś pan jest. Zrobię co w mojej mocy, aby spełnić pańskie życzenia.

2

Trzy dni później Marple napisała do Broadribba krótki list:

Szanowny panie Broadribb!

Rozważyłam przedstawioną mi propozycję. Uprzejmie zawiadamiam, że zdecydowałam się ją przyjąć. Zrobię wszystko, aby spełnić prośbę pana Rafiela, chociaż nie jestem pewna, czy mi się to uda. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy w ogóle będzie to możliwe. Nie otrzymałam w liście żadnych wskazówek. Jeśli ma pan jakiegokolwiek informacje, byłabym

wdzięczna za przesłanie ich, ale skoro nie uczynił pan tego do tej pory, na nic nie liczę. Sądzę, że pan Rafael był w pełni władz umysłowych, gdy umierał. Wydaje mi się, że mogę spytać: czy był ostatnio zamieszany w jakąś sprawę kryminalną, w życiu zawodowym lub prywatnym? Czy nie zauważył pan, aby pan Rafael był czymś poruszony? Jeśli tak, prosiłaby m o informacje. Czy może ktoś z jego rodziny lub przyjaciół doznał nieprzyjemności, padł ofiarą bezprawnej działalności lub czegoś w tym rodzaju? Jestem pewna, że pan domyśla się, dlaczego zadaje te pytania. Zresztą pan Rafael pewnie oczekiwał, że to uczynię.

3

Broadribb pokazał list Schusterowi, który odchylił się do tyłu na krześle i zagwizdał.

— No i co, przyjęła propozycję? Energiczna staruszka. — Po chwili dodał: — Ale chyba nie bardzo wie, o co chodzi w tym wszystkim, prawda?

— Wydaje mi się, że nie bardzo — zgodził się Broadribb.

— Szkoda, że my też nie wiemy. A swoją drogą, to był dziwny facet.

— Trudny człowiek.

— Nie mam zielonego pojęcia, a ty?

— Też nie — odpowiedział Broadribb. — Pan Rafael nie chciał, abym cokolwiek rozumiał.

— Wszystko utrudniał — stwierdził Schuster. Nie ma nawet cienia szansy, aby jakaś starsza kobiecina z małego miasteczka była w stanie zrozumieć myśli zmarłego i wyjaśnić, jakie fantazje go męczyły. Chyba nie chciał jej oszukać, a może to rodzaj żartu? Albo chciał udzielić przykrych lekcji tej staruszce, która uważała się za nie wiadomo kogo?

— Nie wydaje mi się. Rafael nie był człowiekiem tego rodzaju.

— Czasem zachowywał się bardzo przewrotnie — zauważył Schuster.

— Owszem, ale... Myślę, że tę sprawę traktował poważnie. Wyraźnie czymś się martwił. Jestem pewny, że coś go męczyło.

— Nie powiedział ci o tym?

— Nie, zupełnie nic.

— Więc jak, do diabła, mógł oczekiwać, że... — Schuster zawiesił głos.

— Ale czego on mógł oczekiwać od niej? — zastanawiał się Broadribb.

— Według mnie to czysty żart.

— Dwadzieścia tysięcy funtów to dużo pieniędzy.

— Tak, ale jeśli zakładał, że jej się nie uda?

— Nie byłby tak perfidny. Musiał dać jej szansę zrobienia lub znalezienia czegoś, cokolwiek by to było.

— A co my mamy robić?

— Czekać — odpowiedział Broadribb. — Czekać i patrzeć, co będzie dalej. Musi się w to jakiś sposób rozwiązać.

— Masz chyba dalsze listy z instrukcjami?

— Drogi Schusterze. Pan Rafael miał do mnie bezgraniczne zaufanie, a także do mojej dyskrecji i do mojego postępowania etycznego jako prawnika. Te instrukcje zostaną ujawnione, ale tylko w pewnych warunkach, które jeszcze nie nastąpiły.

— I nigdy nie nastąpią — zakończył dyskusję Schuster.

Broadribb i Schuster mieli to szczęście, że rozciągała się przed nimi perspektywa rozkwitu życia zawodowego. Marple była w zupełnie innej sytuacji. Robiła na drutach, rozmyślała i chodziła na spacer, za które zresztą często była strofowana przez Cherry.

— Wie pani, co powiedział doktor. Nie wolno się pani przemęczać.

— Chodzę bardzo wolno — rzekła Marple. — Poza tym, nic nie robię. Nie kopię, nie piekę, po prostu stawiam jedną nogę przed drugą i rozmyślam.

— A o czym pani tak rozmyśla? — zainteresowała się Cherry.

— Sama chciałabym wiedzieć — powiedziała Marple i poprosiła ją o przyniesienie jeszcze jednego szalika, gdyż zerwał się przejmujący wiatr.

— Zastanawiam się, co ją trapi — powiedziała Cherry do męża, stawiając przed nim talerz z ryżem i cynaderkami. — Obiad po chińsku — oznajmiła.

— Z każdym dniem stajesz się coraz lepsza kucharką — rzekł z aprobatą.

— Martwię się o nią. Martwię się, bo i ona się martwi. Otrzymała list, który bardzo zaprzęta jej myśli.

— Ona po prostu potrzebuje spokoju — stwierdził mąż Cherry. — Powinna wypożyczyć nowe książki z biblioteki, zaprosić przyjaciół na kawę i pogawędkę.

— Chyba w coś się zaangażowała. Zachowuje się tak, jakby miała rozpocząć jakąś działalność. Tak mi się wydaje.

Przerwała, wzięła tacę z kawą i zaniósła do pokoju Marple.

— Czy znasz kobietę o nazwisku Hastings, podobno gdzieś tu mieszka w pobliżu? — spytała Marple. — I niejaką panią Bartlett?

— Ma pani na myśli ten odnowiony dom na końcu miasteczka? Mieszkają tam od niedawna. Nie wiem, jak się nazywają, poza tym nie są zbyt interesujące. A dlaczego pani pyta?

— Czy są ze sobą spokrewnione?

— Chyba nie. Po prostu znajome.

— Zastanawiam się, dlaczego...

— Dlaczego, co?

— Nic. Czy mogłabyś uprzątnąć mi stolik, podać pióro i papier listowy. Chcę napisać list.

— Do kogo? — zaciekawiała się Cherry.

— Do siostry pastora — wyjaśniła Marple. — Pani Canon Prescott.

— Tej, którą spotkała pani w Indiach Zachodnich? Pokazywała mi pani jej zdjęcie w albumie.

— Tak, właśnie.

— Ale czuje się pani dobrze? Pisząc list do pastora i...

— Wyjątkowo dobrze — zapewniła Marple. — Zamierzam zająć się pewną sprawą. Pani Prescott może być mi pomocna,

Droga pani Prescott — pisała Marple. — Mam nadzieję, że nie zapomniała pani o mnie.

Spotkałyśmy się wraz z pani bratem w Indiach Zachodnich, na St. Honore. Mam nadzieję, że brat pani czuje się dobrze i nie cierpi na astmę, jak zeszłego roku w te zimne dni.

Piszę do pani z prośbą o przysłanie mi adresu pani Walters, Esther Walters, którą może pani pamiętać z pobytu na Karaibach.

Była sekretarką pana Rafiela. Dała mi wtedy swój adres, ale niestety, gdzieś go zapodziałam. Zamierzam do niej napisać w związku z jej problemami dotyczącymi ogrodnictwa, których nie mogłam wtedy rozwiązać. Słyszałam, że wyszła powtórnie za mai. Może pani mogłaby udzielić mi więcej informacji?

Mam nadzieję, że nie sprawię pani zbyt wiele kłopotu. Serdecznie pozdrawiam panią i pani brata.

Z poważaniem

Jane Marple.

Po napisaniu listu Marple poczuła się znacznie lepiej. — Przynajmniej coś robię — powiedziała. — Nie liczę na wiele, ale może czegoś się dowiem.

Pani Prescott odpisała natychmiast, to bardzo energiczna kobieta.

Nie miałam ładnych informacji bezpośrednio od pani Walters, ale tak jak pani słyszałam, że powtórnie wyszła za mąż. Nazywa się teraz Alderson czy też Anderson. Mieszka w Winslow Lodge niedaleko Alton, w Hants. Mój brat przesyła pani pozdrowienia.

Szkoda, że mieszkamy tak daleko od siebie. My w północnej Anglii, a pani w Londynie.

Ale mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości dane nam będzie spotkać się.

Z poważaniem

Joann Prescott

Winslow Lodge, Alton — zapisała na kartce Marple. — „To nawet niedaleko stąd — pomyślała. — Mogłabym zamówić taksówkę u Incha. Sama nie wiem, od czego zacząć? Ale to raczej szalony pomysł. A jeśli wizyta okaże się owocna? Można to będzie wliczyć w koszty dochodzenia. Czy powinnam ją zawiadomić wcześniej, czy też zdać się na los? Chyba lepiej będzie zaufać losowi. Biedna Esther. Nie wspomina mnie z życzliwością”. Marple zagłębiła się w myślach. Jej działalność na Karaibach prawdopodobnie uratowała życie Esther Walters. Tak uważała Marple. Esther Walters miała na to zupełnie inny pogląd.

— Przyjemna osoba — powiedziała cicho Marple. — Całkiem sympatyczna, ale należy do tych kobiet, które bardzo łatwo łączą się z niewłaściwymi mężczyznami. Wyszłyby na mordercę, jeśliby tylko stworzyć im taką możliwość. A jednak, wydaje mi się — kontynuowała jeszcze bardziej zniżając głos — że uratowałam ją od śmierci. Jestem tego pewna, lecz Esther na pewno by się z tym nie zgodziła. Chyba bardzo mnie nie lubi, to utrudnia wykorzystanie jej jako źródła informacji. Nie zaszkodzi jednak spróbować. To lepsze niż siedzieć tu i czekać. Czy pan Rafiel bawił się ze mną, pisząc ten list? Nie zawsze był sympatyczny. Potrafił zupełnie nie liczyć się z ludzkimi uczuciami.

— No, cóż. — Marple spojrzała na zegar i zdecydowała położyć się już do łóżka. — Rozważania tuż przed snem mogą doprowadzić do całkiem nieoczekiwanych rozwiązań. Może i tym razem się uda.

— Dobrze pani spała? — spytała Cherry, stawiając przed Marple tacę z herbatą.

— Miałam dziwny sen — odparła Marple.

— Koszmar?

— Nie, nic w tym rodzaju. Rozmawiałam z kimś, kogo nie znam. Po chwili, gdy spojrzałam na tą osobę okazało się, że to nie jest ta osoba, z którą zaczęłam rozmowę. Bardzo dziwne.

— Rzeczywiście niesamowite.

— To mi się z czymś kojarzy, a raczej z kimś, kogo znałam. Mogłabyś zamówić mi taksówkę u Incha na wpół do dwunastej?

Pierwszym właścicielem taksówki był pan Inch. Po jego śmierci odziedziczył ją czterdziestoczteroletni syn. Inch-junior rozwinął interes, zakupując dwa używane samochody i garaż. Po jego śmierci przyszedł nowy właściciel. Od tego czasu szyld głosił: „Samochody Pipsa, taksówki Jamesa i wypożyczalnia pojazdów Arthura”. Mimo to, starzy mieszkańcy ciągle używali nazwiska Incha.

— Chyba nie wybiera się pani do Londynu?

— Nie. Zjem lunch w Haslemere.

— Cóż nowego pani wymyśliła? — spytała podejrzliwie Cherry.

— Moim zadaniem jest spotkać się z kimś przypadkiem, tak aby to wyglądało zupełnie naturalnie. Trudna sprawa, ale może się uda.

Piętnaście po jedenastej przyjechała taksówka. Marple wydała Cherry instrukcje:

— Zadzwoń pod ten numer i zapytaj, czy pani Anderson jest w domu. Jeśli ona odbierze, powiedz, że jesteś sekretarką pana Broadribba. Jeśli wyszła, dowiedz się kiedy wróci.

— Tak.

— Spytaj, którego dnia w przyszłym tygodniu mogłaby spotkać się z panem Broadribbem w Londynie. Wszystko dokładnie zanotuj.

— Po co to wszystko? Dlaczego pani chce, żebym to ja zadzwoniła?

— Pamięć działa w bardzo dziwny sposób — rzekła Marple. Nieraz pamięta się głos, który słyszało się rok temu.

— Aha, pani, jak jej tam, nie będzie miała okazji usłyszeć mnie nigdy więcej.

— Dokładnie tak.

Cherry spełniła prośbę Marple. Dowiedziała się, że pani Anderson wyszła po zakupy, ale pojawi się w domu na lunch i będzie już całe popołudnie.

— To ułatwia nam zadanie — ucieszyła się Marple. — Czy Inch już jest? Och, dzień dobry Edwardzie — przywitała się z obecnym kierowcą taksówki Arthura, który tak naprawdę nazywał się George.

— Chciałabym pojechać w pewne miejsce. To nie zabierze nam więcej niż półtorej godziny.

Wyruszyli w drogę.

4.

ESTHER WALTERS

Esther Andersen wyszła z supermarketu. Idąc w kierunku swego samochodu, rozmyślała, że warunki parkowania bardzo się ostatnio pogorszyły. Nagle zderzyła się z lekko kulejącą, starszą kobietą. Przeprosila, na co tamta wydała okrzyk zdziwienia:

— Ależ to chyba niemożliwe! Pani Esther Walters? Chyba mnie pani nie pamięta...

Jestem Jane Marple. Spotkałyśmy się w hotelu na St.Honore, półtora roku temu.

— Pani Marple? Ależ pamiętam, oczywiście! Miło mi panią widzieć.

— Cieszę się, że panią spotkałam. Niedaleko stąd jestem umówiona z przyjaciółmi na lunch, ale później będę przejeżdżała przez Alton. Czy będzie pani dzisiaj po południu w domu? Chętnie bym z panią pogawędziła. To miło spotkać starych znajomych.

— Z przyjemnością. Po trzeciej będę cały czas. Spotkanie zostało umówione.

— Jane Marple. — Esther Andersen uśmiechnęła się do siebie. — Ot, spotkanie! Myślałam, że już dawno umarła.

Marple zadzwoniła do mieszkania na Winslow Lodge punktualnie o wpół do czwartej. Esther otworzyła drzwi i zaprosiła ją do środka.

Marple usiadła na krześle. Kręciła się nerwowo, jak zwykle, gdy była podniecona lub raczej, gdy wypadało na taką wyglądać. Całą rozmowę zaaranżowała w najdrobniejszych szczegółach.

— Tak miło znowu panią widzieć — zaczęła Marple — tak miło. Świat jest bardzo dziwny. Wydaje ci się, że na pewno spotkasz się z dawnym znajomym jeszcze raz, po czym czas mija i nagle zaskakuje cię taka niespodzianka.

— Mówi się, że świat jest taki mały.

— Coś w tym jest. Wydaje się, że świat jest duży. Indie Zachodnie leżą tak daleko od Anglii. Mogłabym panią spotkać gdziekolwiek, zarówno w Londynie jak i w Harrodsie, na stacji kolejowej czy w autobusie. Jest tyle możliwości.

— Tak, to prawda — zgodziła się Esther. — Nie spodziewałam się pani tutaj spotkać.

— Mieszkam w St. Mary Mead. To tylko dwadzieścia pięć mil stąd, ale dla mnie, nie posiadającej samochodu... oczywiście nie stać mnie na taki luksus., to dużo. Zresztą, nawet nie umiem prowadzić samochodu. Spotykam się więc tylko z sąsiadami i czasami wybieram się na przejażdżkę taksówką.

— Wspaniale pani wygląda — zauważyła Esther.

— Pani również, moja droga, wygląda wspaniale. Nie miałam pojęcia, że pani mieszka w tych okolicach.

— Mieszkam tu od niedawna, to znaczy od mojego ślubu.

— Och, nic nie wiedziałam, to cudownie! Zawsze dokładnie czytam ostatnią stronę gazet, musiałam przeoczyć.

— Jestem mężatką od około czterech miesięcy — wyjaśniła Esther. — Zmieniłam nazwisko na Andersen.

— Pani Anderson — powtórzyła Marple. — Spróbuję zapamiętać. A pani mąż? To byłoby dziwne, gdyby nie spytała o męża. Starsze panie zawsze są natarczywie wścibskie.

— Jest inżynierem. Prowadzi „Time and Motion Branch”. Jest... zawahała się — nieco młodszy ode mnie.

— To bardzo dobrze — wtrąciła szybko Marple. — Bardzo dobrze, moja droga. Dzisiaj mężczyźni starzeją się dużo szybciej. Dawniej mówiło się co innego, ale tak jest. Za dużo biorą spraw na swoją głowę, zamartwiają się i za wiele pracują. Ciśnienie raptownie im wzrasta lub obniża i kończy się to zwykle kłopotami z sercem. Częściej też zapadają na chorobę wrzodową żołądka. My, kobiety tak bardzo się nie przejmujemy. Sądzę, że jesteśmy płcią odporniejszą.

— Bardzo możliwe — powiedziała Esther i uśmiechnęła się. Maiple od razu poczuła się pewniej. Ostatnim razem, gdy się widziały, miała wrażenie, że Esther jej nienawidzi i prawdopodobnie tak było. Może teraz odczuwa jednak pewną wdzięczność. Chyba zrozumiała, że zamiast przypuszczalnie szczęśliwego życia z panem Andersenem mogła zakosztować życia pod płytą nagrobną na jakimś przykościelnym cmentarzu.

— Wygląda pani na bardzo szczęśliwą — zauważyła Marple.

— Pani również.

— No tak. Dzisiaj jestem nieco starsza. Dokuczają mi różne dolegliwości. Nic poważnego, ale zawsze mnie coś gdzieś boli. A to nogi już nie te same, co dawniej, a to bolący kręgosłup, ramię, ręce. Ale nie powinnyśmy o tym mówić. Ma pani piękny dom.

— Wprowadziliśmy się dopiero cztery miesiące temu. Marple rozejrzała się dookoła. Wygodne, luksusowe meble, wymyślne zasłony, dywany. Może bez specjalnego smaku, ale nawet tego nie oczekiwała. Znała przyczynę tej wytworności. Zbiegła się ona z przyznaniem Esther całkiem niezłego spadku po panu Rafielu. Cieszyła się, że nie zmienił zdania.

— Czytała pani notatkę o śmierci pana Rafiela? — spytała nagle Esther, jakby odgadując myśli Marple.

— Tak, tak. To stało się chyba miesiąc temu, prawda? Tak mi przykro. Bardzo smutne, chociaż wydaje się, że dla pana Rafiela nie było to zaskoczenie. Często mówił o śmierci. To był dzielny człowiek.

— Bardzo dzielny i myślę, że bardzo miły, naprawdę. Kiedy zaczęłam pracować u niego powiedział, że otrzymam bardzo wysokie wynagrodzenie i nie powinnam spodziewać się niczego więcej w przyszłości. Oczywiście, o niczym takim nawet nie myślałam. Był słowny, ale widocznie zmienił zdanie.

— Bardzo się cieszę. Myślałam, że... oczywiście, nic mi nie mówił, ale wydaje mi się...

— Zapisał mi duży spadek — wyjaśniła Esther. — Zadziwiająco duża suma pieniędzy. Byłam bardzo zaskoczona. Z początku nie wierzyłam.

— Może właśnie tak chciał. Należał do tego rodzaju ludzi. Czy zapisał coś swemu opiekunowi... jak on się nazywał?

— Myśli pani o Jacksonie? Nie, nic mu nie zostawił, ale przez ostatnie miesiące przed śmiercią dawał mu kosztowne prezenty.

— Czy wie pani o nim coś więcej?

— Nie, nie widziałam go od czasu, gdy byliśmy na Karaibach. Ale po powrocie do Anglii już nie pracował u pana Rafiela. Zatrudnił się u jakiegoś lorda w Jersey lub Guemsey.

— Chciałabym jeszcze zobaczyć się z panem Rafielem — powiedziała Marple. — Wszyscy w taki dziwny sposób zaplątaliśmy się w tę sprawę. On, pani, ja i kilka innych osób. Później, po powrocie do domu, gdzieś po pół roku zrozumiałam nagle, jak byliśmy ze sobą blisko związani w tamtym czasie pełnym napięcia i jednocześnie, jak mało o sobie wiedzieliśmy. O tym samym pomyślałam, czytając nekrolog w gazecie. Żałuję, że już nigdy nie poznam bliżej pana Rafiela. Gdzie się urodził, kim byli jego rodzice, ile miał dzieci, kuzynów i innych krewnych? Tak bardzo chciałabym wiedzieć.

Esther Anderson uśmiechnęła się nieznacznie. Patrzyła na Marfje i wydawała się mówić: „Tak, jestem pewna, że chciałaby pani zawsze wszystko wiedzieć o każdym, kogo pani spotka”. Ale powiedziała tylko:

— Jedno wszyscy o nim wiedzieli...

— ... że był bogaty — dokończyła natychmiast Marple. — To pani miała na myśli? Wiedząc, że ktoś jest bogaty, nie zadaje się więcej pytań, prawda? To znaczy, nic już więcej nie trzeba wiedzieć. Mówi się: „On jest bogaty” lub: „On jest niesamowicie bogaty”, zawieszając głos, gdyż to takie frapujące spotkać kogoś ogromnie bogatego. Esther zaśmiała się cicho.

— Był żonaty? — spytała Marple. — Nigdy nie wspominał o żonie.

— Stracił żonę wiele lat temu, krótko po ślubie. Była od niego dużo młodsza. Zmarła na raka. To bardzo smutne.

— Miał dzieci?

— O tak. Dwie córki i syna. Jedna córka jest zamężna i mieszka w Ameryce. Druga zmarła w młodym wieku. Tę pierwszą kiedyś spotkałam. Zupełnie niepodobna do ojca. Cicha, sfrustrowana młoda kobieta. O synu nigdy nie wspominał. Myślę, że z powodu kłopotów, jakie z nim miał, skandali, czy coś w tym rodzaju. Chyba zmarł kilka lat temu.

— Tak, to bardzo przykre.

— Wydaje mi się, że stało się to wiele lat temu. Pojechał gdzieś, chyba za granicę i nigdy nie wrócił. Zniknął.

— Czy pan Rafiel przejął się tym?

— Nigdy nie było wiadomo, co myślał. Należał do ludzi; którzy szybko zapominają o swoich niepowodzeniach. Ale jestem pewna, że spełniał wobec niego pewne obowiązki; na przykład wysyłał pieniądze.

— To dziwne — rzekła Marple. — Nigdy o nim nie wspominał, nic nie mówił.

— Jak zapewne zauważyła pani, nigdy nie rozwodził się na temat spraw osobistych.

— To prawda, ale pomyślałam sobie, że pani, będąc jego sekretarką przez tak długi okres... że może zwierzał się pani ze swych kłopotów.

— To nie w jego stylu — powiedziała Esther. — Jeśli w ogóle je miał, w co wątpię. Można powiedzieć, że ożenił się ze swoją pracą i ona była jego jedyną córką czy też synem, o którą dbał. Wszystko, co było związane z interesem sprawiało mu ogromną przyjemność, obracanie pieniędzmi...

— Dopiero, gdy człowiek umrze, uważamy go za szczęśliwego — wymamrotała Marple.

— To znaczy, nie miał żadnych zmartwień tuż przed śmiercią — dodała głośniejszym głosem.

— Nie... dlaczego pani pyta? — Esther wydawała się być zdziwiona.

— Zastanawiałam się po prostu, czym ludzie zaczynają bardziej przejmować, gdy się starzeją... to znaczy pan Rafiel nie był stary, ale człowiek, który zostaje przykutym do łóżka przez chorobę, nie może robić tego co dawniej i na dodatek nie wolno mu się denerwować, o wiele bardziej się zamartwia. W takim stanie problemy same przychodzą do głowy i dają się mocno we znaki.

— Rozumiem, co pani ma na myśli, ale pan Rafiel taki nie był. No cóż, zrezygnowałam z pracy sekretarki w dwa czy trzy miesiące po tym, jak poznałam Edmunda.

— Pani męża? Pan Rafiel na pewno bardzo żałował, że pani odeszła.

— Chyba nie. — uśmiechnęła się Esther. — Nie przejmowałby się takimi rzeczami. Natychmiast znalazłby sobie następną sekretarkę, co zresztą uczynił. Jeśli by mu nie odpowiadała, odprawiłby ją, uściskawszy mocno rękę i postarał się o następną, aż wreszcie znalazłby kogoś odpowiedniego. Zawsze był bardzo wymagający.

— Tak, tak. Często zdarzało mu się jednak tracić panowanie nad sobą.

— On to uwielbiał — zauważyła Esther. — Robił z tego małą scenkę dramatyczną.

— Scenkę dramatyczną? — powtórzyła Marple. — Jak pani uważa, czy pan Rafiel interesował się w jakiś szczególny sposób kryminologią? To znaczy...

— Ma pani na myśli to, co się stało na Karaibach? — Głos Esther nagle stał się ostry. Marple zdawała sobie sprawę, że nie powinna rozwijać tego tematu, ale musiała spróbować wydobyć jeszcze trochę informacji.

— No, niedokładnie. Pan Rafiel często zastanawiał się nad tym z psychologicznego punktu widzenia. Interesował się sprawami, w których prawo zostało niewłaściwie wymierzone lub~.

Cierpliwość Esther zdawała się dobiegać kresu.

— Dlaczego w ogóle miałby się tym zajmować. Przestańmy mówić o tych okropnych rzeczach, które się wtedy wydarzyły.

— Ależ oczywiście, ma pani rację. Bardzo mi przykro. Po prostu starałam się rozważyć to, co pan Rafiel czasem mówił. Dziwne rzeczy. Zastanawiałam się, czy miał swoje teorie na temat spraw kryminalnych.

— Jego zainteresowania sprowadzały się wyłącznie do spraw finansowych — powiedziała krótko Esther. — Jedynie jakaś rzeczywiście wymyślna sztuczka kryminalna mogłaby zwrócić jego uwagę.

Ciągle chłodno spoglądała na Marple.

— Bardzo mi przykro — powtórzyła Marple. — Nie powinnam mówić o tym, ale na szczęście, to już przeszłość... No, muszę już iść. Nie chciałabym spóźnić się na pociąg... O mój Boże! Co ja zrobiłam ze swoim bagażem? Ach, jest tutaj!

Wzięła torbę, parasolkę i kręcąc się dookoła bezmyślnie, czekała aż napięcie trochę minie. Gdy zbliżyła się do drzwi, odwróciła się do Esther, która namawiała ją do pozostania na herbacie i powiedziała:

— Nie, dziękuję bardzo, moja droga, ale mam mało czasu. Ogromnie było miło zobaczyć się z panią. Gratuluję szczerze i życzę wszystkiego najlepszego na nowej drodze. Czy zamierza pani podjąć nową pracę?

— Większość ludzi tak robi. Praca ich pasjonuje. Nudzą się, kiedy nie mają co robić. Ale ja cieszę się, że mam dużo wolnego czasu. I cieszę się ze spadku, który zapisał mi pan Rafiel. To było miłe z jego strony. Myślę, że chciał, abym wykorzystała go tak, jak będę uważała, nawet jeśli uznałby to za raczej głupi, babski sposób wydawania pieniędzy: kosztowne ubrania, fryzury i tym podobne. Z pewnością, nie podobałoby mu się to. — Nagle dodała: — Bardzo go lubiłam. Naprawdę. Może dlatego, że pracę z nim traktowałam jako rodzaj wyzwania To był trudny człowiek w obcowaniu i dlatego byłam zadowolona, że mi się udawało.

— Całkowicie?

— Nie, ale może w większym stopniu, niż zdawał sobie z tego sprawę.

Marple odeszła kilka kroków, odwróciła się i na pożegnanie pomachała ręką. Esther Anderson stała na schodach i również machała radośnie.

— Wydaje mi się, że ta sprawa może mieć z nią coś wspólnego lub z czymś, o czym wiedziała — mówiła do siebie Marple. — Nie, chyba nie jest w żaden sposób z tym związana. Pan Rafiel pewno oczekiwał ode mnie większego sprytu. Chciał, abym skojarzyła kilka faktów. Tylko jakich? I co mam dalej robić? — Potrząsnęła głową. Powinna uważnie przemyśleć wszystkie wydarzenia. Zlecono jej pewną sprawę. Odmówić, zaakceptować, zrozumieć, w czym rzecz? Lub nic nie starać się zrozumieć, wierząc, że wkrótce otrzyma jakąś informację. Czasem zamykała oczy, przywołując obraz pana Rafiela siedzącego w hotelu w Indiach Zachodnich w stroju tropikalnym: pomarszczona twarz z wyrazem niechęci i rzadkie przebłyski dobrego humoru. Chciała wiedzieć, o co mu chodziło, kiedy tworzył ten plan. Miał na celu zmuszenie jej do przyjęcia propozycji. Ale to raczej mało prawdopodobne. Może po prostu chciał, żeby coś zostało zrobione i wybrał właśnie ją. Ale dlaczego? Czy przyszło mu to nagle do głowy? Dlaczego pomyślał o niej?

Wróciła myślami do wydarzeń na St.Honore. Czy sprawa o której myślał, związana była z tamtym miejscem? Z kimś, kto przypadkiem tam był lub brał udział w morderstwie? Jeśli nie, to dlaczego, dlaczego pomyślał o niej? Czego się w niej dopatrzył? Całkiem zwyczajna starsza pani, fizycznie raczej słaba, psychicznie już nie tak odporna i bystra jak dawniej. Jakie miała te specyficzne kwalifikacje? Nic nie przychodziło jej do głowy. A może chciał sobie z niej zażartować i na łożu śmierci zrobić jeszcze jeden dobry kawał. Świetnie pasowałyby to do jego poczucia humoru.

— Muszę mieć uzdolnienia w jakimś kierunku — upewniała się na głos Marple — jako że pan Rafiel nie żyjąc, nie mógłby się cieszyć ze swego żartu. Jakie nam zdolności? W jaki sposób mogłabym być użyteczna i do czego?

Potraktowała siebie z odpowiednią pokorą. Była starszą osobą często zadającą pytania. To jedno. Można wysłać prywatnego detektywa lub doświadczonego wywiadowcę, ale nie ma lepszej osoby w zdobywaniu informacji niż starsza natarczywa pani ze zwyczajem wścibiania wszędzie nosa, która zbyt dużo chce wiedzieć, ale to wydaje się całkiem naturalne.

— Takie stare babsko — powiedziała do siebie. — Mogę uchodzić za stare babsko. Wszędzie ich pełno dookoła. A ja jestem zwykłą roztrzepaną starszą panią. To doskonały kamuflaż. Ciekawe, czy mój tok rozumowania przebiega właściwie. Wydaje mi się, że znam ludzi. Dzielę ich na grupy o podobnych cechach. Wiem, jakie wady i zalety posiadają, umiem przewidzieć, jak postąpią.

Jeszcze raz pomyślała o St.Honore i hotelu Golden Palm. Starła się połączyć jakoś fakty, które poznała w rozmowie z Esther Walters. Stwierdziła jednak, że wizyta ta nie miała sensu. Nic z niej nie wynikało i niczego nie wyjaśniało.

— Cóż za męczący z pana człowiek, panie Rafiel! — powiedziała głośno Marple z wyraźnym wyrzutem w głosie.

Położyła się do łóżka, przyłożyła do bolącego krzyża worek z gorącą wodą i dodała, usprawiedliwiając się w ten sposób:

— Zrobiłam wszystko, co mogłam.

Mówiła, jakby zwracała się do kogoś, kto był obecny w pokoju. To prawda, że mógł znajdować się gdziekolwiek indziej, ale wierzyła, że łączy ich kontakt telepatyczny, dlatego postanowiła mówić dalej: ‘

— Staralam się, jak mogłam. Wykorzystałam wszystkie swoje możliwości. Teraz zostawiam działanie panu.

Ułożywszy się wygodnie, zgasiła światło i po chwili usnęła.

5.

INSTRUKCJA Z GÓRY

1

Trzy lub cztery dni później Marple otrzymała przesyłkę. Obejrzała kopertę jak zwykle dokładnie i stwierdziwszy, że Jo nie rachunek otworzyła ją. List napisany był na maszynie.

Droga pani Marple!

Gdy otrzyma pani ten list, mnie już nie będzie na tym Świecie. Cieszę się, że zwłoki moje nie ulegną kremacji. Gdy jest się już zamienionym w popiół niemożliwym staje się powstanie z grobu, aby kogoś postraszyć, jeśli nagle by się tego zapragnęło. Czy ja chcę to uczynić? Kto wie? Wiem tylko, że chcę się z panią skontaktować.

Liczę, że moi adwokaci porozumieli się z panią i przedłożyli moją prośbę. Mam nadzieję, że przyjmie ją pani. Jeśli nie, niech pani nie czuje się winna. Wybór należy do pani.

List ten, jeśli zastosowano się do moich poleceń, otrzyma pani jedenastego bieżącego miesiąca. Za dwa dni dostanie pani wiadomość z' londyńskiego biura podróży. Mam nadzieję, że propozycja moja spodoba się pani. Nie powinienem mówić nic więcej.

Proszę tylko, aby miała pani oczy i uszy szeroko otwarte, i niech pani dba o siebie.

Wierzę, że da pani sobie radę. Jest pani bardzo sprytna. Niech szczęście pani dopisuje, a mój anioł stróż zawsze panią chroni. Może go pani potrzebować.

Oddany pani

J.B.Rafiel

— Dwa dni! — wykrzyknęła Marple. Z niecierpliwością oczekiwała na dzień, w którym miała otrzymać wiadomość.

Poczta i biuro działały bez zarzutu.

Szanowana Pani Jane Marple!

Zgodnie z poleceniem pana Rafiela przesyłamy pani szczegółowe informacje dotyczące wycieczki nr 37 „Słynne zabytki i ogrody Anglii”, która rozpoczyna się w czwartek, siedemnastego.

Jeśli mogłaby pani pofatygować się do naszego biura w Londnie, pani Sandbourne udzieliłaby pani wszelkich potrzebnych wskazówek. Wycieczka będzie trwała około dwóch, trzech tygodni. PanRafiel uważał, iż będzie szczególnie pani odpowiadała, ponieważ obejmuje nieznaną pani część Anglii. Zapewnił pani wszelkie udogodnienia. Czy mogłaby pani podać datę, najwygodniejszą dla pani, przybycia do naszego biura przy Berkeley Street?

Marple złożyła list, schowała do torby i zanotowała numer telefonu. Następnie zadzwoniła do kilku przyjaciół, którzy już brali udział w takich wycieczkach. Jedni

wyrażali się o nich bardzo pozytywnie, inni także słyszeli wiele dobrego: kosztowna, świetnie zorganizowana, niezbyt męcząca dla starszych osób. Zatelefonowała więc do biura podróży i poinformowała, że skontaktuje się z nimi w następny wtorek.

Dzień później oznajmiła Cherry:

— Wyjeżdżam na wycieczkę.

— Wycieczkę? — Zdziwiła się Cherry. — Za granicę? Na jedną z tych organizowanych przez biura podróży?

— Nie, nie. Będziemy zwiedzać Anglię — wyjaśniła Marple. — Słynne zabytki i ogrody.

— Czy uważa pani, że to wskazane w pani wieku? Takie wycieczki są z reguły męczące. Nieraz trzeba chodzić całymi kilometrami.

— Czuję się doskonale, a poza tym organizatorzy przewidują częste odpoczynki, specjalnie dla osób o nie najlepszej kondycji fizycznej.

— No cóż, niech pani będzie ostrożna, to wszystko. Nie chcielibyśmy oglądać pani z atakiem serca. Nawet, jeśli wygląda pani na osobą tryskającą zdrowiem, to nie wiek na tego rodzaju zabawy. Bardzo mi przykro, że to mówię. Nie chciałam być niegrzeczna, ale nie zniósłabym myśli, że coś mogłoby się pani stać.

— Wiem, co robię — powiedziała zdecydowanie Marple z nutką godności w głosie.

— No już dobrze, ale niech pani będzie ostrożna — prosiła Cherry.

Marple spakowała rzeczy i wyruszyła do Londynu. Gdy dotarła na miejsce, wynajęła

pokój w odpowiednim hotelu. „Och, Bertrams Hotel — pomyślała. — Cóż to był za

wspaniały hotel. Ale powinnam zapomnieć o przeszłości. St. George to też całkiem

przyjemne miejsce”. W oznaczonym czasie Marple pojawiła się na Berkeley Street

Zaprowadzono ją do biura pani Sandbourne. W progu powitała ją miła

trzydziestopięcioletnia kobieta i wyjaśniła, iż osobiście jest odpowiedzialna za wycieczkę.

— Czy mam rozumieć, że... — zawahała się Marple — ... że ta wycieczka w moim

przypadku...

Pani Sandbourne, wyczuwając zakłopotanie Marple, szybko wtrąciła:

— Powinnam pani to dokładnie wyjaśnić w liście. Pan Rafiel pokrył wszystkie koszty.

— Pani wie, że on umarł?

— Tak, ale załatwił to jeszcze przed śmiercią. Wyjaśnił, że nie czuje się już najlepiej, ale

chciałby jeszcze zafundować wycieczkę dawnej znajomej, która nie miała okazji

podróżować tak często, jak by pragnęła.

2

Dwa dni później Marple siedziała już w luksusowym autokarze, który jechał w kierunku

północno-zachodniej Anglii. Zaczęła czytać listę uczestników wycieczki zawartą w

zgrabnym prospekcie informującym o głównych punktach wycieczki, hotelach, posiłkach,

miejscach zwiedzania. Program dostosowany był zarówno dla osób młodych i

aktywnych, jak i dla starszych, które wolałyby czasem posiedzieć, niż przemierzać długie

trasy, czy wspinać się na szczyty. Wszystko doskonale zorganizowane, informacje

podane w taktowny sposób.

Marple przebiegła wzrokiem listę i rozejrzała się po autokarze. Nie musiała się czuć skrępowana, gdyż pozostali pasażerowie robili dokładnie to samo. Nie zauważyła, aby ktoś specjalnie się jej przyglądał. Czytała:

Pani Risety–Porter

Pani Joanna Crawford

Pułkownik Walker i pani Walker

Pan i pani H.T.Butler

Pani Elizabeth Temple

Profesor Wanstead

Pan Richard Jameson

Pani Lumley

Pani Bentham

Pan Caspar

Pani Cooke

PaniBarrow

Pan Emlyn Price

Pani Jane Marple

Cztery starsze panie. Dwie podróżowały razem. Oceniała, że mają około siedemdziesiątki. Trudno jednak było uznać je za to samo pokolenie co Marple. Jedna z nich była typem osoby wiecznie narzekającej. A to chciała mieć miejsce z przodu autokaru, jeśli siedziała z tyłu i odwrotnie, a to znów chciała siedzieć po stronie nasłonecznionej, jeśli miała miejsce w cieniu, a to potrzebowała więcej lub mniej świeżego powietrza i tak bez końca. Zaopatrzone były w całkiem niezłą stertę przewodników. Lekko niedomagały, narzekając na bóle całego ciała, ale nic nie mogło powstrzymać ich od korzystania z życia. Stare babska, ale zdecydowanie nie domatorki.

Marple rozpoczęła swoje dochodzenie:

Piętnastu pasażerów łącznie z nią i panią Sandboume. Na tę wycieczkę została posłana celowo, a więc przynajmniej jeden z uczestników wycieczki mógł mieć dla niej jakieś znaczenie. Albo jako źródło informacji, albo jako morderca, który zabił lub właśnie się do tego przygotowywał, albo ktoś związany z prawem. Po panu Rafielu wszystkiego można się było spodziewać. Marple musiała wszystkich dokładnie zbadać.

Z prawej strony zapisała w notesie nazwiska tych osób, które mogłyby być ważne z punktu widzenia pana Rafiela, z lewej — nazwiska, które stanowiły dla niej źródło informacji, z posiadania których może nawet same te osoby nie zdawały sobie sprawy. A może raczej, jeśli nawet je posiadały, nie wiedziały, że mogą być użyteczne dla niej lub dla pana Rafiela lub dla sprawiedliwości przez duże „S”. Na końcu notesu umieściła nazwiska, które kojarzyły się jej z St. Mary Mead. Cokolwiek by to było, może okazać się, że ma jakieś znaczenie. Już nie raz się to sprawdzało.

Dwie pozostałe panie podróżowały oddzielnie. Obydwie około sześćdziesiątki. Jedna doskonale wyglądająca, dobrze ubrana, kobieta o wyraźnie wysokim o sobie mniemaniu i chyba tak odbierana przez innych, o głosie donośnym i dyktatorskim. Podróżowała z kuzynką osiemnaste czy dziewiętnastoletnią, która zwracała się do niej: „ciociu

Geraldine”. Jak zauważyła Marple, kuzynka doskonale radziła sobie z władczością ciotki. Inteligentna i atrakcyjna dziewczyna.

Miejsce po przeciwnej stronie Marple zajmował potężny mężczyzna o kwadratowych ramionach i nieco niechlujnym wyglądzie. Twarz miał taką, jakby natura chciała uczynić ją owalną, lecz ta przeciwstawiła się, tworząc potężną szczękę. Duża głowa pokryta była siwiejącymi włosami, a bujne brwi poruszały się to w górę, to w dół, w rytm wypowiedzanych słów. Uwagi, które wypowiadał wybuchwały seriami przypominającymi szczekanie psa. Jego sąsiad był wysokim, ciemnym obcokrajowcem, który poruszał się nerwowo, gestykulując rękami. Mówił bardzo specyficznym rodzajem angielszczyzny, często wtrącając zdania w języku francuskim i niemieckim. Gruby mężczyzna świetnie dostosowywał się do tych zmian, szybko przeskakując na odpowiedni język. Spojrzawszy jeszcze raz na nich uważnie, Marple doszła do wniosku, że mężczyzna z bujnymi brwiami to profesor Wanstead, a nerwowy współtowarzysz to pan Caspar. Patrząc z jaką siłą i jak zawzięcie pan Caspar przemawia, zastanawiała się, o czym tak żywo dyskutują. Miejsce przed nimi zajmowała następna starsza pani. Był to ten typ kobiet, który zawsze wyróżniał się w tłumie. Ciągłe piękna. Ciemnoszare włosy miała wysoko upięte i zaczesane do tyłu tak, że odsłaniały czoło. Głos niski, czysty o nieco ostrym tonie. „To jest osobowość — pomyślała Marple. — Ktoś. Tak, na pewno była kimś. Przypomina mi panią Emily Waldron” — stwierdziła. Emily Waldron prowadziła Oxford College, będąc jednocześnie znaczącym naukowcem. Marple spotkała ją kiedyś i nigdy nie mogła tego zapomnieć.

Wróciła do badań nad pasażerami. Dwa małżeństwa: jedno amerykańskie w średnim wieku — ona gadatliwa, ale sympatyczna, on spokojnie godzący się na wszystko — zapaleni turyści; druga para, również w średnim wieku. Mężczyznę Marple bez wahania zakwalifikowała jako emerytowanego wojskowego. Na liście zaznaczyła ich: pułkownik i pani Walker.

Za jej plecami siedział wysoki, szczupły mężczyzna posługujący się technicznym słownictwem, prawdopodobnie architekt. Nieco dalej — dwie panie w średnim wieku podróżujące razem. Dyskutowały nadprogramem wycieczki, zastanawiając się, jakie przewidziano atrakcje. Jedna ciemna i szczupła, druga jasna, mocno zbudowana, o twarzy, którą Marple gdzieś już widziała, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Może przypominała jej kogoś, z kim zetknęła się na spotkaniu towarzyskim lub z kim jechała pociągiem? Nic innego nie przychodziło jej do głowy. Został jej jeszcze tylko jeden pasażer. Młody, dwudziestoletni mężczyzna, z masą bezładnych czarnych włosów, ubrany w strój odpowiedni do jego wieku; obcisłe džinsy, sweter polo. Z zaciekawieniem patrzył na kuzynkę władczej damy. Ona wyraźnie odwzajemniała jego zainteresowanie. Byli jedyną parą młodych ludzi w autokarze.

Na lunch zatrzymali się w przyjemnym hotelu nad rzeką. Na popołudnie zaplanowano zwiedzanie Blenheim. Marple знаła już to miejsce, więc postanowiła oszczędzać” nogi i jedynie napawać się widokiem pięknych ogrodów. Nim dotarli do hotelu, większość pasażerów już się poznała. Zawdzięczali to pracowitej pani Sanbourne, ciągle aktywnej i nigdy nie znużonej swoimi obowiązkami przewodniczki. Organizowała małe grupki zapoznawcze, samotnych zachęcała słowami: „Proszę koniecznie poprosić pułkownika

Walkera, aby opisał pani swój ogród. Posiada wspaniałą kolekcję fuksji”. Dzięki tym niewinnym uwagom potrafiła zespolic ludzi i umilic im wspólny pobyt. Marple przyporządkowała już wszystkie nazwiska odpowiednim osobom. Tak jak przewidywała, profesor Wanstead okazał się panem z bujnymi brwiami, a pan Caspar jego rozmówcą. Władcza dama to pani Fiseley–Porter, a jej kuzynka to Joanna Crawford. Młody mężczyzna to Emlyn Price. Zauważyła, że tych dwoje młodych miało ze sobą wiele wspólnego. Rozmawiali między innymi na temat sztuki, ekonomii i polityki. Dwie starsze panie, które określiła mianem starych babsk, szczebiotały o artretyzmie, reumatyzmie, dietach, lekarzach, sposobach leczenia, tych sprawdzonych i tych domowych, skutecznych, gdy wszystko inne zawiedzie. Wspominały też podróże po Europie, które odbyły w przeszłości. Hotele, agencje turystyczne, aż wreszcie okręg Somerset, gdzie mieszkały panie Lumley i Bentham i gdzie trudności ze znalezieniem odpowiedniego ogrodnika wydawały się nie do pomyślenia. Dwie panie w średnim wieku to pani Cooke i pani Barrow. Marple ciągle miała wrażenie, że gdzieś już widziała panią Cooke, ale nadal nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Może to tylko wrażenie, ale zauważyła, że obie panie wyraźnie unikają jej. Oddalały się, jak tylko się do nich zbliżyła. Oczywiście, to wszystko mogło jej się tylko wydawać. Piętnaście osób, z których co najmniej jedna była dla niej ważna. W rozmowach towarzyskich wymieniała nazwisko pana Rafiela, obserwując reakcje, ale nikt nie zwrócił na to nawet najmniejszej uwagi. Pani Elizabeth Temple, ta przystojna kobieta, była dyrektorką szkoły dla dziewcząt. Nikt nie wyglądał na mordercę, z wyjątkiem może pana Caspara, ale wyrażenie to wynikało raczej z jej uprzedzenia do obcokrajowców. Szczupły, młody człowiek to Kichani Jameson, architekt. „Może jutro pójdzie lepiej” — pocieszała się Marple.

3

Marple położyła się do łóżka bardzo zmęczona. Zwiedzanie było przyjemne, ale wyczerpujące, a jeszcze bardziej męczące było obserwowanie piętnastu osób naraz. Starła się dociec, która z nich może mieć jakiś związek z morderstwem. Patrząc na nie, wydawało się to tak nierealne, aż nie można było tego brać poważnie. Wszyscy wyglądali na typowych, przemyłych turystów. Jeszcze raz przejrzała listę uczestników, zapisując uwagi w notesie:

„Pani Risley–Porter — nie związana. Zbyt towarzyska i egoistyczna.

Joanna Crawford — to samo. Ale bardzo inteligentna.

Jednakże pani Risley–Porter może stanowić źródło ważnych informacji. Powinna utrzymywać z nią dobre stosunki.

Pani Elizabeth Temple — ciekawa osobowość. Nie przypominała żadnego znanego Marple typu mordercy. Właściwie emanuje z niej uczciwość. Jeśli popełniłaby zbrodnię, pewnie byłoby to typowe morderstwo ze wzniosłych pobudek” — zanotowała. To także nie zadowalało Marple. Pomyślała, że pani Temple nigdy nie przyszłoby coś takiego do głowy. „Ale może

być osobą, z którą pan Rafiel chciał mnie zapoznać” — zapisała to po prawej stronie notatnika.

Zmieniła tok myślenia. Nie rozważała jeszcze możliwej ofiary. Kto mógłby nią być. Na pierwszy rzut oka — nikt. Pani Risley–Porter, bogata i niezbyt miła. Kuzynka może dziedziczyć. Z anarchistycznym Emlynem Pricem mogą tworzyć parę walczących antykapitalistów. Niezbyt wiarygodna pobudka, ale nic ciekawszego nie przychodziło jej do głowy.

Profesor Wanstead — niewątpliwie interesujący człowiek. I uprzejmy. Naukowiec czy lekarz? Zdecydowała, że naukowiec. Sama nie miała z tym nic wspólnego, ale wydawało się jej to prawdopodobne.

Państwo Butlerowie — żadnych związków z Indianami Zachodnimi i z nikim, kogo znała. Mili Amerykanie. Nie sądziła, aby mogli jej w czymś pomóc.

Richard Jameson — zastanawiała się, czy architektura może mieć z tym związek. Jakaś kryjówka w jednym z domów, które planowali zwiedzać, zawierająca szkielet, a pan Jameson jako architekt, mógłby znać jej usytuowanie. Może wspólnie mieli znaleźć ciało. „Naprawdę, coś za bzdury wymyślam” — mruzczała pod nosem.

Pani Cooke i pani Barrow — zupełnie nieszkodliwe. Z pewnością widziałam już jedną z nich.

Pułkownik z żoną — przyjemna para. Ale to wszystko, co mogę o nich powiedzieć.

Panie Bentham i Lumley — typowe matrony. Raczej nie wyglądały na kryminalistki, ale będąc typowymi wścibskimi babami miały niewątpliwie wiele ciekawych i użytecznych informacji, nawet jeśli dotyczyły one reumatyzmu.

Pan Caspar — niebezpieczny typek. Bardzo nerwowy.

Emlyn Price — przypuszczalnie student Tacy bywają agresywni. Czy pan Rafiel wysłał ją z misją dotyczącą studentów? To zależy z jaką działalnością byli związani. Zapalony anarchista.

— O mój Boże! — Marple poczuła się nagle zmęczona. — Czas spać.

„Bołą mnie nogi, krzyż, a umysł — pomyślała — nie dzuda o tej porze zbyt sprawnie”.

Zasnęła natychmiast. We śnie miała kilka wizji. W jednej brwi profesora Wansteada odpadły, gdyż okazały się sztuczne. Kiedy obudziła się, wszystko wydało się jasne, jak zwykle, gdy nagle jest się wyrwanym ze snu. Brwi były sztuczne i to rozwiązywało zagadkę: on był przestępcą. Szybko jednak dotarło do Marple, że nic nie było tak oczywiste. Sztuczne brwi nie stanowiły żadnego wyjaśnienia.

Niestety, rozbudziła się na dobre. Usiadła na łóżku zdecydowana coś zrobić.

Westchnęła, włożyła szlafrok i podeszła do stolika, na którym leżała torebka. Wyciągnęła z niej notes i zaczęła pisać:

.Zadanie, którego się podjęłam z pewnością związane jest z przestępstwem. Pan Rafiel jasno to wyraził w swoim liście. Uważał, że mam intuicję, która pomaga mi w dotarciu do prawdy i wciąga mnie w sprawy kryminalne, a więc: przestępstwo. Przypuszczalnie nie jest to szpiegostwo, oszustwo ani rabunek, gdyż nigdy nie miałam z nimi styczności. Nie mam ani doświadczenia, ani też specjalnych uzdolnień w tym kierunku. Jediną wiedzę, jaką pan Rafiel posiadał o mnie, nabył podczas wspólnego pobytu na Karaibach.

Zdarzyło się tam morderstwo. Zabójstwa opisywane w prasie nigdy nie przyciągały mojej uwagi. Nigdy nie czytałam książek z dziedziny kryminologii ani też nie interesowałam się tym tematem. Po prostu zdarzało się, że przebywałam w pobliżu miejsca, gdzie

dokonywano morderstwa, częściej, niż mogłoby wydawać się to normalne. Moja działalność koncentrowała się na tych przypadkach, które dotyczyły przyjaciół lub znajomych. Takie dziwne zjawiska zdarzają się ludziom. Jedna z moich ciotek, na przykład, pięć razy ulegała katastrofie na morzu, a jedna z moich przyjaciółek była określana jako osoba przyciągająca wypadki. Uczestniczyła w czterech wypadkach taksówek, trzech samochodowych i dwóch kolejowych. Znajome odmawiały jazdy w jej towarzystwie. Dzieje się to bez określonych powodów. Nie brzmi to przyjemnie, ale jestem osobą, której przytrafiają się często morderstwa. Nie mnie samej, broń Boże, ale w mojej obecności”.

Marple przerwała na moment, aby poprawić poduszkę. Po chwili zaczęła pisać.

„Muszę logicznie wszystko poukładać. Informacje, które mam są żadne, więc powinnam sobie zadać pytanie, o co w tym wszystkim chodzi? Nie wiem! Dziwne, ale ciekawe. Szczególny sposób postępowania dobrze prosperującego biznesmena, jakim był pan Rafiel. Chce, abym zgadła, polegając na swoim instynkcie, obserwowała i postępowala zgodnie z kierunkiem, który mi wskaże.

A więc, po pierwsze: otrzymam instrukcje od nieżyjącego człowieka; po drugie: sprawiedliwość ma być motorem mojego działania, zgodnie z naszym hasłem — „Nemesis” — ustalonym przez pana Rafiela.

Po wyjaśnieniach dotyczących mojego zadania otrzymałam pierwsze wskazówki. Wycieczka po Anglii opłacona przez pana Rafiela przed śmiercią. Dlaczego? O to właśnie chciałam siebie zapytać. Czy to ma związek z konkretnym miejscem, szczególnym zabytkiem, ogrodem, czy też krajobrazem? Chyba jednak nie. Odpowiedź znajduje się nie w miejscach, lecz w ludziach. Przynajmniej jedna osoba jest związana z tą zagadką”.

Nagle przerwała pisanie. Skinęła głową zadowolona z przeprowadzonej analizy. Na koniec dopisała jeszcze: „Na tym kończy się dzień pierwszy”.

6.

MIŁOŚĆ

Następnego dnia zwiedzili mały dworek królowej Anny. Droga była krótka i niezbyt męcząca. Dom był przepiękny, z interesującą historią i niezwykłym ogrodem, rozpościerającym się dookoła.

Richard Jameson, architekt, był pełen podziwu dla budowli, a jako człowiek lubiący dźwięk swego głosu, na każdym kroku wskazywał palcem poszczególne jej elementy architektoniczne, natychmiast objaśniając drobiazgowo. Z początku zainteresowanie grupy było nawet duże. Jednakże z wolna zaczęło opadać, gdy wywód stawał się długi i monotony. Niektórzy zaczęli zostawać z tyłu. Miejscowy przewodnik nie był zbyt zachwycony z przejęcia jego obowiązków przez jednego z uczestników wycieczki. Kilka razy podejmował próby dojścia do głosu, ale na próżno. Spróbował jeszcze raz: — W tym pomieszczeniu, drodzy państwo, zwanym Białym Salonem znaleziono ciało młodego mężczyzny przebite sztyletem, leżące na dywaniku przy kominku. Wydarzyło się to w początkach siedemnastego wieku. Podobno Lady Moffatt miała wtedy kochanka. Wśliznął się bocznym wejściem po stromych schodach i przez ukryte przejście

przedostał się do pokoju. Jej mąż, sir Richard Moffatt przebywał za morzem w Low Countries, ale niespodziewanie powrócił do domu i zastał ich razem.

Przewodnik zawiesił głos i dumnie rozejrzał się dookoła. Z zadowoleniem zauważył, że jego słowa wywołały oczekiwany efekt Grupa, znużona włączaniem informacji o architektonicznych detalach, z radością przeniosła uwagę z powrotem na przewodnika.

— Czyż to nie romantyczne, Henry? — Pani Butler dźwięcznym głosem wyraziła swój zachwyt. — Rzeczywiście, wyczuwa się tu specyficzną atmosferę. Czuję to. Naprawdę to czuję.

— Mamie jest bardzo wrażliwa na tego rodzaju sprawy. I doskonale wszystko wyczuwa — dumnie oznajmił jej mąż. — Kiedyś, gdy przebywaliśmy w starym domu w Luizjanie... Opowiadanie nabrało tempa, więc Marple wraz z panią Cooke oraz panią Barrow wykorzystały sytuację i delikatnie wymknęły się z pomieszczenia. Zaczęły schodzić po wymyślnie skonstruowanych schodach.

— Jedna z moich znajomych — zaczęła Marple — kilka lat temu miała bardzo ekscytujące przeżycie. W bibliotece na podłodze znaleziono ciało nieżywego człowieka.

— Ktoś z rodziny? — spytała rzeczowo Barrow. — Przypadek epilepsji?

— Ach, nie! Morderstwo. Nieznajoma dziewczyna w wieczorowym stroju. Farbowana blondynka. W rzeczywistości była brunet... Och!... — Marple przerwała i utkwiała wzrok w platynowych włosach Cooke. W tym momencie zrozumiała, dlaczego ta twarz wydała jej się znajoma. Przypomniała sobie, gdzie ją spotkała. Wtedy miała czarne włosy.

Na schodach pojawiła się Riseley–Porter. Przeszła obok nich, oznajmiając stanowczym tonem:

— Naprawdę, nie mogę znieść tego ciągłego chodzenia w górę i w dół. Stanie w tych pomieszczeniach również jest męczące. Ogrody, chociaż niezbyt duże, są bardzo podziwiane przez znawców. Lepiej byłoby, gdybyśmy nie tracili tu czasu i od razu się tam udali. Chmurzy się i wygląda na to, że niedługo będzie padało. — Mówiła tak przekonywująco, że jej słowa zawsze odnosiły pożądany skutek.

Osoby zgromadzone wokół, posłusznie udały się za nią w stronę ogrodów, które rzeczywiście zasługiwały na podziw. Pani Riseley–Porter podeszła natychmiast do pułkownika i razem oddalili się jedną ze ścieżek. Pozostali rozeszli się po ogrodzie. Marple podeszła do pobliskiej ławki, artystycznie wykonanej i wyglądającej na wygodną. Usiadła i z ulgą głośno westchnęła. Podobne westchnięcie usłyszała tuż obok. Była to Temple, która również postanowiła odpocząć.

— Zwiedzanie jest bardzo męczące — zauważyła. — Najbardziej męczącą rzeczą na świecie, szczególnie gdy trzeba wysłuchiwać długich wywodów w każdym oglądanym pomieszczeniu.

— Ale wszystko, co usłyszeliśmy, było bardzo interesujące — powiedziała Marple z nutką ironii w głosie.

— Tak pani uważa? — Temple spojrzała na Marple. Ich oczy spotkały się i natychmiast zawiązała się między nimi nić porozumienia.

— A pani?

Rozumiały się już doskonale. Siedziały tak przez chwilę w ciszy. Następnie Temple zaczęła rozmowę na temat ogrodów.

— Ten ogród zaprojektował Holman, około 1800 lub 1798 roku. Niestety, młodo umarł. Był geniuszem.

— To takie przykre, gdy ktoś młodo umiera — zauważyła Marple.

— No, nie wiem — odparła Temple, jakby się zastanawiała.

— Ale tracą tyle ciekawych rzeczy.

— A może oszczędzone im jest tyle nieprzyjemności.

— Jako starsza osoba stwierdzam jednak, że wczesna śmierć to strata, a nie zysk.

— A ja, spędziwszy niemal całe życie wśród młodych ludzi, uważam, że każde życie to tylko krótki moment wieczności. Jak powiedział T.S.Eliot: „Życie róży i życie drzewa cisowego — to ten sam czas”.

— Rozumiem. Długie czy krótkie życie jest skończonym doświadczeniem. Ale czy nie uważa pani, że nagle przerwane można uznać za pewnego rodzaju niespełnienie.

— Owszem, to możliwe.

— Jakie piękne są peonie. Wyglądają tak dumnie, ale jednocześnie tak krucho — powiedziała Marple, patrząc na kwiaty rosnące obok.

— Czy przyjechała pani oglądać zabytki czy ogrody? — spytała Temple.

— Najbardziej lubię ogrody, ale te zabytkowe domy są dla mnie nowym doświadczeniem. Różnorodność form, historia, piękne, stare meble i obrazy... — Zamyśliła się. — Mój znajomy ofiarował mi tę wycieczkę w prezencie. Jestem mu za to bardzo wdzięczna. Miałam niewiele okazji, aby zwiedzać.

— To bardzo miłe.

— Czy często bierze pani udział w takich wycieczkach?

— Dla mnie to nie tylko wycieczka.

Marple spojrzała na nią z zainteresowaniem. Już otwierała usta, aby spytać, ale się powstrzymała. Wtedy Temple z uśmiechem zagadnęła:

— Zastanawia się pani, dlaczego tu jestem? A może sama pani zgadnie?

— Wolalabym nie.

— Ależ tak, proszę — nalegała Temple. — To mnie bardzo ciekawi. Niech pani zgadnie.

Marple siedziała chwilę cicho, uważnie przyglądając się pani Temple.

— Będę zgadywała nie na podstawie tego, co wiem o pani, a wiem, że jest pani sławna, tak jak i pani szkoła, ale na podstawie pani wyglądu. Wydaje mi się... że wybrała się pani na pielgrzymkę.

Przez chwilę panowała cisza.

— Bardzo dokładnie pani to ujęła. Tak, jestem na pielgrzymce — odezwała się Temple.

— Znajomy, który zafundował mi tę wycieczkę, już nie żyje. Nazywał się Rafiel, bardzo bogaty człowiek. Czy pani przypadkiem go nie znała?

— Z nazwiska oczywiście, tak. Osobiście nigdy go nie spotkałam. Kiedyś przeznaczył duże pieniądze na projekt naukowy, który mnie interesował. Byłam mu niezmiernie wdzięczna. Jak pani zauważyła, posiadał wielkie pieniądze. Przeczytałam w gazecie notatkę o jego śmierci. A więc pani przyjaźniła się z nim od dawna?

— Nie. Spotkałam go tylko raz, w zeszłym roku — wyjaśniła Marple. — W Indiach Zachodnich. Niewiele wiem o jego życiu osobistym, przyjaciółach, rodzinie. Był wielkim finansistą i, jak niektórzy mówili, mężczyzną pełnym rezerwy. Czy znała pani jego

rodzinę? — Marple zawahała się. — Nie lubię zadawać zbyt wielu pytań i być uważana za wścibską, ale zawsze mnie to ciekawiło.

Pani Temple milczała dłuższy moment, potem powiedziała:

— Raz poznałam dziewczynę, uczennicę z mojej szkoły w Fallowfield. Żadna krewna pana Rafiela, ale była kiedyś zaręczona z jego synem.

— I nie pobrali się?

— Nie.

— Dlaczego?

— Można powiedzieć, że miała na tyle rozsądku, żeby tego nie robić. Nie należał do mężczyzn, o jakich marzą matki dla swych córek. Była słodką dziewczyną. Nie wiem, dlaczego ślub nie doszedł do skutku. Nikt mi nigdy nie powiedział. No cóż, zmarła...

— Dlaczego?

Elizabeth Temple utkwiała wzrok w peoniach. Po chwili odezwała się. Powiedziała jedno słowo, które zadźwięczało jak dzwon:

— Miłość!

— Miłość? — powtórzyła Marple.

— Tak. Miłość. Najbardziej przerażające słowo w życiu — powiedziała to głosem przepelnionym gorczą i tragizmem.

7.

ZAPROSZENIE

Marple zdecydowała, że opuści popołudniowe zwiedzanie zabytków, kościoła i czternastowiecznych witraży. Oznajmiła, że jest zmęczona i że dołączy do grupy w umówionym miejscu na głównej ulicy. Pani Sandbourne zgodziła się i uznała decyzję za rozsądną.

Marple, siedząc na ławce koło herbaciarni, zastanawiała się, co robić dalej. Gdy reszta grupy piła herbatę, dosiadła się do stolika, przy którym siedziały panie Cookie i Barrow. Jedno miejsce zajmował także Caspar, ale Marple nie uważała go za zbyt biegłego w angielskim, aby brać jego obecność pod uwagę.

Jedząc bułkę szwajcarską, Marple zwróciła się do Cookie:

— Jestem pewna, że gdzieś już się spotkałyśmy. Cały czas się zastanawiam. Nie mam już tak dobrej pamięci jak dawniej, ale przysięgłabym, że gdzieś panią widziałam.

Cooke spojrzała uprzejmie, lecz z powątpiewaniem, następnie zwróciła wzrok ku przyjaciółce. Marple również spojrzała w jej stronę. Barrow nie dała żadnego znaku, który by świadczył, że pomoże w rozwiązaniu tej zagadki.

— Czy była pani kiedyś w St. Mary Mead? — spytała Marple. — Małe miasteczko, choć teraz, gdy powstaje tyle nowych domów, już nie takie małe. Niedaleko Much Benham i tylko dwadzieścia mil od wybrzeża w Loomouth.

— Ach, tak! — zastanawiała się Cooke. — Chwileczkę. Znam Loomuth całkiem nieźle, może...

Marple nagle zawołała uradowana.

— Ależ, oczywiście! Pewnego dnia byłam w ogrodzie w St. Mary Mead, gdy przechodziła pani obok i zagadnęła mnie. Powiedziała pani, że mieszka u przyjaciółki.

— Naturalnie. Ależ jestem niemądra — rzekła Cooke. — Teraz sobie przypominam. Rozmawialiśmy o niekompetencji ogrodników i trudnościach w znalezieniu kogoś, rzeczywiście znającego się.

— Tak. Nie mieszka tam pani na stałe?

— Nie. Mieszkałam z... z... — Cooke zawahała się przez chwilę, robiąc minę człowieka, który ma trudności z zapamiętywaniem nazwisk.

— U pani Sutherland? — pomogła Marple.

— Nie, nie... to była pani...

— Hastings — zdecydowanie powiedziała Barrow, częstując się kawałkiem czekolady.

— Tak, w jednym z tych nowo wybudowanych domów — dodała Marple.

— Hastings? — wtrącił niespodziewanie Caspar i twarz mu się rozjaśniła. — Byłem w Hastings. I w Estborne także. Blisko morza. Bardzo piękne miejsce.

— Co za zbieg okoliczności — powiedziała Marple — spotkać się znowu. Jaki mały jest ten świat.

— No tak, wszyscy kochamy ogrody — stwierdziła Cooke. Marple podjęła temat ogrodnictwa, wchodząc w zawile szczegóły techniczne. Cooke dotrzymywała jej kroku. Barrow co jakiś czas wtrącała swoje uwagi. Caspar obserwował i uśmiechał się tylko. Później, w czasie krótkiego odpoczynku przed obiadem, Marple przeanalizowała jeszcze raz wszystkie zebrane informacje: Cooke przyznała, że była w St Mary Mead, i że przechodziła koło jej domu. Zgodziła się, że to zbieg okoliczności. Rzeczywiście przypadek? Marple zamyśliła się, żując słowo w ustach jak dziecko lizaka, aby poznać jego smak. To przypadek, czy też miała powód, aby tam się znaleźć. Czy ktoś ją wysłał? Ale po co? Czy to nie śmieszne?

— Zbieg okoliczności — powiedziała głośno Marple. — Wszystko należy rozważyć. Zawsze można to odrzucić, jeśli rzeczywiście okaże się błędne.

Cooke i Barrow wyglądały na zupełnie typowe turystki odbywające kolejną, jak twierdziły, wycieczkę. W zeszłym roku zwiedzały Grecję, poprzednio Holandię, a jeszcze wcześniej północną Irlandię. Zachowywały się uprzejmie i zupełnie naturalnie, aczkolwiek przez moment wydawało się Marple, że Cooke chciała wyprzeć się spotkania z nią. Spojrzała na Barrow, jakby oczekiwała od niej rady, co ma powiedzieć. Zupełnie jakby Barrow była osobą dowodzącą.

— Oczywiście, wszystko to może być tylko moim wymysłem bez znaczenia.

Nagle zabłysło jej w głowie. Słowo: niebezpieczeństwo. Użył go pan Rafiel w liście.

Wspominał także o aniele stróżu. Czy niebezpieczeństwo zbliżało się? Z której strony?

Na pewno nie od tych miłych starszych pań, choć Cooke przefarbowwała włosy i miała nowe uczesanie. Zupełnie zmieniała wygląd, co wydawało się dość dziwne. Jeszcze raz wzięła pod lupę wszystkie osoby. Caspar. Można wyobrazić sobie, iż on jest najniebezpieczniejszy. Czy udaje tylko, że nie rozumie po angielsku? Marple nigdy nie mogła pozbyć się wiktoriańskiego podejścia do obcokrajowców. Z nimi nic nie wiadomo. To absurdalne, przecież miała wielu przyjaciół z różnych krajów. A jednak... Cooke i Barrow, Caspar, ten młody mężczyzna z rozwianym włosiem, Emlyn jakiś tam, państwo Butlerowie — tacy mili... A może to wszystko zbyt piękne, aby było prawdziwe?

— Muszę wziąć się w garść.

Przemyślała jak zorganizuje następny dzień, który zapowiadał się dość męcząco. Wcześniej rano wyjazd autokarem na zwiedzanie, po południu prawie wyczerpujący spacer ścieżką wzdłuż wybrzeża i z pewnością oglądanie wspaniałych kwitnących roślin morskich. Jednak wszystko razem zbyt wyczerpujące. Mniej wytrwałym delikatnie zasugerowano inną możliwość spędzenia czasu. Każdy, kto nie czuł się na siłach, mógł pozostać w hotelu „Pod Złotym Dzikim”, który otoczony był przyjemnym ogrodem lub wybrać się na krótką wycieczkę do punktu widokowego, oddalonego tylko o godzinę marszu. Marple zdecydowała się na drugą propozycję, nie wiedząc, że jej plany ulegną całkowitej zmianie.

Kiedy wychodziła z pokoju hotelowego, udając się na lunch, podeszła do niej kobieta ubrana w tweedową kurtkę.

— Przepraszam, czy pani Marple... Jane Marple?

— Tak, to ja — odparta zdziwiona Marple.

— Nazywam się Glynne... Lavinia Glynne. Ja i moje dwie siostry mieszkamy tuż obok. Słyszałyśmy, że będzie tu pani przejeżdżała z wycieczką.

— Słyszała pani, że będę przejazdem? — powtórzyła Marple jeszcze bardziej zdziwiona.

— Dostałyśmy list od naszego starego przyjaciela, jakieś trzy tygodnie temu. Zaznaczył, że w tym dniu zatrzymuje się tu wycieczka „Słynne zabytki i ogrody”. Napisał, że jego przyjaciółka czy też krewna, już dokładnie nie pamiętam, bierze w niej udział.

Marple ciągle patrzyła na nią zdziwiona.

— Mówię o panu Rafielu — wyjaśniła Glynne.

— Och, pan Rafiel... pani wie, że...

— ... umarł? Tak, to bardzo przykre. Wkrótce po tym przyszedł ten list. Zależy nam, aby dokładnie spełnić jego prośbę. Zaproponował, abyśmy zaprosiły panią do nas i udzieliły gościny przez kilka dni. Ten etap wycieczki jest bardzo męczący. Może dla młodych nie, ale dla starszych osób wspinanie się po ścieżkach i chodzenie godzinami bywa naprawdę wyczerpujące. Byłybyśmy wdzięczne, gdyby zechciała pani spędzić z nami kilka dni. To tylko dziesięć minut stąd, zapewniamy, że pokażemy pani równie ciekawe miejsca.

Marple wahała się przez chwilę. Podobała się jej ta gruba, dobrodusznna kobieta o przyjaznej, choć nieco nieśmiałej twarzy. Domyślała się, że jest to następny krok, który powinna zrobić.

Spojrzała nieufnie na Glynne.

— Dziękuję za zaproszenie. Skorzystam z przyjemnością.

8.

TRZY SIOSTRY

Marple siedziała przy oknie i patrzyła na ogród nie widzącymi oczyma. Rzadko zdarzało się jej obojętnie obserwować ogrody. Zawsze podziwiała je lub krytykowała. Ten z pewnością nie podobał się jej. Był to ogród zaniedbany, widać włożono tu niewiele pieniędzy i pracy przez ostatnie lata. W podobnym stanie znajdował się dom. Ładnie zbudowany, ze starymi, niegdyś pięknymi, meblami. Ale nie był to dom, w którego utrzymanie włożono serce. Niegdyś zadbane, teraz żył zgodnie ze swoją nazwą: „Stary

Dwór”. Córki i synowie poženili się i zostawili go własnemu losowi. Obecnie mieszkała w nim Glynne. Prowadząc Marple do jej pokoju, wyjaśniła, że odziedziczyła dom po wuju. Po śmierci męża przeprowadziła się tu z siostrami.

Siostry to prawdopodobnie stare panny, jedna starsza, druga młodsza od pani Glynne, obie noszące nazwisko Bradbury–Scott.

Nic nie wskazywało, że mieszkało tu jakieś dziecko. Żadnych zabawek, wózka dziecięcego, małego krzeselka czy stoliczka. Był to po prostu dom trzech sióstr.

— Brzmi to nieco z rosyjska — mruknęła do siebie Marple. — Trzy siostry Czechowa, prawda? A może Dostojewskiego? — Nie mogła sobie przypomnieć.

Trzy siostry. Na pewno nie takie jak u Czechowa, tęskniące za Moskwą. Te z pewnością były zadowolone z miejsca, w którym przebywały. Siostry zostały przedstawione Marple zaraz po przyjeździe do domu. Jedna wyszła z kuchni, druga właśnie schodziła ze schodów, aby przywitać gościa. Maniery miały nienaganne. Należały do tego typu kobiet, które w młodości określano jako damy. Obecnie można byłoby je nazwać przywiedłymi damami. Jej ojciec zawsze mówił: „Nie, droga Jane, nieprzywiedłe, ale zestresowane”.

Obecnie jednak damy nie mają powodów, aby się stresować. Wspomagają je: rząd, różne stowarzyszenia lub bogaci krewni, tacy jak pan Rafiel. Czyż nie o to w tym wszystkim chodziło? Czyż nie dlatego znalazła się tutaj? Wszystko zorganizował pan Rafiel na kilka tygodni przed śmiercią. Chociaż lekarze wiedzą, że pacjenci, którym zostało niewiele życia, niespodziewanie chwytają się jego resztek, odmawiając zrobienia ostatniego kroku, nie oczekiwali, że pan Rafiel będzie żył tak długo. Często jednak mają rację. Zdają sobie sprawę, że ludzie mimo, iż są nieszczęśliwi, cierpiący, ułomni i opuszczeni, ciągle pragną żyć. Chętnie zażywają lekarstwa, aby przetrwać jakoś noc, ale nigdy nie wezmą takiej ilości, która umożliwiłaby im przejście w inny, nieznaną świat.

Marple, spoglądając na ogród, znowu pomyślała o panu Rafielu. Czuli, że zaczyna rozumieć sens zadania nałożonego na nią. Pan Rafiel lubił mieć wszystko zaplanowane. Jak mówiła Cherry w takiej sytuacji: miał problem. Gdy Cherry miała problem przychodziła po radę do Marple. Pan Rafiel wszystkie problemy rozwiązywał sam, ale z tym nie mógł sobie poradzić. Przywiązany do łóżka, umierający mógł załatwiać sprawy finansowe, skontaktować się z adwokatami, przyjaciółmi, rodziną, ale było coś, co go męczyło. Miał problem, którego nie mógł rozwiązać sam, ani za pomocą pieniędzy, ani adwokatów lub innych osób.

— A więc pomyślał o mnie — rzekła Marple.

Ciągle była zaskoczona. Teraz, z perspektywy czasu, list wydał jej się bardzo jasny. Pan Rafiel uważał, że ma zdolności do rozwiązywania spraw kryminalnych, poza tym wiedział, że uwielbia ogrody. Z pewnością nie miał zamiaru dać jej zagadki ogrodniczej. Może to, czego chciał od niej, było związane z morderstwem w Indiach Zachodnich lub gdzieś w sąsiedztwie jej domu. Ale gdzie?

Pan Rafiel wszystko dokładnie przemyślał, ale uważała, że mógł jaśniej sprecyzować, czego od niej oczekuje. Zdziwiła się, że po prostu nie posłał po nią przed śmiercią.

Mógłby ją wziąć na litość i zapewniając, że już niedługo umrze, męczyłby ją tak długo, aż wreszcie zgodziłaby się zrobić to, o co ją prosił, lecz to nie w jego stylu. Oszukiwał ludzi, ale w tym przypadku to nie wchodziło w grę. Nie chciał błagać ani prosić. Zrobił to, co

zawsze robił przez całe swoje życie. Płacił i wymagał. Pragnął na tyle ją zainteresować, aby wykonała jego polecenie. Zapłata miała ją zaintrygować, a nie skusić. Suma była duża, ale ona nie potrzebowała pieniędzy. Ukochany, oddany kuzyn dałby jej każdą sumę, gdyby tylko poprosiła. Pan Rafiel zaofiarował pieniądze, aby ją zaintrygować. W ten sam sposób jak intrygujące jest otrzymanie biletu na „Irish Sweep”. Pokażna kwota, którą można zdobyć, mając dużo szczęścia.

„Oprócz szczęścia jednak — pomyślała Marple — potrzeba będzie dużego wysiłku, intensywnego myślenia i rozwagi”. Pociąga to także za sobą pewną dozę niebezpieczeństwa. Pan Rafiel nie wyjaśnił niczego, zdając sobie sprawę, że gdyby przedstawił swój punkt widzenia, niechcący mógłby zasugerować coś i wpłynąć negatywnie na sposób jej rozumowania. Tak więc, Marple sama musiała do wszystkiego dojść — fakt po fakcie.

Wyjechała z St. Mary Mead, a więc stamtąd nie mógł nadejść atak. To nie był problem drobnosąsiedzki, z którym można sobie poradzić, czytając gazetę. Dwa listy, zaproszenie na wycieczkę, wizyta w „Starym Dworze” w Jacelyne St. Mary, gdzie mieszkały Clotilde i Anthea Bradbury–Scott oraz Lavinia Glynne.

Cała sprawa miała jakiś związek z siostrami. Czasu miała niewiele. To jedyny kłopot. Nigdy nie wątpiła w swoje zdolności w zdobywaniu informacji. Jak wszystkie starsze panie, mówiąc o wszystkim i o niczym, powodowała, że osoby przebywające w jej towarzystwie również zaczynają mówić, nieświadomie zdradzając różne tajemnice. Będzie rozprawiała o swoim dzieciństwie, jedzeniu, służących, siostrach, podróżach, ślubach i... zgonach. Nie może okazać szczególnego zainteresowania tym tematem. Powinna reagować jak wszystkie starsze panie: „O mój Boże! To takie przykre! Musi przesłedzić związki, historie rodzinne, ważne zdarzenia, niekoniecznie dotyczące tych trzech osób. Coś, o czym wiedzą i zaczną mówić. Musi znaleźć jakąś wskazówkę. Jeśli nie — drugiego dnia dołączy do wycieczki. Może to, czego szuka, znajduje się tam. Zmarszczyła brwi, starając się coś sobie przypomnieć. Przemknęło jej przez myśl: Jestem pewna... ale czego jestem pewna?”

Wróciła myślami do trzech sióstr. Nie powinna zbyt długo tu gościć. Rozpakuje tylko rzeczy do spania, przybory toaletowe, piżamę i zejdzie do salonu na przyjemną pogawędkę. Najpierw musi ustalić, czy trzy siostry ma traktować jak wrogów czy jak sprzymierzeńców.

Usłyszała pukanie do drzwi. Otworzyły się i weszła Glynne.

— Mam nadzieję, że będzie tu pani wygodnie? Czy mogę pomóc w rozpakowywaniu? Mamy bardzo miłą panią do pomocy, ale przychodzi tylko rano.

— Och nie, dziękuję. Wzięłam ze sobą jedynie kilka drobiazgów — odparła Marple.

— Pomyślałam, że wskażę pani drogę na dół. To niezbyt funkcjonalny dom. Są dwa zejścia i to trochę utrudnia życie. Czasem można się zgubić.

— To bardzo miło z pani strony — rzekła Marple.

— Może zeszlaby pani na szklaneczkę cherry przed lunchem?

Marple podziękowała i podażyła za panią Glynne. Wyglądała na dużo młodszą niż była, gdzieś około pięćdziesiątki lub niewiele więcej. Marple schodziła powoli, jak zawsze

niepewna swojej lewej nogi, chociaż z jednej strony schodów znajdowała się poręcz.

„Piękne schody” — pomyślała i powiedziała:

— To naprawdę piękny dom. Zbudowany chyba w osiemnastym wieku. Czy mam rację?

— W 1780 — odparła Glynne.

Była wyraźnie zadowolona z pochwały Marple. Zaprowadziła ją do salonu. Duży, pełen wdzięku pokój z kilkoma pięknymi meblami: biurko królowej Anny i sekretarzyk Williamsa i Marii. Znajdowały się tam też niewygodne kanapy i gablotki, perkalowe zasłony wyblakłe i podniszczone, dywan chyba irlandzki, niezgrabna welwetowa sofa. Pozostałe dwie siostry już siedziały. Powitały ją szklaneczką cherry i wskazały krzesło,

— Pani lubi chyba wysokie oparcie?

— O, tak — odparła Marple. — To dobre na kręgosłup. Wyglądało na to, że siostry dużo wiedziały o jej kłopotach

z kręgosłupem. Najstarsza była wysoką, piękną kobietą z ciemnymi włosami zwiniętymi w węzeł. Druga, dużo młodsza, szczupła z siwymi włosami, niegdyś jasnymi, luźno rozrzuconymi w nieładzie na ramionach, sprawiała wrażenie widma lub ducha. „Mogłaby grać rolę dojrzałej Ofelii” — pomyślała Marple.

Clotilde świetnie nadawałaby się do roli Klitajmestry. Spokojnie mogłaby zadźgać nożem swego męża w wannie w triumfalnym uniesieniu. Skoro jednak nigdy nie miała męża, nie wchodziło to w rachubę. Marple nie wyobrażała sobie, kogo innego Clotilde mogłaby zamordować — Agamemnona nie było w tym domu. Clotilde Bradbury–Scott, Anthea Bradbury–Scott i Lavinia Glynne. Clotilde przystojna, Lavinia prosta, ale przyjemna, Anthea z tikiem nerwowym w jednym oku. Oczy duże, szare. Miała dziwny zwyczaj patrzenia na prawo, potem na lewo i nagle gdzieś poza plecy rozmówczynie. Jakby czuła, że ktoś ciągle ją śledzi. „Dziwna” — pomyślała Marple.

Rozpoczęły rozmowę. Glynne wyszła prawdopodobnie do kuchni, wyglądało na to, że to ona jest gospodynią. Rozmowa przyjęła zwykły bieg. Clotilde zaczęła opowiadać historię domu.

— Nasz wuj miał tylko jednego syna, który został zabity na wojnie. Jesteśmy ostatnie z rodziny, poza bardzo dalekimi krewnymi.

— Piękny dom — zauważyła ponownie Marple. — Pani siostra mówiła, że został zbudowany w 1780 roku.

— Tak. Woląłybyśmy jednak, żeby nie był taki duży.

— Remonty są bardzo kosztowne — wtrąciła Marple.

— O, tak — westchnęła Clotilde. — Przez to bardzo zaniedbałyśmy dom. Musiałyśmy pozbyć się wielu rzeczy. Smutne, ale konieczne. Szczególnie wielu zabudowań na zewnątrz, na przykład cieplarni, a była bardzo piękna.

— Wspaniale winoroślą muszkatelu — wtrąciła Anthea — i heliotrop liliowy porastały wszystkie ściany dookoła. Bardzo tego żałuję. Oczywiście, podczas wojny nie można było znaleźć żadnego ogrodnika. Miałyśmy młodego, ale powołali go do wojska. Nie można mieć o to pretensji, nie byliśmy w stanie utrzymać cieplarni, no i zniszczyła się.

— Tak samo jak szklarnia obok domu.

Obie siostry westchnęły, tak jak wzdycha się, gdy zauważa przemijający czas, który zmienia wszystko na gorsze.

„W tym domu wyczuwa się melancholię — pomyślała Marple. — I jeszcze smutek, wbudowany tak głęboko, że nie można go oderwać. Wtopił się”. Marple nagle wzdygnęła się.

9.

POLYGONUM BALDSCHUANICUM

Obiad był tradycyjny: kawałek baraniny, pieczone ziemniaki, tarta z wiśniami, miseczka kremu oraz ciasteczka bez smaku. W pokoju, w którym jadły, wisiały na ścianach obrazy rodzinne bez szczególnej wartości, stał ciężki i duży kredens, piękny mebel w kolorze wiśniowego mahoni oraz duży, również mahoniowy stół. Mogło przy nim wygodnie zasiąść przynajmniej dziesięć osób.

Marple rozpoczęła rozmowę od opowiadania o wycieczce. Ale, jako że minęły dopiero trzy dni, niewiele miała do powiedzenia.

— Pan Rafael był pani starym znajomym? — zapytała najstarsza z sióstr.

— Niezupełnie — odparła Marple. — Po raz pierwszy spotkałam go na wycieczce w Indiach Zachodnich. Wyjechał tam chyba ze względów zdrowotnych.

— Rzeczywiście bardzo niedomagał ostatnimi laty — zgodziła się Anthea.

— To bardzo smutne — kontynuowała Marple. — Podziwiam jego wytrwałość. Pracował tak ciężko. Dzień w dzień dyktował sekretarce i wysyłał różne polecenia. Nie zmniejszał tempa życia mimo choroby.

— To prawda — powiedziała Anthea.

— Nie widziałyśmy go przez ostatnie lata — dodała Glynne. — Był bardzo zajęty, ale zawsze przysyłał nam kartkę na święta Bożego Narodzenia.

— Czy mieszka pani w Londynie? — zapytała Anthea.

— Nie. W małym miasteczku w połowie drogi między Loomouth a Market Basing, dwadzieścia pięć mil od Londynu. Dawniej było to piękne stare miasteczko, ale obecnie, jak to mówią, rozbudowuje się... Pan Rafael mieszkał w Londynie, tak? W hotelu na St. Honoré zauważyłam jego adres londyński: Eaton Square lub Bergrave Square.

— Miał willę w Kent — powiedziała Clotilde — w której odpoczywał i przyjmował gości: przyjaciół z pracy, z zagranicy. Nie byliśmy tam. Spotykałyśmy się z nim w Londynie, w tych rzadkich przypadkach, gdy miał czas.

— To bardzo miłe z jego strony — powiedziała Marple — że poprosił panie o gościnę dla mnie. Nie oczekiwałam, że choć tak zapracowany, miał czas myśleć” o zapewnieniu mi wygód.

— Już wcześniej zdarzało się nam przyjmować jego przyjaciół. Te wycieczki są doskonale zorganizowane, ale nie zawsze można wszystkim dogodzić. Młodzi ludzie lubią wybierać się w dalekie trasy, wspinać po górach, natomiast starsi wolą pozostać w hotelu. Hotele nie zawsze mogą pochwalić się najlepszym standardem. Myślę, że dzisiejsze i jutrzejsze zwiedzanie — wyprawa na St. Bonaventure — będzie dla pani bardzo męczące. Jutro będzie zorganizowana także wycieczka — na wyspę — łódką, a morze czasami jest niespokojne.

— Zwiedzanie domów też może być męczące — wtrąciła Glynne.

— Och, tak — westchnęła Marple. — Tyle wchodzenia i wystawiania. Strasznie bolą mnie nogi... Nie powinnam chyba wybrać się na zwiedzanie, choć to takie kuszące móc zobaczyć piękną architekturę, pięknie umeblowane wnętrza, no i oczywiście, wspaniałe obrazy.

— I ogrody — dodała Anteha. — Pani lubi ogrody?

— Bardzo. Z folderu, który otrzymaliśmy wynika, że będziemy mieli co zwiedzać. Bardzo jestem tego ciekawa. — rozpromieniła się.

Rozmowa odbywała się w przyjemnej, naturalnej atmosferze, lecz Marple wyczuwała jakies dziwne napięcie, pewną sztuczność. Ale co rozumiała przez sztuczność?

Wymiana zdań, jak zwykle w takich okolicznościach, ograniczała się do stosownych uprzejmości i konwencjonalnych uwag. „Trzy siostry” — pomyślała znowu i skojarzyła to natychmiast ze złowieszczą atmosferą Makbeta — z Trzema Wiedźmami, choć trudno było porównać obecne tu panie z nimi. Marple zawsze uważała, że reżyserzy niewłaściwie przedstawiali te trzy postacie. W jednym z przedstawień wiedźmy przypominały jej mimów z pantomimy, ze skrzydłami, śmiesznymi szpiczastymi nakryciami głowy. Tańczyły i latały dookoła. Wydało jej się to zupełnie absurdalne.

Pamięta, jak skomentowała tę sztukę, rozmawiając z kuzynem, który ją na nią zaprosił: „Wiesz co, Raymondzie, gdybym to ja reżyserowała tę sztukę, przedstawiłabym wiedźmy jako trzy zwykłe kobiety, stare Szkotki. Nie tańczyłyby ani nie płąsały. Patrzyłyby tylko chytrze na siebie. Pod tą maską zwykłości wyczuwałoby się podstęp”.

Marple poczęstowała się tartą i spojrzała na Antheę. Zwykła, niechlujna, niewyraźnie wyglądająca kobieta. Dlaczego Marple wyczuwała w niej coś groźnego?

„Wymyślam — powiedziała do siebie Marple. — Nie powinnam tego robić”.

Po lunchu zaprowadzono ją do ogrodu. Towarzyszyła jej Anthea. Doświadczenie to można zaliczyć do raczej przykrych. Kiedyś był on piękny i dobrze utrzymany, choć nic zachwycającego, po prostu zwykły wiktoriański ogród. Krzewy, aleje lancetowatych wawrzynów, zadbane trawniki i ścieżki. Ogród warzywny, zbyt duży dla trzech sióstr, miał część nie uprawianą, zostawioną chwastom. Niskopienny czarny bez porósł teraz prawie wszystkie kwietniki. Marple ledwo powstrzymała się, aby nie powyrywać niepożądanych powojów domagających się pierwszeństwa w dojściu do światła.

Długie włosy Anthei trzepotały na wietrze, który zrywał z nich co jakiś czas spinki, rzucając na ścieżkę lub trawę. Głos jej drżał, gdy mówiła:

— Pani ma z pewnością ładny ogród.

— Och, bardzo mały.

Zatrzymały się przed pagórkiem na końcu ścieżki, usypanym koło ściany.

— Nasza cieplarnia — ponuro zauważyła Anthea.

— Tu hodowały panie tę wspaniałą winorośl? — spytała Marple.

— Trzy rodzaje — wyjaśniła Anthea. — Black Hamburg; jeden z tych małych, białych, bardzo słodkich i trzeci to winorośl muszkatelu.

— I jeszcze heliotrop, tak?

— Tak.

— Taki śliczny zapach. Czy cieplarnię zniszczyła jakaś bomba?

— Och nie, tu było spokojnie! Zapadła się ze starości. Nie mieszkamy tu długo i nie miałyśmy pieniędzy na reperację lub odbudowę. Ale i tak nie było warto, gdyż nie utrzymałybyśmy jej. Niestety, musiałyśmy pozwolić, aby uległa zniszczeniu. Jak pani widzi, wszystko zarosło.

— A cóż to za roślina?

— Zupełnie zwykła. Zaczyna się na p... Poły... coś tam.

— Chyba znam nazwę. Polygonum Baldschuanicum. Bardzo dobra, jeśli trzeba zasłonić jakieś wysypisko śmieci lub coś podobnego.

Góra przed nią była pokryta grubą warstwą zielonobiałej rośliny. Stanowiła ona przeszkodę dla każdej innej. Polygonum porastało wszystko i to w niezwykle szybkim Temple.

— Ciepłarnia musiała być duża? — spytała Marple.

— Tak, hodowałyśmy w niej brzoskwinie i nektarynki. — Na twarzy Anthei widać było zatroskanie.

— Wygląda całkiem nieźle — pocieszała ją Marple. — Czyż te białe kwiatki nie są śliczne?

— Tu, na lewo rosło drzewo magnolii. Cały ogród okalał piękny trawnik. Ale to też trudno utrzymać. Wszystko zniszczone.

Szybko odeszła od pagórka i udała się jedną ze ścieżek odchodzących od ściany ogrodu. Przyspieszyła kroku tak, że Marple ledwo nadążała. Jakby świadomie odciągała ją od tego miejsca, jak od czegoś okropnego i nieprzyjemnego. Czy wstydziła się, że tak to wszystko zostało zaniedbane? Polygonum rozrastało się bez żadnej kontroli, tworząc dziki zakątek ogrodu.

„Wygląda, jakby chciała od tego uciec” — pomyślała Marple, podążając za nią. Uwagę jej zwrócił mały, rozpadający się chlewik, otoczony pnącymi różami.

— Mój wuj hodował świnie — wyjaśniła Anthea — ale oczywiście teraz to jest nie do pomyslenia. Zbyt hałaśliwe. Mamy obok domu kilka róż z gatunku floribundas.

Marple wymieniła kilka nowych rodzajów ostatnio wyhodowanych róż. Anthea nie miała o nich pojęcia.

— Często pani bierze udział w takich wycieczkach? — zmieniła temat Anthea.

— Chodzi pani o zwiedzanie zabytków?

— Tak. Niektórzy jeżdżą co roku.

— To zbyt kosztowna wycieczka, jak dla mnie. Znajomy mi ją zafundował w prezencie urodzinowym.

— Zastanawiałam się właśnie, dlaczego wybrała się pani na tę wycieczkę. To takie męczące. Ale oczywiście, jeśli pani była w Indiach Zachodnich...

— Indie Zachodnie to także prezent, ale od kuzyna. Kochany chłopak. Tak bardzo myśli o sw ojej ciotce.

— Ach, teraz rozumiem.

— Nie wiem, co byśmy zrobili bez młodych. Są tacy oddani.

— No tak, możliwe... naprawdę, to nie wiem. Nie mieliśmy nikogo takiego w rodzinie.

— Czy pani siostra Glynne ma dzieci? Nic nie mówiła, a nie chciałam być wścibska i pytać.

— Nie mieli dzieci. Może to i dobrze.

„Ciekawe, co miała na myśli, mówiąc to” — dziwiła się w duchu Marple, gdy wracały do domu.

10.

CUDOWNE LATA NASZEJ MŁODOŚCI

1

O wpół do dziewiątej następnego ranka Marple usłyszała delikatne pukanie i w odpowiedzi na zaproszenie, w drzwiach pojawiła się starsza kobieta z tacą, na której stał dzbanek z herbatą, filiżanka, kubek mleka i talerz z chlebem i masłem.

— Poranne śniadanie — oznajmiła wesoło. — Piękny dzień, prawda? Widzę, że już pani wstała. Jak się spało?

— Dziękuję, bardzo dobrze — powiedziała Marple i odłożyła na bok książeczkę do nabożeństwa, którą właśnie czytała.

— Śliczna pogoda. Doskonała na wspinaczkę po skałach Bonaventury, ale taka wyprawa jest zbyt męcząca.

— Bardzo się cieszę, że tu jestem. To bardzo miłe ze strony pani Glynne i siostr, że mnie zaprosiły.

— To dla nich sama przyjemność. Wnosi im trochę radości. Dzisiaj to raczej smutne miejsce.

Odsunęła szerzej zasłony, odstawiła krzesło i naląa gorącej wody do miednicy.

— Łazienka jest piętro wyżej, ale myślę, że lepiej dla pani będzie mieć gorącą wodę pod ręką, niż wspinać się po schodach.

— Bardzo pani dziękuję... Zna pani dobrze ten dom? — spytała Marple.

— Zaczęłam tu pracować jako mała dziewczynka. Zatrudniano tu jeszcze kucharkę, posługaczkę i sprzątaczkę... To znaczy, w dawnych czasach pułkownika. Trzymał też konie i stajennego. To były czasy! Szkoda, że tak wszystko się zmienia. Pułkownik młodo stracił żonę, syn zginął na wojnie, a córka zamieszkała na drugim końcu świata.

Poślubiła Nowozelandczyka. Umarła podczas porodu, dziecko również. Pułkownik mieszkał zupełnie sam i zaniedbał dom. Po jego śmierci dom odziedziczyła pani Clotilde. Dołączyła do niej pani Anthea, a później, po stracie męża, pani Lavinia. — Westchnęła i potrząsnęła głową. — Nigdy nie dbały o dom. Nie stać je było na to. Ogród też zaniedbały.

— To bardzo przykre.

— Takie miłe kobiety. Pani Anthea trochę dziwna, ale pani Clotilde skończyła uniwersytet, zna trzy języki. Pani Glynne taka przyjemna. Myślałam, że kiedy zamieszkaj:) razem, zmienią wszystko na lepsze. Ale nigdy nie wiadomo, co nas czeka. Czasami mam wrażenie, że na tym domu ciąży jakieś przekleństwo...

Marple spojrzała z zaciekawiona.

— ...Najpierw jedno, potem drugie nieszczęście. Ta straszna katastrofa lotnicza w Hiszpanii. Wszyscy zginęli. Samolot to okropna rzecz. Nigdy bym się nie odważyła do niego wsiąść. Zginęli wtedy przyjaciele pani Clotilde. Mąż i żona. Córka ich, na szczęście, była wtedy w szkole i uniknęła śmierci. Pani Clotilde przygarnęła ją. Wszystko

jej dawała, traktowała jak córkę, zabierała na wycieczki zagraniczne. Słodka, wesola dziewczyna. Nigdy nie myślałam, że coś tak strasznego może się zdarzyć.

— I to się stało tutaj?

— Nie, dzięki Bogu. Chociaż można to i tak określić. Tutaj go spotkała. Mieszkał w sąsiedztwie. Ludzie znali jego ojca, bardzo bogaty człowiek. Pewnego dnia przyszedł tu z wizytą i tak się zaczęło.

— Zakochali się?

— Od pierwszego wejrzenia. Był przystojnym chłopcem o miłym usposobieniu. Przez moment nie przyszłoby mi do głowy... — przerwała.

— Czy ona popełniła samobójstwo?

— Samobójstwo? — Starsza kobieta szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. — Kto pani to powiedział? To było morderstwo z zimną krwią. Udusił i zmasakrował twarz. Pani Clotilde musiała ją zidentyfikować. Od tego czasu już nigdy nie była sobą. Ciało znaleziono dobre trzydzieści mil stad, w zaroślach starego kamieniołomu. To nie pierwsze morderstwo, którego dokonał. Były też inne dziewczęta... Nie mogli jej znaleźć przez sześć miesięcy, mimo że policja wszędzie szukała. Diabelskie nasienie od urodzenia. Mówi się, że ludzie którzy nie wiedzą, co robią, nie mogą ponosić odpowiedzialności za swoje czyny. Nie wierzę w ani jedno słowo. Mordercy to mordercy. I nawet się ich nie wiesza. Wiem, że w rodzinach zdarzają się szaleńcy, tak jak u Berwentsów czy Brassingtonów — prawie w każdym pokoleniu ktoś kończył w domu wariatów. Albo ta stara Paulett przechadzająca się po łąkach i udająca Marię Antonię. Nie była wariatką, po prostu głupią kobietą. Ale ten chłopak to diabeł.

— I co z nim zrobili?

— Wtedy zniesiono już karę śmierci, ale i tak był chyba za młody, nie pamiętam. Tak czy siak, skazano go i wysłano do Bostolu czy też Broadsandu, coś na B.

— Jak miał na imię ten chłopiec?

— Michael, jakiś tam. To zdarzyło się dziesięć lat temu. Włoskie nazwisko... ktoś, kto maluje obrazy. Raffle...

— Michael Rafiel?

— O, tak. Ponoć miał bogatego ojca, który wyciągnął go z więzienia za pomocą jakiegoś szwindla. Ucieczka jak z filmu. Ale myślę, że to tylko takie gadanie.

A więc to nie samobójstwo. Morderstwo. „Miłość!” Elizabeth Temple podała to jako przyczynę śmierci dziewczyny. W pewnym sensie miała rację. Młoda dziewczyna zakochuje się w mordercy i z miłości do niego kończy okrutną śmiercią. Marple wzdrygnęła się. Wczoraj wracając jedną z ulic miasteczka, zobaczyła na murze wypisany dużymi literami tytuł z gazety: „Morderstwo na wzgórzach Epsom, odnaleziono ciało drugiej dziewczyny. Młody człowiek zatrzymany w celu złożenia wyjaśnień”.

A więc historia powtarza się według starego, okrutnego wzoru. Przypomniały jej się słowa zapomnianego poematu:

Młodość jest jak biała róża, namiętna, blada.

Jak dźwięczący strumień w cichej dolinie,

Książę z bajki w prozaicznym opowiadaniu.

Och, nie ma nic bardziej kruchego.

Niż Biała Róża Młodości.

Kto miał uchronić Młodość od Bólu i Śmierci. Młodość, która nie mogła i nigdy nie byłaby w stanie ochronić samej siebie. Czyżby zbyt mało wiedzieli? A może zbyt dużo i dlatego myśleli, że wiedzą wszystko.

2

Tego ranka Marple zeszła na dół nieco wcześniej niż zwykle. Nie było nikogo. Wyszła na zewnątrz i obesła ogród dookoła. Nie dlatego, że się jej podobał. Miała dziwne przeczucie, że w ogrodzie znajduje się coś, co powinna zauważyć, coś, co wyjaśni jej zagadkę. Woląла nie spotkać żadnej z sióstr. Musiała przemyśleć pewne sprawy — nowe fakty, które pojawiły się podczas rozmowy z Janet.

Wyszła boczną furtką na ulicę, która biegła wzdłuż rzędu małych sklepików aż do miejsca, gdzie wieża oznaczała teren kościoła i cmentarza. Doszła do końca uliczki, otworzyła bramę cmentarną i zaczęła spacerować pomiędzy grobami. Nie zauważyła wśród nich nic ciekawego. Nazwiska powtarzały się, jak zwykle w małych miasteczkach. Sporo nagrobków z widniejącym na nich nazwiskiem Jasper Prince, Margery Prince, Edgar i Walter Prince i czteroletnia Melania Prince. Cała rodzina. Hiram Broad. Ellen Jane Broad, dziewięćdziesięcioletnia Elisa Broad.

Już odchodziła, gdy zauważyła starszego mężczyznę porządkującego groby. Ukłonił się i przywitał.

— Dzień dobry — odparła Marple. — Piękny dzień.

— Ale będzie padało — oznajmił mężczyzna z pewnością w głosie.

— Leży tu prawie cała rodzina Princów i Broadów.

— Posiadali kawał ziemi. Mieszkali tu od pokoleń.

— Jest też grób dziecka. To bardzo przykre, gdy widzi się takie groby.

— Ach, mała Melania. Nazywali ją Melis. Zginęła tragicznie. Przejechał ją samochód, gdy przebiegała przez ulicę. Często się to teraz zdarza, samochody jeżdżą jak szalone.

— Przykro patrzeć Jak wielu ludzi dookoła nas umiera. Zauważamy to dopiero na cmentarzach. Choroby, podeszły wiek, wypadki, czasami inne koszmarnie rzeczy jak morderstwa młodych dziewcząt..

— O tak, mnóstwo jest takich przypadków. Bezmyślne dziewczyny. Rodzice nie mają czasu się nimi zając; zbyt dużo pracują.

Marple zgodziła się, ale nie chciała już dłużej mówić na ten temat.

— Mieszka pani w „Starym Dworze”? — spytał, — Zauważyłem, że przyjechała pani z wycieczką. Przypuszczam, że zbyt męcząca dla pani. Wiele osób nie wytrzymuje nadmiaru wrażeń.

— Pani Glynne i jej dwie siostry były bardzo uprzejme. Mieszkają tu od dawna?

— Nie tak bardzo. Od około dwudziestu lat. Należały do rodziny pułkownika Bradbury-Scotta, który umarł; żył siedemdziesiąt lat.

— Miał dzieci?

— Syna, ale zabili go na wojnie. Dlatego one odziedziczyły majątek.

Wrócił do pracy przy grobach.

Marple weszła do kościoła. Widać było, że dotykała go ręka wiktoriańskiego restauratora, jako że okna ozdobiono jasnymi witrażami. Z przeszłości pozostało tylko kilka mosiężnych plakiet i tabliczek pamiątkowych. Marple usiadła w jednej z dość niewygodnych ławek i zaczęła rozmyślać.

Była chyba na dobrym tropie. Fakty zaczynały się wiązać ze sobą, choć do jasności sprawy było jeszcze daleko.

Zamordowano dziewczynę — faktycznie zamordowano ich kilka. Zatrzymano młodego chłopaka w celu złożenia wyjaśnień. Ale to stara historia, sprzed dziesięciu czy dwunastu lat. Nie było już co wyjaśniać.

Co ona miała w tej sprawie zrobić? O co chodziło panu Rafielowi?

Musi porozmawiać z panią Temple. Wspominała o dziewczynie zaręczonej z Michaeliem. Siostry zdawały się o tym nie wiedzieć. W myślach zaczęła tworzyć sobie wersję morderstwa — takiego, jakie zwykle zdarza się w małych miasteczkach:

„Chłopak spotyka dziewczynę. Ta odkrywa, że jest w ciąży i oświadcza, że chce wyjść za niego za męża. On prawdopodobnie nie ma na to ochoty i nigdy nie miał. Ale sprawa się komplikuje. Jego ojciec nie chce o niczym słyszeć. Znajomi jednak będą nalegali, aby zrobił to, co do niego należy. Dziewczyna go już nie obchodzi, może poznał inną. Wybiera więc krótsze, brutalniejsze rozwiązanie — dusi ją i masakruje twarz w celu uniemożliwienia rozpoznania”.

Marple rozejrzała się po kościele. Wyglądał tak spokojnie, że istnienie zła wydawało się niemożliwe. Pan Rafiel przypisywał jej cechę intuicyjnego wykrywania zła. Wstała, wyszła z kościoła i jeszcze raz spojrzała na cmentarz. Tutaj nie wyczuwała niczego.

Czy zło znajdowało się w „Starym Dworze”? Ta głęboka rozpacz, ponury smutek.

Rozbiegane oczy Anthei, jakby obawiała się jakiejś niewidzialnej osoby stojącej za nią.

Trzy Siostry — coś wiedziały, ale co?

Znowu pomyślała o Elizabeth Temple. Ujrzała ją w myślach wspinającą się po stromej ścieżce, prowadzącej do punktu widokowego nad morzem. Jutro, gdy dołączy do grupy, będzie musiała z nią porozmawiać.

Marple skierowała się do domu. Szła powoli, gdyż czuła się zmęczona. Jak dotąd, pobyt w „Starym Dworze” nie przyniósł nowych faktów, poza dawną tragedią, opowiedzianą przez Janet. Ale w każdej rodzinie zawsze tkwią różne wspomnienia z przeszłości: te szczęśliwe, jak śluby, udane operacje, wypadki, z których ludzie cudem wyszli cało, i te tragiczne.

Zbliżając się do furtki, zauważyła stojące tam dwie kobiety. Jedna z nich podeszła do niej. Była to Glynne.

— Ach, tu pani jest! — zawołała. — Zastanawialiśmy się właśnie, gdzie pani poszła i czy nie przemęczyła się zbyt. Gdybym wiedziała, że już pani wstała, poszłabym z panią i pokazała wszystko. Prawdę powiedziawszy, nie ma tego dużo.

— Spacerowałam tylko w pobliżu — odparła Marple. — Obejrzałam kościół i cmentarz.

Zawsze mnie interesowały. Czasami można natknąć się na bardzo dziwne epitafia. Mam już całkiem niezłą ich kolekcję... Ten kościół był chyba odrestaurowany w czasach wiktoriańskich?

— Tak... Ustawili w nim okropne ławki, z solidnego drzewa doskonałej jakości, ale zrobione zupełnie bez smaku.

— Czy był wyposażony w jakieś wartościowe rzeczy?

— Nie sędzę, to nie jest stary kościół.

— Rzeczywiście nie ma w nim zbyt wielu tablic pamiątkowych, mosiężnych plakiet i tym podobnych.

— Interesuje się pani architekturą sakralną?

— Och nie, nie studiuję jej, ani nic takiego, ale tam gdzie mieszkam, życie toczy się oczywiście wokół kościoła. Zawsze tak było. Dzisiaj może trochę to się zmieniło... Wychowała się pani gdzieś tu w okolicy?

— Niezupełnie. Mieszkaliśmy niedaleko, trzydzieści mil stad w Little Herdsley. Mój ojciec był emerytowanym wojskowym, majorem artylerii. Czasami przyjeżdżaliśmy tu odwiedzić wuja, a właściwie jego ojca, zanim umarł. Tutaj wprowadziłam się dopiero po śmierci mego męża, cztery czy pięć lat temu.

— Ach, rozumiem.

— Siostry nalegały, abym zamieszkała z nimi i mnie się też wydawało, że tak będzie najlepiej. Mieszkaliśmy w Indiach przez pewien czas. Mój mąż stacjonował tam przed śmiercią... Trudno powiedzieć, skąd biorą się nasze korzenie.

— No, tak, czuła się pani związana z tymi dwoma miejscami.

— Cały czas utrzymywałam kontakt z siostrami. Czasem układa się zupełnie inaczej, niż sobie zaplanujemy. Kupiłam mały domek blisko Hampton Court, koło Londynu, gdzie spędziłam sporo czasu. Pracowałam krótko dla dwóch instytucji charytatywnych w Londynie.

— Nie marnowała pani czasu.

— Ostatnio zdecydowałam, że powinnam zamieszkać z siostrami. Martwiłam się o nie.

— Chorowały? — zapytała Marple. — Tak, to bardzo męczące, gdy nie ma odpowiednich ludzi, którzy zajęliby się osobami starymi, cierpiącymi na różne dolegliwości. Tyle teraz chorych na reumatyzm i artretyzm. Człowiek ciągle boi się, że nagle potknie się i upadnie, przewróci w wannie lub spadnie ze schodów.

— Clotilde zawsze była silna — stwierdziła Glynne. — Wytrzymała i uparta. Ale niepokoje się o Antheę. Czasami zachowuje się bardzo dziwnie. Wychodzi dokądś i gubi się. Nie wie, gdzie się znajduje.

— To przykre. Ale ludzie mają tyle różnych kłopotów.

— Nie wydaje mi się, żeby Anthea miała jakieś kłopoty.

— A może sprawy finansowe?

— Nie, nie. Bardzo martwi się ogrodem. Pamięta, jak wyglądał kiedyś i chciałaby przywrócić dawny stan. Clotilde ciągle musi jej tłumaczyć, że nie stać nas na to. Ale ona cały czas mówi o cieplarni, brzoskwiniach, które tu rosły...

— ... i o heliotropie, który obrastał ściany?

— Pamięta pani? Tak, takie rzeczy pamięta się. On ma taki przyjemny zapach. I winoroślą... takie małe słodkie grona. Ale cóż, nie powinno się za dużo rozmyślać o przeszłości.

— Marzy też pewnie o nowych kwietnikach? — dodała Marple.

— Tak, duży pas dookoła ogrodu, ale to nierealne. I tak dobrze, że mamy ludzi, którzy koszą trawnik. Każdego roku zatrudniamy inną firmę. Anthea pragnie zasiać trawę pampasową i goździki pani Simpkin, wzdłuż ściany. No i drzewo figowe obok cieplarni. Wciąż o tym mówi.

— To musi być męczące dla pani.

— Żadne argumenty do niej nie trafiają. Clotilde bardziej stanowczo do niej podchodzi niż ja. Kategorycznie odmawia jakiegokolwiek rozmowy na ten temat. Nie chce o tym w ogóle słyszeć.

— To trudne umieć właściwie postępować z ludźmi — zauważyła Marple. — Czy należy być stanowczym, a może nawet gwałtownym czy też łagodnym, współczującym, wierząc, iż coś się zmieni?

— Mnie jest łatwiej, jako że nie mieszkam tu na stałe, uwierzyć, że wszystko będzie lepiej. Przyjechałam kiedyś i dowiaduję się, że Anthea wynajęła najdroższą firmę trudniącą się porządkowaniem trawników i że pragnie odbudować cieplarnię — co oczywiście jest absurdalne, gdyż nawet jeśli zasadzi się winogrona, zaowocują dopiero za dwa, trzy lata. Clotilde nic o tym nie wiedziała i mocno się zdenerwowała, gdy zobaczyła rachunki. Była wtedy bardzo nieprzyjemna dla Anthei.

— To wszystko takie skomplikowane — rzekła Marple. Bardzo często używała tej tak pomocnej frazy.

— Jutro będę musiała wstać wcześniej rano — powiedziała. — Dowiedziałam się właśnie, że wycieczka wyrusza dalej bardzo wcześniej. Chyba około dziewiątej.

— O Boże, mam nadzieję, że nie będzie dla pani zbyt męcząca.

— Chyba nie. Zamierzamy zwiedzać... Zaraz, jak się to nazywało... Aha, Stirling St. Mary, jeśli dobrze pamiętam. Niedaleko stąd. Po drodze mijamy zabytkowy kościół i zamek. Po południu zwiedzamy ogród; niewielki, ale znajdują się w nim ciekawe okazy kwiatów. Jestem pewna, że po odpoczynku, jakiego tu zastałam, nie będzie to dla mnie męczące. Gdybym wzięła udział w wycieczkach w ciągu ostatnich dwóch dni, byłabym zupełnie wykończona.

— Musi pani odpocząć dziś po południu, aby mieć siły jutro wcześniej wyruszyć — powiedziała Glynne, wchodząc do domu.

— Pani Marple zwiedzała kościół — oznajmiła Clotilde. — Niestety, niewiele jest w nim do zwiedzania. Wiktoriańskie witraże najgorszego rodzaju. Żadnych zbędnych wydatków. Przykro mi, ale część winy ponosi mój wuj. Bardzo podobały mu się te okropne czerwone i niebieskie kolory.

— Bardzo wulgarne — wtrąciła Lavinia.

Po lunchu Marple zdrzemnęła się i zeszła dopiero na obiad. Rozmawiała długo, aż do kolacji. Znowu tematem rozmowy były wspomnienia Marple z jej młodości, miejsca które zwiedzała, podróże które odbyła i ludzie, których poznała.

Położyła się do łóżka zmęczona i z poczuciem klęski. Niczego się nie dowiedziała. Może dlatego, że nic specjalnego nie mogłaby tu znaleźć. Zupełnie jak wyprawa na ryby, podczas której ryba nie brała. Albo nie było ryby, albo... założyła nieodpowiednią przynętę.

11.

WYPADEK

Herbatę przyniesiono o wpół do ósmej następnego ranka tak, aby Marple zdążyła się spakować. Zamykała właśnie torebkę, gdy usłyszała niecierpliwe stukanie do drzwi. Do pokoju weszła Clotilde. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną.

— O mój Boże! Pani Marple, młody mężczyzna czeka na dole. Emlyn Price z wycieczki. Przyszli go po panią.

— Tak, chyba go pamiętam. Młody, pani mówi?

— Tak, modnie ubrany z bardzo bujnymi włosami. Przyszedł oznajmić pani bardzo złe wiadomości; Zdarzył się... bardzo mi przykro... wypadek.

— Wypadek? — Marple wytrzeszczyła oczy. — Coś się stało z autokarem? Ktoś jest ranny?

— Nie, nie. Podczas wczorajszej popołudniowej wspinaczki... wiał bardzo silny wiatr, ale to chyba nie miało większego znaczenia. Niektórzy zabłądzili. Jest tam główna droga, można jednak pójść inaczej, przez wzgórza. Obydwie drogi prowadzą do Memoriał Tower na szczyt Bonaventure — dokąd zmierzała cała wycieczka. Każdy szedł oddzielnie, bez przewodnika, co może nie było rozsądne. Ludzie nie są zbyt pewni swoich umiejętności, a zbocze nad ścieżką — urwiste. Nagle oderwały się kamienie i spadając w dół, uderzyły kogoś przechodzącego.

— O Boże! — krzyknęła Marple. — Tak mi przykro, tak strasznie przykro! Kto to był?

— Pani Temple czy też Tenderdon.

— Elizabeth Temple — powtórzyła Marple. — O Boże, często z nią rozmawiałam. Siedziałam obok niej. Jest dyrektorką bardzo znanej szkoły. Już chyba na emeryturze.

— Oczywiście — powiedziała Clotilde. — Znam ją dobrze. Pracowała w Fallowfield. Bardzo słynna szkoła. Nie wiedziałam, że będzie na wycieczce. Odeszła ze szkoły rok czy dwa lata temu. Zastąpiła ją jakaś młoda osoba o postępowych poglądach. Ale pani Temple nie jest stara. Ma około sześćdziesiątki. Bardzo aktywna, lubiąca chodzenie po górach. To bardzo przykre. Mam nadzieję, że to nic poważnego. Niestety, nie wiem nic więcej.

— Już prawie skończyłam — powiedziała Marple i zatrzasnęła torbę. — Schodzę natychmiast.

Clotilde chwyciła torbę Marple.

— Niech pani pozwoli. Chętnie pomogę. Niech pani idzie za mną, proszę uważać na schody.

Na dole czekał Emlyn Price. Włosy miał bardziej zmierzwiłone niż zwykle. Ubrany szykownie, w modne półbuty, skórzaną kurtkę i emeraldowe zielone spodnie.

— Takie przykre zdarzenie — powiedział, ściskając rękę Marple na powitanie. — Postanowiłem, że sam zawiadomię panią. Chyba już pani wie, co się stało. Pani Temple, ta ze szkoły... dokładnie nie pamiętam, ale zauważyłem, jak nagle kamienie zaczęły toczyć się w dół po stromym stoku. Uderzyły ją tak mocno, że odwieziona została wczoraj do szpitala. Obawiam się, że nie jest najlepiej. W związku z tym wycieczka nie jedzie dalej. Zostajemy na noc.

— O Boże, to straszne — powiedziała Marple. — Tak mi przykro.

— Zostajemy, aby poczekać na wyniki badań lekarskich. Jest propozycja, aby zatrzymać się w hotelu i zmienić nieco plany. Opuścimy jutrzejsze zwiedzanie Grangmeriny, co i tak ponoć nie było zbyt interesujące. Pani Sandbourne pojechała do szpitala. Spotkamy się z nią na kawie, o jedenastej w hotelu. Pomyślałam, że chciałaby pani dołączyć do nas i dowiedzieć się, jaki jest stan zdrowia pani Temple.

— Oczywiście, natychmiast idę z panem — powiedziała Marple i odwróciła się, aby pożegnać Clotilde i Glynne, które jej towarzyszyły.

— Chciałabym serdecznie podziękować. To bardzo miło, że chciały mnie panie gościć u siebie. Wspaniale było spędzić tu dwa dni. Doskonale odpoczęłam... To straszne, co się stało.

— Jeśli miałaby pani ochotę zostać jeszcze jedną noc... — zaczęła Glynne i spojrzała na Clotilde — to na pewno...

Marple, będąc osobą spostrzegawczą, zauważyła, że Clotilde nieznacznie potrząsając głową, skrzywiła się z dezaprobatą.

— ... ale pewnie wolałaby pani dołączyć już do wycieczki, aby...

— Tak, tak, myślę, że tak będzie najlepiej — szybko wtrąciła Marple. — Dowiem się dokładnie, co się stało, jakie są dalsze plany, no i poza tym, może będę mogła w czymś pomóc. Jeszcze raz dziękuję bardzo... Nie będzie chyba kłopotu z wynajęciem dla mnie pokoju w hotelu? — zwróciła się do Emlyna.

— Żadnego. Zwolniono dzisiaj kilka pokoi. Pani Sandbourne zamówiła pokoje dla całej grupy. A co do jutra... zobaczymy jutro.

Marple podziękowała raz jeszcze. Emlyn wziął bagaże i ruszył przed siebie szybkim krokiem.

— To tuż za rogiem, potem pierwsza ulica na lewo — wyjaśnił.

— Znam drogę, przechodziłam tamtędy wczoraj... Biedna pani Temple. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

— Obawiam się... Oczywiście lekarze zawsze pocieszają, że mogło być gorzej. Zabrano ją do Carriwston, trzydzieści mil stąd, ponieważ w pobliżu nie ma szpitala. W każdym razie pani Sandbourne przybędzie już z wieściami, zanim pani rozgości się w hotelu. Doszli w momencie, gdy grupa popijała herbatę, jedząc słodkie bułeczki i ciastka w kawiarence. Właśnie rozmawiali państwo Butlerowie.

— To tragiczne, co się stało — powiedziała pani Butler. — I takie denerwujące. Wszyscy cieszymy się, jesteśmy szczęśliwi i nagle... Biedna pani Temple. Wyglądała na osobę, która często chodzi po górach. Ale nigdy nic nie wiadomo, prawda Henry?

— No tak, no tak — przytaknął Henry. — Zastanawiałem się czy... niewiele zostało nam dni do końca... czy nie skrócić tej wycieczki i nie wyjechać już dziś. W związku z tym wypadkiem mogą być duże trudności. Jeśli okaże się, że to było... no, jeśli wypadek był poważny, to będzie prawdopodobnie przeprowadzone jakieś dochodzenie lub coś w tym rodzaju.

— Och, Henry, nie mów takich strasznych rzeczy!

— Wydaje mi się — wtrąciła Cooke — że podchodzi pan zbyt pesymistycznie. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

— Ależ tak, to jest poważna sprawa — zaczął Caspar swoim obco brzmiącym akcentem.

— Słyszeć wczoraj, jak pani Sandbourne dzwonić telefonem do doktora. Bardzo źle, wstrząs znaczny, znaczny. Specjalny lekarz przychodzić operować. Poważny wypadek.

— O Boże! — zawołała Lumley. — Jeśli są jakiegokolwiek wątpliwości, powinniśmy wracać do domu, Mildred. Muszę sprawdzić rozkład pociągów. — Odwróciła się do pani Butler.

— Rozumie pani. Zostawiłam swoje koty pod opieką, ale jeśli sprawa przedłuży się, może to sprawić duże kłopoty wszystkim.

— Nie wprowadzajmy się w stan ekscytacji — oznajmiła Riseley–Porter stanowczym tonem. — Joanno, proszę włóż tę bułkę do torebki i wyrzuć. Zupełnie niejadalna. Dżem wyjątkowo niesmaczny. Nie chciałabym zostawiać tego na talerzu. To nie wygląda ładnie. Joanna spełniła polecenie i spytała:

— Czy mogę pójść z Emlynem na spacer? Obejrzymy miasteczko. Nie ma sensu siedzieć w tej ponurej atmosferze. I tak nie możemy nic zrobić.

— Tak, lepiej będzie, jeśli pójdziecie — przyznała Cooke.

— Idźcie, idźcie — przytaknęła Barrow, zanim Riseley–Porter zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Cooke i Barrow spojrzwały na siebie i potrząsnęły głowami.

— Trawa była bardzo mokra. Sama się pośliznęłam — powiedziała Barrow.

— I kamienie też — dodała Cooke. — W pewnym momencie, gdy skręcałam na ścieżce, z góry posypał się grad kamieni. Jeden uderzył mnie w ramię, całkiem mocno.

Herbata, kawa i ciasteczka szybko zniknęły ze stołu. Wszyscy siedzieli sztywno, skrupowani, jakby się nie znali. Kiedy zdarzy się jakieś nieszczęście, nie wiadomo jak się zachować. Każdy wyraził swój pogląd, okazał należne zdziwienie i niepokój. Oczekiwali teraz na wieści, ale wypełniała ich nieodparta chęć zrobienia czegoś interesującego, choćby dalszego zwiedzania czegoś, co zajęłoby dłużący się czas. Lunch miał być dopiero o pierwszej, a siedzenie tu, czekanie i powtarzanie wciąż tych samych uwag, było raczej ponurym sposobem na spędzanie czasu.

Cooke i Barrow wstały jednocześnie, oznajmiając, że idą zrobić zakupy.

— Muszę wysłać kilka pocztówek i dowiedzieć się, ile kosztuje znaczek do Chin — powiedziała Barrow.

— Poszukam jakiejś wełny — rzekła Cooke. — I może pozwiemy trochę. Słyszałam, że po drugiej stronie rynku znajduje się ciekawa budowla.

— Myślę, że dobrze by nam wszystkim zrobiło, gdybyśmy wyszli — stwierdziła Barrow. Pułkownik z żoną zwrócili się do Butlerów z propozycją zobaczenia tego, co jest interesującego w mieście. Pani Butler wyraziła chęć poszukania sklepów z antykami.

— To znaczy, niedokładnie z antykami. Raczej czegoś w rodzaju sklepu ze starzyzną. Czasami można znaleźć bardzo interesujące rzeczy.

Wszyscy zaczęli wychodzić. Emlyn był już przy drzwiach, podążając za Joanną. Riseley–Porter, po nieudanej próbie zawrócenia jej, wstała i stwierdziła, że znacznie przyjemniej siedzieć w holu. Lumley przyznała jej rację i Caspar z miną koniuszego odeskortował obie panie we wskazane miejsce.

Pozostali tylko Wanstead i Marple.

— Uważam, że przyjemniej będzie na zewnątrz — powiedział Wanstead. — Jest tam taras z widokiem na miasto. Czy chciałaby pani wyjść?

Marple zgodziła się chętnie. Nie miała jeszcze okazji porozmawiania z Wansteadem. Miał ze sobą kilka uczonych książek. Jedną z nich cały czas przeglądał, nawet podczas jazdy autokarem.

— A może pani również chciałaby wybrać się po zakupy? — spytał. — Ja wolę spokojnie poczekać na panią Sandboume. To ważne, abyśmy wszystko wiedzieli.

— W zupełności się z panem zgadzam — odparła Marple. — Wczoraj zwiedziłam kawałek miasteczka i nie widzę sensu, aby powtarzać to dzisiaj. Wolałabym poczekać tutaj. Zawsze może okazać się, że mogę być w czymś pomocna.

Ruszyli razem w stronę niewielkiego ogrodu. Znajdowały się tam wiklinowe krzesła ustawione po obu stronach kamiennej ścieżki biegnącej wzdłuż ściany hotelu. Wybrali dwa z nich i usiedli. W pobliżu nie było nikogo. Marple uważnie przyjrzała się swojemu rozmówcy. Pomarszczona twarz, bujne brwi, głowa pokryta gęstymi włosami, lekko przygarbione plecy. „Interesująca twarz” — pomyślała. Głos suchy i ostry.

— Nie myślę się, pani Jane Marple? — zapytał Wanstead. — Tak, to ja.

Zdziwiła się trochę, choć nie miała powodu. Nie przebywali ze sobą na tyle długo, aby się poznać. Dwie ostatnie noce spędziła poza grupą. To zupełnie naturalne, że jej nie znał.

— Tak myślałem — rzekł Wanstead. — Z opisu, który otrzymałem...

— Z opisu? — powtórzyła Marple.

— Tak... — zawahał się przez chwilę. Zniżył głos: — Od pana Rafiela.

— Och! — zdumiała się Marple.

— Jest pani zaskoczona?

— Raczej tak.

— A chyba pani nie powinna.

— Nie oczekiwałam... — zaczęła i urwała.

Wanstead siedział i nic nie mówiąc, wpatrywał się w nią uważnie. Za chwilę pewnie powie: „Jakie ma pani objawy? Trudności w przełykaniu, droga pani? Bezsensowność, trawienie w porządku?” Była niemal pewna, że był lekarzem.

— Kiedy pan otrzymał mój opis? To musiało być...

— ...tak, jakiś czas temu, kilka tygodni temu. Przed jego śmiercią. Poinformował mnie, że pani będzie na tej wycieczce.

— To bardzo miło z jego strony, że mi ofiarował tę wycieczkę. Zupełnie mnie zaskoczył. Taki prezent. Nie stać by mnie było na to. Naprawdę, bardzo miło.

— Tak — przytaknął Wanstead. — Bardzo dobrze. — Skinął głową z uznaniem, jakby pochwalał dobrą odpowiedź ucznia.

— To przykre, co się stało, kiedy wszyscy tak dobrze się bawiliśmy.

— Oczywiście, bardzo przykre. A jak pani myśli, należało się tego spodziewać?

— Co pan przez to rozumie?

Uśmiechnął się, napotykając jej wyzywające spojrzenie.

— Z panem Rafielem rozmawialiśmy bardzo długo — zaczął. — zaproponował, abym wybrał się na tę wycieczkę i zaznajomił się z panią. Jak to zwykle bywa, mija dzień lub

dwa, aż wycieczkowicze podzielią się na mniejsze grupki, w które łączą ich wspólne zainteresowania. Polecił mi także, abym... jak mam to wyrazić... miał na panią oko.

— Miał na mnie oko? — powtórzyła Marple z lekką urazą w głosie. — A to dlaczego?

— Coś w rodzaju ochrony. Chciał być zupełnie pewien, że nic się z panią nie stanie.

— A cóż takiego niby, ma się ze mną stać, chciałabym wiedzieć?

— To, co zdarzyło się pani Temple.

Joanna Crawford wyszła zza rogu hotelu, a mijając ich spojrzała z zainteresowaniem, skinęła głową i poszła dalej. Wanstead poczekał, aż zniknie im z oczu i powiedział:

— Miła dziewczyna. Przynajmniej tak mi się wydaje. Jeszcze zadowolona z opieki despotycznej ciotki, ale myślę, że szybko wkroczy w wiek buntu.

— Co pan miał na myśli, mówiąc o Elizabeth Temple? — wróciła do tematu Marple, nie zainteresowana chwilowo możliwością buntu Joanny.

— To zdarzenie musimy przeanalizować.

— To znaczy wypadek?

— Jeśli to był wypadek.

— Uważa pan, że nie?

— Po prostu rozważam taką możliwość.

— Nie za bardzo wiem, co się stało.

— Oczywiście. Nie było pani wtedy. A może, powiedzmy, pełniła pani obowiązki gdzie indziej.

Marple milczała przez chwilę, mierząc Wansteada wzrokiem.

— Nie rozumiem, o co chodzi — powiedziała w końcu.

— Jest pani ostrożna. I słusznie.

— To stało się moim zwyczajem.

— Ostrożność?

— Wyraziłabym to inaczej. Staram się zawsze ufać, jak i nie ufać wszystkiemu, co mi się mówi.

— Oczywiście. Nic pani o mnie nie wie. Zna pani jedynie moje nazwisko z listy uczestników tej tak miłej wycieczki... Ogrody chyba najbardziej panią interesują?

— Raczej tak.

— Są także inni o podobnych upodobaniach.

— Albo tylko tak mówią.

— Pani też to zauważyła? Moim zadaniem było obserwować panią i pani działania. Być pod ręką w przypadku jakiegokolwiek możliwości... powiedzmy dosadnie... brudnej roboty. Ale sprawy uległy zmianie. Musi pani zdecydować, czy jestem pani wrogiem czy sprzymierzeńcem.

— Może ma pan rację — odparła Marple. — Jasno to pan określił, ale nie powiedział mi pan niczego, co pozwoliłoby mi domyślić się, kim pan jest. Był pan przyjacielem pana Rafiela?

— Nie — wyjaśnił Wanstead. — Spotkałem go raz czy dwa na konferencji w szpitalu i przy okazji jakiegoś innego oficjalnego spotkania. Znałem go i wydaje mi się, że on mnie znał. Jeśli powiem, że jestem człowiekiem wybitnym w swojej dziedzinie, pomyśli pani, że jestem zarozumiały.

— Nie, raczej nie. Czy jest pan związany z medycyną?

— Jest pani spostrzegawcza, pani Marple. Bardzo spostrzegawcza. Skończyłem studia medyczne i zrobiłem specjalizację z patologii i psychologa. Nie mam, niestety, przy sobie listów uwierzytelniających. Będzie pani musiała uwierzyć mi na słowo. Mogę pokazać moją korespondencję i kilka oficjalnych dokumentów, które może panią przekonają. Specjalizuję się w medycynie sądowej. Mówiąc prosto: interesuję się różnymi rodzajami umysłu przestępczego. Pracowałem nad tym przez wiele lat. Napisałem kilka książek, niektóre były szeroko dyskutowane. Część zyskała uznanie. Obecnie nie mam żadnej pilnej pracy. Opracowuję dokładniej ten temat, podkreślając pewne zasadnicze punkty, które najbardziej mnie uderzyły. Od czasu do czasu zdarzają się przypadki wyjątkowo interesujące. Coś, w co chciałbym się bardziej zagłębić... To musi wydawać się pani nudne.

— Przeciwnie — rzekła Marple. To, o czym pan mówi, może wyjaśnić niektóre sprawy. Pan Rafiel zlecił mi pewne zadanie, nie dając żadnej informacji, o co mu chodzi. Zostawił mnie w zupełnej ciemności. Wydaje mi się, że to głupi sposób podejścia do sprawy.

— Ale propozycję pani przyjęła?

— Będę z panem szczerą. Miałam otrzymać pieniądze.

— Czy to miało dla pani znaczenie? Marple milczała przez chwilę.

— Może pan nie uwierzy, ale moja odpowiedź brzmi: „Nie”.

— Wcale mnie to nie dziwi. Sprawa panią zaintrygowała, czy tak?

— Tak. Nie znałam dobrze pana Rafiela. Byłam z nim jedynie przez kilka tygodni... w Indiach Zachodnich. Pan, zdaje się, o tym wie?

— Owszem. Tam pani go spotkała i tam razem... współpracowaliście.

— Och, powiedział to panu? — potrząsnęła głową.

— Powiedział, że ma pani niezwykły dar rozwiązywania spraw kryminalnych.

— Nie wydaje się to panu nieprawdopodobne? — Marple spojrzała na niego, unosząc brwi.

— Rzadko się dziwię — odparł Wanstead. — Pan Rafiel był bardzo wnikliwym i bystrym obserwatorem. Doskonale oceniał ludzi. Uważał, że pani posiada tę umiejętność.

— Nie, nie określałabym tego w ten sposób. Po prostu pewni ludzie przypominają mi innych, dzięki czemu mogę przewidzieć podobieństwo w ich zachowaniu. Jeśli pan myśli, że wiem, co tu robię, to myli się pan.

— Bardziej przez przypadek, niż według planu — rzekł Wanstead — znaleźliśmy się tutaj, aby przedyskutować pewne sprawy. Nikt nas nie może podsłuchać ani podejrzeć. Nie ma w pobliżu okna ani balkonu. Jednym słowem: możemy mówić.

— Chciałam tylko zaznaczyć, że zupełnie nie wiem, gdzie jestem, co robię i dlaczego. O co chodziło panu Rafielowi?

— Myślę, że chciał, aby pani rozważyła pewne fakty i wyciągnęła wnioski obiektywnie, bez opinii innych.

— A więc pan również mi nie pomoże! — zirytowała się Marple. — Są pewne granice!

— Owszem — Wanstead uśmiechnął się nagle. — Zgadzam się z panią i musimy niektóre z tych granic przekroczyć. Przedstawię kilka faktów, które rozjaśnią pani ciemności. Mam nadzieję, że pani rozjaśni moje.

— Wątpię — rzekła Marple. — Jedyne kilka wskazówek, ale to nie są fakty.

— W takim razie... — zaczął Wanstead i urwał.

— Na miłość boską! Niech pan mówi! — zniecierpliwiała się Marple.

12.

NARADA

— Nie zamierzam się rozwlekać. Wytłumaczę pani krótko, jak się tu znalazłem. Od czasu do czasu działam jako tajny doradca Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Mam również powiązania z pewnymi instytucjami, które zajmują się organizowaniem mieszkania, wyżywienia dla skazanych kryminalistów, znajdujących się pod ich opieką przez określony czas, w zależności od wieku. Niektórzy są kierowani do specjalnie wyznaczonych miejsc odosobnienia. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

— Tak, proszę mówić dalej.

— Natychmiast po dokonaniu przestępstwa jestem wzywany na konsultacje, dotyczące dalszego postępowania z przestępcą. Nie będę opowiadał o tym szczegółowo, bo i tak niewiele to pani da. Czasami jestem wzywany przez dyrektora instytucji do specjalnego przypadku. I tak było teraz. Dyrektor, a właściwie komendant, odpowiedzialny za więźniów czy też pacjentów, jak pani woli, okazał się być moim znajomym. Znałem go dość długo, ale nie łączyły nas zażyłe stosunki. Opowiedział mi o kłopotach dotyczących jednego z więźniów, co do którego miał pewne wątpliwości. Młody chłopak, a właściwie był młodym chłopakiem. Minęło już kilka dobrych lat, gdy tam trafił. Obecny komendant zwrócił na niego uwagę. Bardzo się nim przejął. Ten chłopak przez całą młodość źle się prowadził. To osobnik o ograniczonej odpowiedzialności. Młody bandyta, diabelskie nasienie, różnie to można określić. Z pewnością, typ kryminalisty. Należał do gangu, napadał na ludzi, kradł i malwersował, dopuszczał się różnego rodzaju oszustw. Syn, którego nie chciałby mieć żaden ojciec...

— Teraz rozumiem — wtrąciła Marple.

— Co pani rozumie?

— Mówi pan o synu pana Rafiela?

— Zgadza się. Co pani o nim wie?

— Nic. Słyszałam tylko, wczoraj zresztą, że pan Rafiel miał syna przestępcę lub, delikatnie mówiąc, niepoprawnego syna, z przeszłością kryminalną. Tylko to o nim wiem. Czy to jedyny jego syn?

— Tak, ale miał jeszcze dwie córki. Młodsza zmarła w wieku czternastu lat, a starsza szczęśliwie wyszła za mąż, ale nie miała dzieci.

— To bardzo smutne.

— Możliwe. Gdy nic nie wiadomo. Jego żona zmarła młodo i pewnie to bardzo nim wstrząsnęło, chociaż nigdy tego nie okazywał. Nie wiem, jak bardzo oddany był swoim dzieciom, ale dbał o nie, robił, co mógł. Nie znam jego prawdziwych uczuć. Wiem, że nie był łatwym człowiekiem. Wydawało się, że całe jego życie polegało na robieniu pieniędzy. Uwielbiał nie pieniądze, ale pomnażanie ich nowymi, nieoczekiwanymi sposobami. Niewiele myślał o innych sprawach. Myślę, że robił dla syna wszystko, co było możliwe. Wyciągał go z kłopotów w szkole, zatrudniał dla niego adwokatów w różnych sprawach

sądowych. Aż wreszcie nadeszło ostatnie uderzenie, którego można się było spodziewać. Chłopak został postawiony przed sadem i skazany na karę więzienia za napaść i gwałt na młodej dziewczynie. Karę złagodzano ze względu na jego młody wiek. Później oskarżono go o znacznie gorsze przestępstwo.

— Morderstwo, tak? — spytała Marple. — Słyszałam o tym.

— Podstępnie wyciągnął dziewczynę z domu, udusił, a twarz zmasakrował, prawdopodobnie, aby uniknąć rozpoznania jej tożsamości. Ciało odnaleziono jakiś czas potem.

— Niezbyt przyjemny sposób załatwiania sprawy — powiedziała Marple głosem zdeglustowanej starszej pani.

— Określa to pani w ten sposób?

— Tak to czuję. Nie lubię tego rodzaju spraw i nigdy nie lubiłam. Jeśli oczekuje pan, że będę mu współczuła, tłumaczyła nieszczęśliwym dzieciństwem, złym środowiskiem, to myli się pan. Nie lubię złych ludzi, czyniących zło.

— Cieszę się, że pani tak uważa. Nawet nie zdaje sobie pani sprawy, jak bardzo cierpię, kiedy podczas mojej pracy muszę wysłuchiwać ludzi żalących się na społeczeństwo, zwalających wszystko na przeszłość. Gdyby ludzie wiedzieli, ile osób przeszło przez życie pełne okrucieństwa i tak zwane, złe środowisko i mimo wszystko nie poddali się jego wpływowi, nie tak łatwo przyjmowałiby ten punkt widzenia. Należy współczuć tym nieprzystosowanym, tak jak współczuje się epileptykowi. Można ich tłumaczyć genami, z którymi się urodzili i nie mają nad nimi kontroli... jeśli pani wie coś o genach.

— Mniej więcej.

— Komendant, człowiek z doświadczeniem, dokładnie wyjaśnił mi, dlaczego zależy mu na mojej opinii. Według niego chłopak... nie był mordercą. Nie należał do tego rodzaju ludzi, nie pasował do żadnego znanego mu typu mordercy. Uważał, że chłopak nigdy nie odzyska równowagi bez względu na rodzaj reedukacji. Czuł bardzo mocno, że werdykt sędziowski był niesłuszny. Nie wierzył, że chłopak udusił dziewczynę, zmasakrował twarz i wrzucił do rowu. Po prostu nie był w stanie tego zrozumieć. Przeglądał akta sprawy, które jasno dowodziły jego winy. Chłopak znał dziewczynę i często widywano go w jej towarzystwie. Prawdopodobnie mieli ze sobą intymne stosunki. Został rozpoznany przez sąsiadów. Całkiem czysta sprawa. Ale komendant nie był przekonany o jego winie. To mężczyzna o bardzo silnym poczuciu sprawiedliwości. Znał już stanowisko policji, potrzebował opinii kogoś innego, biegłego psychologa. To moja specjalność. Poprosił więc, abym zobaczył się z chłopakiem, porozmawiał z nim i wydał fachową opinię.

— Bardzo interesujące — powiedziała Marple. — Naprawdę, bardzo interesujące. Pański znajomy, komendant, to człowiek doświadczony, który kocha sprawiedliwość.

Przypuszczam, że zgodził się pan.

— Tak — przytaknął Wanstead. — Bardzo się zaangażowałem. Podeszedłem do sprawy z różnych stron. Rozmawiałem z chłopakiem, przestudiowałem wiele rozwiązań prawnych. Rozmawiałem z nim jako przyjaciel, ale także jako wróg. Chciałem zobaczyć, jak reaguje. Przeprowadziłem też wiele standardowych testów. Są to szczegóły techniczne, więc nie będę ich pani wyjaśniał.

— I do jakich wniosków pan doszedł?

— No cóż, przyznałem rację mojemu znajomemu. Nie uważam, aby Michael mógł być zabójcą.

— A co z wcześniejszym przypadkiem, o którym pan wspominał?

— To go oczywiście obciążało. Ławnicy nic o tym nie wiedzieli, aż do chwili ogłoszenia wyroku. Sędzia jednak wiedział wszystko i to mogło mieć wpływ na rodzaj wydanego wyroku. Zrobiłem mały wywiad. Michael napastował dziewczynę, niewątpliwie doszło do gwałtu, ale moim zdaniem, nie próbował jej udusić. Znam wiele podobnych spraw, które wcale nie były takim oczywistym przypadkiem gwałtu. Dziewczęta, musi pani przyznać, są o wiele bardziej skłonne być zgwałcone, niż niektórzy sądzą. Matki nalegają, aby przedstawiły to w ten sposób. Te dziewczęta miały już pewnie wielu chłopców, z którymi związek nie był tylko czystą przyjaźnią. Nie sądzę, aby ta sprawa świadczyła przeciwko Michaelowi. W przypadku tego morderstwa, a niewątpliwie było to morderstwo, wszystkie przeprowadzone testy nie pasowały do sprawy.

— I co dalej?

— Skontaktowałem się z panem Rafielem. Powiedziałem, że chciałbym się z nim zobaczyć w związku ze sprawą jego syna. Przedstawiłem mu moje i komendanta poglądy... że na razie nie ma podstaw do odwołania się, ale z pewnością nastąpiła pomyłka sądowa. Można było przeprowadzić ponowne dochodzenie, ale byłoby to bardzo kosztowne i prawdopodobnie niewiele by wniosło do sprawy. Zrozumiałem, że jest to bardzo chory człowiek, sam to zresztą przyznał, oczekujący śmierci. Dwa lata temu powiedziano mu, że nie będzie żył dłużej niż rok, mimo to wytrzymał dzięki swojej odporności psychicznej. Spytałem go, co sądzi o synu.

— I co odpowiedział? — spytała Marple.

— Ciekawi to panią? Mnie również. Myślę, że by! ze mną szczerzy, nawet jeśli...

— ...nawet jeśli w jakiś sposób trochę bezwzględny — dokończyła Marple.

— Tak, był człowiekiem bezwzględnym, a jednocześnie sprawiedliwym i uczciwym. Powiedział mi wtedy: „Znałem mojego syna i nie próbowałem go zmienić, gdyż uważałem, że jest to niemożliwe. Moralnie zwichnięty. Po prostu łobuz. Zawsze miał jakieś kłopoty. Był nieuczciwy. Nikt i nic nie było już w stanie wyprowadzić go na prostą drogę. Doskonale zdawałem sobie z tego sprawę. W pewnym sensie tylko umyłem ręce, bo zawsze dostawał ode mnie pieniądze, jeśli tego potrzebował, pomoc prawną lub inną, jeśli wpadał w kłopoty. Robiłem wszystko, co mogłem. Gdybym miał syna chorego, na przykład epileptyka, robiłbym wszystko, co w mojej mocy. Jeśli miałbym syna chorego moralnie, na którego nie byłoby lekarstwa, także robiłbym wszystko. Ni mniej, ni więcej. A co teraz mogę zrobić dla niego?” Powiedziałem, że to zależy, czego pragnie. „Jestem przywiązany do łóżka, ale wiem, czego pragnę dla mojego syna. Chcę, aby go zrehabilitowano i zwolniono z więzienia. Chcę, żeby był znowu wolny i mógł prowadzić życie na swój sposób, nawet jeśli jest to sposób nieuczciwy. Zostawiam mu spadek. Nie chcę, aby cierpiał, był uwięziony, odcięty od życia z powodu nieszczęśliwego przypadku. Jeśli ktoś inny zamordował tę dziewczynę, chcę, aby ten fakt ujawniono. Chcę sprawiedliwości dla Michaela. Ale jestem bardzo chory. Mój czas dobiega końca. Liczony jest nie latami, miesiącami, ale tygodniami”.

Zasugerowałem mu kilku prawników, ale powiedział krótko: „Pańscy adwokaci będą bezużyteczni. Może pan ich zaangażować, ale to nie ma sensu. Sam muszę to zorganizować, i to w ciągu tego krótkiego czasu, jaki mi pozostał”. Zaofiarował mi dużą sumę pieniędzy na podjęcie działalności w dochodzeniu prawdy i wszelkie niezbędne środki, bez względu na koszty.

Ja już nic nie mogę zrobić. Śmierć może nastąpić w każdej chwili. Zatrudnię pana do rozwiązania tej zagadki. A oto osoba do pomocy”. Podał mi kartkę, na której było napisane: Jone Morpl. „Nie dam panu adresu, gdyż pozna pan ją w okolicznościach, które sam wybierę.” I tu opowiedział o tej niewinnej wycieczce dookoła zabytków i ogrodów. Zarezerwował mi bilet na konkretny termin. „Pani Jane Marple — wyjaśnił — znajdzie się również na tej wycieczce. Poznacie się w zwyczajny, przypadkowy sposób”. Sam miałem wybrać ten moment. Pytała mnie pani, czy mam jakieś podstawy, żeby podejrzewać kogoś innego. Mój znajomy oczywiście nie wskazał nikogo takiego. Podjął już kroki, aby tę sprawę załatwić. Kontaktował się z policjantem, który był odpowiedzialny za prowadzenie śledztwa. Bardzo doświadczony i uczciwy detektyw.

— I nikogo nie podejrzewają? Inni przyjaciele dziewczyny? A może ktoś, kto się wypierał znajomości z nią?

— Nie mogliśmy znaleźć... Prosiłem pana Rafiela, aby opowiedział mi coś o pani. Stwierdził tylko, że jest pani starszą osobą, doskonale znającą się na ludziach. I jeszcze jedno... — przerwał.

— Cóż takiego? — spytała Marple. — Rozumie pan, że ciekawi mnie to. Jestem trochę głucha, wzrok mi się psuje. Wyglądam na prostą, głupkowaną staruszkę. Może to jest mój atut?

— Nie — powiedział Wanstead. — Chodziło mu o co innego. Ma pani podobno niesamowity dar wykrywania zła.

— Och! — zdumiała się Marple. Wanstead uważnie ją obserwował.

— Czy zgodziłaby się pani z tym? Marple milczała przez chwilę.

— No cóż, w przeszłości zauważyłam, że udawało mi się wyczuwać zło kryjące się gdzieś w pobliżu.

Spojrzała na niego nagle i uśmiechnęła się.

— To tak, jak urodzić się z wyczulonym zmysłem węchu. Czujesz ulatniający się gaz, gdy inni nie czują nic. Z łatwością odróżniasz zapach jednych perfum od drugich. Miałam ciotkę, która uważała, że czuje, kiedy ktoś kłamie — wydaje ponoć wtedy specyficzny zapach. Nie jestem pewna, czy to prawda, ale czasami była wspaniała. Raz poradziła mojemu wujowi: Jack, nie zatrudniaj tego młodego mężczyzny, z którym rozmawiałeś dziś rano. Cały czas kłamał jak z nut”. Okazało się, że miała rację.

— Dar wykrywania zła — powtórzył Wanstead. — Jeśli wyczuje pani coś, proszę mi powiedzieć. Będę wdzięczny. Ja, niestety, nie posiadam tego daru. Dolegliwości cielesne wyczuwam, tak, ale zła tutaj — postukał się palcem po głowie — niestety, nie.

— Teraz ja opowiem panu, jak wciągnęłam się w tę sprawę — zaczęła Marple. — Po śmierci pana Rafiela jego adwokaci poprosili mnie do swego biura i przedstawili propozycję. Wcześniej otrzymałam od nich list, który niczego mi nie wyjaśniał. W jakimś czasie potem otrzymałam list z biura podróży, w którym zaproponowano mi wycieczkę

opłaconą przez pana Rafiela. Byłam zaskoczona, ale uznałam, że jest to pierwsza wskazówka do podjęcia działania. Myślałam, że podczas tej wycieczki dowiem się czegoś więcej. Wczoraj... nie... przedwczoraj trzy kobiety mieszkające w „Starym Dworze” zaprosiły mnie na dwa dni do siebie. Pan Rafiel napisał do nich z prośbą, aby przyjęły mnie, gdyż mogę nie podołać trudom wycieczki.

— I przyjęła to pani jako następną wskazówkę.

— Oczywiście. Nie był człowiekiem, który rozdawał prezenty za nic, z oddania dla starszej pani, która nie była w stanie wspinać się po górach. On chciał, abym tam się znalazła.

— I co dalej?

— Nic. Trzy siostry.

— Trzy dziwne siostry.

— Powinny takie być, ale nie stwierdziłam tego. Wydają się zupełnie normalne. Ten dom należał do ich wuja. Zamieszkały w nim jakiś czas temu. Żyją raczej w ciężkich warunkach. Są uprzejme, mało interesujące. Trochę się różnią od siebie. Pana Rafiela dobrze nie znają. Żadna z rozmów z nimi niczego specjalnego nie wniosła.

— To znaczy, pobyt tam uważa pani za stracony?

— Dowiedziałam się tylko o kilku faktach, które pan przed chwilą potwierdził. Od starej służącej, która pracowała jeszcze za życia wuja. Znała pana Rafiela tylko z nazwiska. Wszystko zaczęło się od wizyty jego syna, łobuza, w którym dziewczyna się zakochała. Opowiadała, jak ją udusił, jakie to wszystko było straszne i tragiczne. Dużo przesady, ale historia rzeczywiście nieprzyjemna. Uwierzyła policji, że to nie było jego jedyne morderstwo.

— Czy nie miało ono jakiegoś związku z siostrami?

— Tyle tylko, że były opiekunkami dziewczyny i bardzo ją kochały. Nic poza tym.

— Może wiedzą coś o innym mężczyźnie?

— Tak, szukamy drugiego mężczyzny, brutalna, który nie wahałby się rozłupać głowy dziewczyny po jej zabiciu. Jeden z tych, którzy dostają szału zazdrości. Są tacy.

— Nic poza tym nie wydarzyło się w „Starym Dworze”?

— Raczej nie. Jedna z sióstr, chyba najmłodsza, nie przestawała mówić o ogrodzie, tak jakby była zapalonym ogrodnikiem, ale nie była, nie znała nawet połowy znajdujących się tam roślin. Delikatnie wypytywałam ją o rzadkie okazy krzewów. Mówiła, że są wspaniałe, ale tak naprawdę, nic o nich nie wiedziała. To mi przypomina...

— Co pani przypomina?

— Pomyśli pan, że mam bzika na punkcie ogrodów, ale tak jak niektórzy znają pewne ciekawostki o ptakach, tak ja wiem o ogrodach... Czy zauważył pan dwie kobiety w średnim wieku na tej wycieczce? Pani Barrow i pani Cooke.

— Owszem, razem podróżują.

— W pani Cooke jest coś dziwnego. To jej prawdziwe nazwisko, tak? To znaczy, tak przedstawiła się na wycieczce.

— Czy ma jakieś inne?

— Tak myślę. To ta sama osoba, która odwiedziła mnie... to znaczy niedokładnie odwiedziła, ale przechodziła obok mego ogrodu w St. Mary Mead, gdzie mieszkam.

Podziwiała go i chwilę o nim rozmawialiśmy. Powiedziała, że mieszka w miasteczku i pomaga w ogrodzie pewnej kobiecie, która niedawno zamieszkała w jednym z nowo wybudowanych domów. Wydaje mi się, że to wszystko kłamstwo. Ona także nie miała pojęcia o ogrodach. Udawała tylko.

— Jak pani sady, dlaczego tam przysła?

— Wtedy nie miałam pojęcia. Przedstawiła się jako pani Bartlett, a kobieta, u której mieszkała nazywała się jakoś na H. Zmieniła nie tylko fryzurę, ale kolor włosów i sposób ubierania się. Z początku jej nie poznałam. Zastanawiałam się tylko, dlaczego ta twarz wydaje mi się znajoma. I nagle zrozumiałam... te farbowane włosy. Gdy powiedziałam jej o tym, przyznała, że była, ale udawała, że też mnie nie poznała. Wszystko kłamstwa.

— I co pani sady?

— Jedno jest pewne, że pani Cooke... niech tak się nazywa... przybyła do St. Mary Mead, aby mi się przyjrzeć i zapamiętać.

— Do czego to jej było potrzebne?

— Nie wiem. Są dwie możliwości. Jedna bardzo mi się nie podoba.

— Mnie również.

Przez chwilę milczeli oboje. Potem Wanstead powiedział:

— Nie podoba mi się ta sprawa z Elizabeth Temple. Czy pani rozmawiała z nią podczas wycieczki?

— Tak. Jeśli jej stan poprawi się, chciałabym z nią porozmawiać. Mogłaby mi... nam... coś opowiedzieć o zamordowanej dziewczynie. Chodziła do jej szkoły. Zamierzała poślubić syna pana Rafiela, ale nie poślubiła go. Zamiast tego zginęła. Gdy spytałam panią Temple, w jaki sposób zmarła, odpowiedziała: „Miłość”. Myślałam, że to było samobójstwo, a to morderstwo. Pasowałoby do tego zabójstwo z zazdrości, inny mężczyzna, którego musimy znaleźć. Może pani Temple nam wyjaśni, kim on jest.

— A druga możliwość?

— Myślę, że potrzebujemy kilku prostych wskazówek. Nie wydaje mi się, aby coś złowróbnego kryło się w uczestnikach naszej wycieczki lub wśród mieszkańców „Starego Dworu”.

Może jednak któraś z sióstr zna lub pamięta coś, co Michael lub dziewczyna kiedyś powiedzieli. Clotilde zabierała ją często za granicę. Może coś wydarzyło się podczas jednej z wypraw. Jakiś mężczyzna. To trudne, ale tylko rozmawiając, możemy uzyskać informacje. Druga z sióstr, pani Glynne, wyszła za mąż stosunkowo wcześnie. Mieszkała w Indiach czy też w Afryce. Może słyszała coś przez swojego męża lub jego rodzinę. Wszystko to może być nie związane ze „Starym Dworem”. Znała dziewczynę, ale przypuszczalnie w znacznie mniejszym stopniu niż pozostałe siostry. Ale to nie oznacza, że nie wie o niej czegoś ważnego. Trzecia siostra jest trochę dziwna, także wydaje się, iż niezbyt dobrze zna dziewczynę. Ale ona też może coś istotnego wiedzieć o jej kochankach czy też chłopakach. Może spotkała ją kiedyś z nieznanym mężczyzną? O właśnie, to ona teraz przechodzi obok hotelu.

Marple, jakkolwiek zajęta rozmową, nie zapomniała o swoim zwyczaju obserwowania wszystkiego, co działo się dookoła. Automatycznie notowała w myślach wszystkich przechodniów, tych spieszących się, czy też tych włączających się.

— Anthea Bradbury–Scott, to ta z wielką paczką. Idzie chyba na pocztę.

— Wygląda na lekko zwariowaną — zauważył Wanstead. — Włosy rozwiane, jak Ofelia po pięćdziesiątce.

— Tak samo pomyślałam, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy. O Boże, gdybym wiedziała, co robić! Czy zostać w hotelu, czy też jechać dalej z wycieczką? To szukanie igły w stogu siana. Jeżeli będzie się dostatecznie długo w nim grzebać, to można znaleźć coś ciekawego, nawet, jeżeli skończy się to ukłuciem.

13.

CZERWONO — CZARNA KRATKA

Pani Sandbourne wróciła w chwili, gdy grupa zasiadała do lunchu. Wiadomości nie były dobre. Pani Temple wciąż była nieprzytomna i miała zostać w szpitalu jeszcze przez jakiś czas. Zaczęto omawiać sprawy organizacyjne. Przewodniczka przedstawiła rozkład jazdy pociągów tym, którzy chcieliby wrócić już do Londynu. Omówiła także plan na następny dzień. Na popołudnie zaproponowała krótki wypad wypożyczonymi samochodami do pobliskiej miejscowości.

Gdy Marple wychodziła z jadalni, zbliżył się do niej Wanstead.

— Pewnie chciałaby pani odpocząć po południu? Ale jeśli nie, mam dla pani propozycję. W pobliżu znajduje się bardzo interesujący kościół, który moglibyśmy zobaczyć. Mogę przyjechać po panią za godzinę.

— Świetnie, bardzo chętnie — odparła Marple. Wanstead zjawił się o umówionej godzinie. Wsiedli do samochodu.

— Pomyślałem sobie, że ten kościół szczególnie panią zainteresuje. Miasteczko również. Dlaczego nie zwiedzić okolic, jeśli ma się ku temu okazję.

— To miłe z pana strony. — Spojrzała na niego. — Ale wydaje mi się, że... to bezduszne wobec pani Temple.

— Moja droga, pani Temple nie była pani przyjaciółką ani żadną znajomą. To smutne, że zdarzył się ten wypadek.

— No cóż... to bardzo miłe z pana strony — powtórzyła Marple.

„Uprzejmy ten pan Wanstead. Zabiera ze sobą starszą panią, aby pozwiedzać okolice. Równie dobrze mógł zaproponować to komuś młodszemu, bardziej atrakcyjnemu” — myślała.

Gdy przejeżdżali przez miasteczko, cały czas przyglądała mu się uważnie. Wanstead patrzył przed siebie. Kiedy miasto mieli już za sobą i wjechali na podrzędną drogę, odwrócił się. i powiedział:

— Przykro mi, ale nie jedziemy zwiedzać kościoła.

— Wiem. Domyślałam się.

— Rozważała pani taką ewentualność?

— Dokąd zatem zmierzamy, jeśli mogę spytać?

— Do szpitala w Carristown.

— Tam, gdzie zabrali panią Temple? — spytała Marple.

— Pani Sandbourne widziała się z nią. Przekazała mi też list od władz szpitalnych. Przed chwilą z nimi rozmawiałem.

- Jak się czuje?
- Niestety, nie najlepiej.
- Rozumiem... nie, nie rozumiem.
- Stan jest poważny, ale nic więcej nie można zrobić. Prawdopodobnie nie odzyska już świadomości, choć może mieć jakieś przebłyski.
- Dlaczego pan mnie tam zabiera? Jak pan zauważył, nie jestem jej znajomą. Spotkałam ją po raz pierwszy na tej wycieczce.
- Wiem o tym, ale pani Temple, gdy miała przebłyski świadomości, poprosiła, aby pani przyszła.
- Dlaczego właśnie ja? Dlaczego? Czy uważała, że mogę być jej w czymś pomocna? To bardzo inteligentna kobieta. Wielki człowiek. Jako dyrektorka szkoły w Fallowfield zajmowała poczesne miejsce w świecie edukacji...
- Najlepsza szkoła dla dziewcząt, tak? — wtrącił Wanstead.
- ...wielka osobowość, wykształcona. Matematyka to jej specjalność, ale była wszechstronnym nauczycielem. Interesowało ją nauczanie w ogóle. Starła się pomóc dziewczętom w dalszym kształceniu, w odkrywaniu zdolności. Zajmowała się wieloma sprawami. To byłoby okrutne, gdyby zmarła — powiedziała cicho Marple. — Wielka strata. Chociaż wycofała się z życia szkolnego, ciągle miała wiele do powiedzenia. Ten wypadek... a może nie chce pan, abym używała tego słowa?
- Na razie lepiej, żebyśmy tak o tym mówili. Wielki głaz stoczył się z góry. Wcześniej też się to zdarzało. Jednakże ktoś widział dokładnie, co się stało i opowiedział mi.
- Któż taki? — zainteresowała się Marple.
- Dwoje młodych ludzi: Joanna Crawford i Emllyn Price.
- Co widzieli?
- Twierdzą, że zauważyli kogoś na szczycie. Szli kamienistą ścieżką, wijącą się po zboczu w górę. Gdy wyszli zza zakrętu wyraźnie zobaczyli zarys postaci, która starała się zepchnąć głaz. Głaz zaczął się toczyć, najpierw wolno, później coraz szybciej. Pani Temple szła główną ścieżką poniżej i doszła dokładnie do punktu, w którym toczący się głaz spadł i uderzył ją. Jeśli został zrzucony specjalnie, mógł oczywiście nie dosięgnąć ofiary. Mógł spaść obok, ale... jednak trafił. Jeśli to była świadoma próba ataku na tę kobietę, to udała się aż nazbyt dobrze.
- Czy na górze stała kobieta czy mężczyzna? — spytała Marple.
- Niestety, Joanna nie mogła określić. Ktokolwiek to był, miał na sobie spodnie i ciemny pulower w czerwono — czarną kratkę. Postać odwróciła się i znikła prawie natychmiast. Joanna skłonna jest uważać ją za mężczyznę, ale nie ma pewności.
- Czy uważa pan, że to był świadomy zamach na życie pani Temple?
- Im dłużej o tym myślę, tym coraz bardziej w to wierzę.
- Nikt nie przychodzi panu na myśl?
- Nie. Któryś z uczestników wycieczki? Równie dobrze mógł to być ktoś zupełnie nieznan, kto wiedział, że wycieczka tu się zatrzymuje i zaplanował atak na jednego z jej uczestników. Jakiś młody wyznawca siły. Dla samej przyjemności zadania gwałtu. Mógł to być też jej wróg,
- To brzmi bardzo melodramatycznie. Tajemniczy nieprzyjaciel — rzekła Marple.

— No tak, któż chciałby zabić emerytowaną, szanowaną nauczycielkę. Istnieje możliwość, że sama pani Temple nam to powie. Może rozpoznała postać na wzgórzu lub wie, kto czyha na jej życie.

— Ciągłe wydaje się to mało prawdopodobne.

— Zgadza się z panią — powiedział Wanstead. — Nie pasuje zupełnie na ofiarę, ale z drugiej strony jako dyrektorka znała mnóstwo ludzi. Mnóstwo osób, powiedzmy to tak, przeszło przez jej ręce.

— Wiele dziewcząt, tak?

— Dokładnie tak. Dziewcząt i ich rodzin. Dyrektorka musiała dużo o nich wiedzieć. Romanse bez wiedzy rodziców. To zdarza się dość często. Dziewczęta dojrzewają wcześniej niż chłopcy. Fizycznie to prawda, ale w głębszym sensie tego słowa — później. Dłużej pozostają dziecinne w ubiorze, fryzurze, mini spódniczki świadczą o ich tęsknocie za dzieciństwem. Fartuszki, szorty, wszystko moda dziecięca. Nie chcą być dorosłe, przyjąc na siebie odpowiedzialności. I jak wszystkie dzieci pragną być traktowane jak osoby dorosłe i robić to wszystko, co dojrzały dorośli ludzie. Prowadzi to czasami do tragedii.

— Czy ma pan na myśli jakiś konkretny przypadek?

— Niezupełnie. Po prostu różne przypuszczenia przebiegają mi przez głowę. Nie wierzę, aby Elizabeth Temple miała osobistego wroga, który byłby tak bezwzględny, aby ją zabić. Myślę... — Spojrzał na Marple. — A może pani ma jakiś pomysł?

— Sugeruje pan, że pani Temple wiedziała coś, co było bardzo niewygodne lub niebezpieczne dla kogoś wtedy, gdy wyszłoby to na jaw.

— Owszem.

— W takim razie na naszej wycieczce jest ktoś, kto rozpoznał panią Temple lub wiedział, kim była. Z drugiej strony wskutek upływu czasu osoba ta nie została przez nią rozpoznana... Wspomniał pan o pulowerze w czerwono-czarną kratkę.

— O tak, pulower. — Wanstead spojrział na nią z zaniepokojeniem. — Czy coś panią uderzyło?

— To bardzo rzuca się w oczy — odparła Marple. — Joanna od razu o nim powiedziała.

— Co pani sugeruje?

— Celowe zostawienie śladów. Coś, co zostanie na pewno zauważone, rozpoznane, zapamiętane.

— Tak? — Wanstead spojrział zachęcająco.

— Obserwując jakąś osobę z daleka, najpierw zwracamy uwagę na jej ubranie. Nie na twarz, sposób chodzenia, ręce czy nogi. Rzuci nam się w oczy szkarłatny szkocki kapelusz, płaszcz, fantazyjna kurtka dżinsowa czy też... pulower w jaskrawą czerwono-czarną kratkę. Ubranie się w tak charakterystyczną rzecz ma na celu jedno: jeśli ta osoba zdejmie ją i pozbędzie się, na przykład wysyłając pocztą setki mil stąd, wyrzuci do śmieci, spali, podrze lub zniszczy w inny sposób, może mieć pewność, że ubierając się skromnie i bezbarwnie, na pewno nie będzie podejrzana i poszukiwana. Ten sweter został założony rozmyślnie po to, aby go rozpoznać później, ale nigdy nie na tej osobie.

— Sprytnie pomyślane — zauważył Wanstead. — Jak pani mówiłem, Fallowfield znajduje się niedaleko stąd, około szesnastu mil. A więc pani Temple zna te okolice bardzo dobrze, jak również ludzi tu mieszkających.

— To zwiększa możliwości — powiedziała Marple. — Zgadza się z panem, że napastnik bardziej wydaje się być mężczyzną niż kobietą. Głaz, jeśli uczyniono to celowo, został zrzucony z zadziwiającą precyzją, a jest to cecha raczej mężczyzn niż kobiet. Równie dobrze mógłby to być ktoś z naszej wycieczki jak i z okolic. Dawny uczeń. Ktoś, kogo ona sama nie rozpoznała po tak długim czasie. Uczennica doskonale rozpozna pięćdziesięcioletnią dyrektorkę. Człowiek w tym wieku nie zmienia się już tak bardzo, a dziesięć lat dla dziewczyny to bardzo dużo. Pani Temple musiała komuś zagrażać. — Westchnęła. — Zna pan te okolice?

— Nie — odparł Wanstead. — Niestety, nie. Znam tylko kilka zdarzeń, które miały tu miejsce, ale jedynie dzięki pani. Gdyby nie znajomość z panią, byłbym zupełnie zagubiony. Została tu pani wysłana, ale nie wie pani po co. Pan Rafiel wszystko to dobrze zorganizował. Właśnie tu miała pani spędzić kilka dni u dawnych jego znajomych. Z jakiego powodu?

— Poznanie pewnych faktów.

— Seria morderstw, która miała tu miejsce wiele lat temu. — Twarz Wansteada wyrażała wątpliwość. Nie ma w tym nic niezwykłego. Takich miejsc jest wiele. Morderstwa tego rodzaju zdarzyły się wielokrotnie. Najpierw jedna dziewczyna zamordowana, potem druga znaleziona w niewielkiej odległości od tamtej. I znów to samo dwadzieścia mil dalej. Ten sam sposób zabijania.

— Zameldowano o zaginięciu dwóch dziewcząt z Jocelyn St. Mary. Jedna z nich to ta, o której rozmawialiśmy i którą tuż przed śmiercią widziano w towarzystwie Michaela.

— A druga?

— To Nora Broad. Nie należała do tych spokojnych dziewcząt, stroniących od chłopców. Nigdy nie znaleziono jej ciała. Prawdopodobnie miała o jednego chłopaka za dużo. Były takie przypadki, że ciało znajdowano po dwudziestu latach. — Samochód zwolnił. — Oto szpital w Carristown — oznajmił Wanstead.

Weszli do budynku. Wyraźnie byli oczekiwani. Zaprowadzono do pokoju, w którym powitała ich kobieta.

— Profesor Wanstead, tak? A pani... — zawahała się.

— Pani Jane Marple — przedstawił ją Wanstead. — Rozmawiałem z siostrą Barker przez telefon.

— Tak, będzie państwu towarzyszyła.

— Jak się czuje pani Temple?

— Bez zmian. Niestety, nie ma żadnej poprawy. — Wstała zza biurka. — Zaprowadzę państwa do siostry Barker.

Siostra Barker była wysoką, szczupłą kobietą o niskim, stanowczym głosie i ciemnych, szarych oczach. Gdy z kimś rozmawiała, rzucała szybkie, krótkie spojrzenie i natychmiast odwracała wzrok, jakby poddawała rozmówcę inspekcji.

— W jakim celu zostaliśmy tu wezwani? — zapytał Wanstead.

— Lepiej będzie, jeśli o wszystkim państwu powiem. Pani Temple jest cały czas nieprzytomna. Bardzo rzadko zdarza się jej odzyskać świadomość. Czasem wydaje się, że poznaje, gdzie jest i mówi z sensem. Nic nie możemy zrobić, aby wyrwać ją z tej śpiączki. Musimy cierpliwie czekać. Pan Wanstead wyjaśnił chyba pani, że gdy raz się obudziła, poprosiła o widzenie z panią. W chwilę potem straciła przytomność. Lekarz powiedział, że dobrze byłoby odnaleźć panią. Pan Wanstead obiecał, że panią przywodzi. Prosimy, aby pani usiadła w pokoju pani Temple, wzięła notes i zapisała każde słowo, które ona wypowie. Niestety, oczekujemy najgorszego. Pani nie jest osobą z rodziny, więc wiadomość ta nie będzie dla pani takim szokiem. Lekarz uważa, że pani Temple jest umierająca i prawdopodobnie nie odzyska już świadomości. Gdyby jednak odzyskała przytomność, dobrze się stanie, jeśli pani będzie przy niej. I raczej tylko pani. W pokoju pozostanie jeszcze pielęgniarka, której pani Temple nie będzie widziała. Nie ruszy się z miejsca, jeśli nie będzie o to poproszona. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu. Jest tu także policjant gotowy wszystko zapisać, jeśli zajdzie taka potrzeba. On także nie powinien być zauważony. Pani Temple oczekuje spotkania z panią. Zdenerwowałaby się, gdyby zobaczyła kogoś obcego. Czy nie za wiele od pani wymagamy?

— Ależ skąd — powiedziała Marple. — Jestem na to przygotowana. Mam ze sobą pióro i notes. Pamięć już nie ta, co dawniej, ale nie będę robiła notatek w czasie wizyty. To samo ze słuchem, ale jeśli będę siedziała blisko łóżka, na pewno wszystko usłyszę. Nawet gdyby mówiła szeptem. Jestem przyzwyczajona do ludzi chorych. Swego czasu spędzałam z nimi dużo czasu.

Znowu błyskawiczne spojrzenie siostry Barker przebiegło po Marple. Ruch jej głowy wyrażał zadowolenie.

— To miło z pani strony. Jesteśmy pewni, że zrobi pani wszystko, aby nam pomóc. Pan Wanstead może zaczekać w poczekalni. Zawołamy go w każdej chwili. Poproszę teraz panią ze mną.

Marple poszła za siostrą wzdłuż korytarza do małego pokoju. Na wpół zaciągnięte zasłony rzucały lekko przyćmione światło. Na łóżku leżała pani Temple. Wyglądała jak martwy posąg. Oddychała nierówno. Siostra podeszła do chorej, zbadała ją i wskazała Marple krzesło, po czym skierowała się do drzwi. Zza specjalnej kotary wyszedł mężczyzna z notesem w ręku.

— Z polecenia doktora — wyjaśniła siostra Barker. W drugim końcu pokoju siedziała pielęgniarka.

— W razie potrzeby niech mnie pani zawoła — zwróciła się siostra do pielęgniarki — i wykonuje wszystkie polecenia pani Marple.

Marple zdjęła żakiet i oddała go pielęgniarce. Usiadła na krześle i zaczęła przyglądać się pani Temple. Jeszcze raz zwróciła uwagę na bardzo ładny kształt głowy. Czarne włosy zaczesane do tyłu doskonale grały z zarysem twarzy, tworząc coś w rodzaju czapki. Piękna kobieta i mądra. „To byłaby ogromna strata, gdyby zmarła” — pomyślała Marple. Poprawiła jej poduszkę, przysunęła krzesło bliżej łóżka i nieruchomo siedziała.

Czas mijał powoli. Dziesięć, dwadzieścia minut, pół godziny. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, usłyszała głos. Niski, ale wyraźny, lekko zachrypnięty, nie było w nim nic z dawnej dźwięczności:

— Pani Marple?

Elizabeta Temple otworzyła oczy. Patrzyła prosto na Marple, przytomnie i jasno. Jej oczy studiowały osobę siedzącą koło łóżka bez zdziwienia ani innych uczuć, może jedynie badawczo. Znowu się odezwała.

— Jane Marple?

— Tak — odparła Marple. — To ja.

— Henry często o pani mówił. Zamilkła.

— Henry? — powtórzyła nieco zdziwiona Marple.

— Henry Clithering, mój stary znajomy, bardzo stary znajomy.

— Mój także — powiedziała Marple.

Myślami wróciła do niego, do czasów gdy się znali, rozmawiali, pomagali sobie wzajemnie. Stary znajomy.

— Zauważyłam pani nazwisko na liście uczestników wycieczki... Pani mogłaby pomóc. Tak powiedziałby Henry, gdyby tu był. Pani może pomóc... dociec prawdy. To ważne, bardzo ważne, chociaż minęło już wiele lat.

Głos zamilkł nagle, powieki opadły. Pielęgniarka wstała z krzesła, podeszła do łóżka i podała chorej wodę. Temple wypita łyk i podziękowała skinieniem głowy. Pielęgniarka wróciła na miejsce.

— Jeśli będę w stanie pomóc, zrobię to z pewnością — powiedziała Marple.

— To dobrze — rzekła Temple. — To dobrze...

Leżała przez chwilę z zamkniętymi oczami. Po jakimś czasie znów spojrzała na Marple.

— Która z nich? — zapytała Temple. — Która? Musimy się dowiedzieć. Czy wie pani, o czym mówię?

— Chyba tak. Ta dziewczyna, która zginęła, Nora Broad?

— Nie, nie. Ta druga, Verity Hunt. — Przerwała. — Jane Marple, jest pani starszą osobą, dużo starszą, niż wtedy, gdy o pani mówił. Ale może jeszcze pani pomóc, prawda? —

Ton jej głosu stał się wyższy, bardziej natarczywy. — Może pani? Niech pani powie, że tak. Nie mam dużo czasu. Wiem o tym doskonale... Jedna z nich, ale która? Niech pani się dowie. Henry mówił, że pani to umie. To może być niebezpieczne, ale dowie się pani, prawda?

— Z Bożą pomocą, dowiem się — odparła Marple. Zabrzmiało to jak przysięga.

— Och!

Oczy zamknęły się i znów otworzyły. Na twarzy pojawił się grymas, coś w rodzaju uśmiechu.

— Wielki kamień. Kamień Śmierci.

— Kto go zepchnął?

— Nie wiem, ale to nieważne. Tylko... Verity. Niech pani dowie się o niej prawdy. Verity znaczy prawda.

Marple zauważyła, że ciało Temple rozluźnia się. Usłyszała jeszcze szept:

— Do widzenia. Niech pani robi wszystko, co w pani mocy.

Opadła na poduszki i zamknęła oczy. Pielęgniarka znowu podeszła do łóżka, zmierzyła puls i skinęła. Marple wstała posłusznie i opuściła pokój.

— To był dla niej wielki wysiłek — powiedziała później pielęgniarka. — Przez dłuższy czas nie odzyska już przytomności. Mam nadzieję, że czegoś się pani dowiedziała.

— Nigdy nie wiadomo, co jest ważne.

— Udało się pani uzyskać jakieś informacje? — zapytał Wanstead, gdy znaleźli się sami.

— Verity — oznajmiła Marple. — Czy to imię tej dziewczyny?

— Tak. Verity Hunt.

Elizabeth Temple zmarła półtorej godziny później, nie odzyskawszy przytomności.

14.

BROADRIBB ZASTANAWIA SIĘ

— Czytałeś dziś rano Timesa? — spytał Broadribb Schustera.

Schuster odparł, że nie miał czasu i czytał tylko Telegraph.

— Zauważyłeś informację o śmierci Elizabeth Temple?

Schuster wyglądał na zdziwionego.

— Dyrektorka z Fallowfield. Słyszałeś o tej szkole?

— Oczywiście — odparł Schuster. — Szkoła dla dziewcząt istnieje już od pięćdziesięciu lat. Ekskluzywna i fantastycznie droga. Była dyrektorką? Myślałem, że odeszła na emeryturę jakiś czas temu. Jestem pewien, że czytałem o tym w gazecie. Pisali także o nowej dyrektorce. Młoda, mężatka, około trzydziestu pięciu lat, z nowoczesnymi poglądami. Organizuje kursy pielęgnacji ciała, pozwala nosić spodnie. Znasz ten typ.

— Hmm... — chrząknął Broadribb w sposób charakterystyczny dla adwokatów w jego wieku, gdy usłyszą coś, co wywołuje komentarz oparty na wieloletnim doświadczeniu. Z pewnością nie zastąpi godnie Elizabeth. Ona była naprawdę kimś. Prowadziła tę szkołę przez długi czas.

— Tak — rzekł odruchowo Schuster, zastanawiając się, dlaczego Broadribba zaciekała zmarła dyrektorka.

Nie interesowali się szkołami. Ich dzieci miały już to poza sobą. Dwóch synów Broadribba piastowało szanowane posady: w firmie produkującej oleje i w urzędzie państwowym, a dzieci Schustera przebywały na różnych uniwersytetach, w miarę swoich możliwości utrudniając pracę władzom uczelni.

— A o co chodzi? — spytał Schuster.

— Brała udział w wycieczce autokarowej dookoła Anglii.

— Ach, te wycieczki — westchnął Schuster. — Nikomu ze swej rodziny nie pozwoliłbym pojechać. Na jednej z nich, w zeszłym tygodniu, autokar spadł w przepaść, w Szwajcarii. Z kolei, dwa miesiące temu w wypadku samochodowym zginęło dwadzieścia osób. Kto prowadzi te pojazdy?

— To jedna z wycieczek „Słynne zabytki”, czy coś w tym rodzaju. Wiesz o co chodzi?

— Ach, tak. Na jedną wysłaliśmy tę panią... tę od pana Rafiela.

— Jane Marple.

— Ale ona żyje? — spytał Schuster.

— Tego nie wiem. Po prostu nie zastanawiałem się.

— Czy to był wypadek samochodowy?

— Nie. Stało się to w jednym z punktów widokowych. Szli ścieżką na wzgórzu wzdłuż stromego zbocza pełnego kamieni... Raczej męczący spacer... jeden z kamieni obluźował się i spadł na panią Temple. Odwieźli ją do szpitala, gdzie w jakiś czas potem zmarła.

— To pech — rzekł pan Schuster, oczekując dalszego opowiadania.

— Zastanawiam się — podjął Broadribb. — Fallowfield to szkoła, do której chodziła ta dziewczyna...

— Jaka dziewczyna, nie wiem o kim mówisz.

— ...która zabił Michael Rafiel. Po prostu staram się łączyć fakty związane z tą dziwną sprawą. Szkoda, że Rafiel nie powiedział nam czegoś więcej.

— I do jakiego wniosku doszedłeś? — zainteresował się nagle Schuster.

— Ta dziewczyna... nie pamiętam jej nazwiska... na imię miała Hope czy Faith... nie, Verity, Verity Hunter, chyba. To jedno z tej serii morderstw. Ciało znaleziono w rowie trzydzieści mil od miejsca zaginięcia. Nie żyła od sześciu miesięcy. Udużona, twarz zmasakrowana, ale zidentyfikowano ją. Ubranie, torebka, biżuteria, jakieś znaki szczególne pozwoliły dość łatwo ustalić tożsamość.

— W sprawie tego morderstwa odbył się proces.

— Michaęla oskarżono jeszcze o trzy inne zabójstwa, ale nie było wystarczających dowodów. Policja skupiła się więc tylko na ostatnim. Mnóstwo dowodów: przeszłość przestępcza, wcześniejsze przypadki napadów i gwałtów. Ale dobrze wiemy, jak wyglądają dzisiejsze gwałty. Mamusi każą dziewczynie oskarżyć chłopaka o gwałt, nawet jeśli chłopak nie ma zbyt wiele możliwości, aby to uczynić". Dziewczyna nagabuje go ciągle i gdy mama jest w pracy a tata na wakacjach, męczy go dopóty, dopóki nie podda się i nie prześpi z nią. Potem, jak mówiłem, mama nazywa to gwałtem. Ale nie o to mi chodzi. Sądzę, że sprawa Jane Marple ma związek z Michaëlem.

— Ale winę mu udowodniono i skazano na dożywocie, tak?

— Dokładnie nie pamiętam. Minęło wiele lat. Może wypuszczono go ze względu na młody wiek, zgodnie z paragrafem o ograniczonej odpowiedzialności.

— Ale Verity Hunt czy Hunter nie była już uczennicą, gdy ją zamordowano?

— Nie, miała wtedy osiemnaście, dziewiętnaście lat. Mieszkała z krewnymi czy też przyjaciółmi rodziny. Miły dom i mili ludzie. Była dziewczyną, o której zwykle mówi się: „bardzo spokojna i urocza, raczej nieśmiała. Nigdy nie zadaje się z obcymi, nie ma żadnych chłopaków". Rodzina nigdy nie wie, czy dziewczyna ma chłopca. Ale o to starają się one same. Młody Rafiel uważany był za bardzo przystojnego chłopaka.

— Nie było żadnych wątpliwości, że to on popełnił tę zbrodnię? — spytał Schuster.

— Najmniejszych. Na rozprawie cały czas kłamał. Jego obrońca nie powinien pozwalać mu zeznawać. Wielu jego przyjaciół zapewniało mu fałszywe alibi. Wszyscy kłamali jak z nut.

— I co o tym sądzisz, Broadribb?

— Nic, po prostu zastanawiam się, czy śmierć tej kobiety ma z tym jakiś związek.

— Z czym?

— Z tymi spadającymi głazami, które nagle kogoś uderzają. To niezgodne z prawami natury. Z doświadczenia wiem, że głazy z reguły pozostają na swoim miejscu.

15.

VERITY

Elizabeth Margaret Temple zmarła wieczorem poprzedniego dnia. Śmierć miała spokojną. Marple siedziała znowu pomiędzy wyblakłymi perkalami w „Starym Dworze”. Właśnie skończyła robić na drutach wełniany sweterek dziecięcy. Następnie zabrała się za purpurowy szal; miała go robić szydełkiem. Zachowywała się zgodnie z wczesnowiktoriańskim wzorcem postępowania w obliczu tragedii.

Dochodzenie miało być przeprowadzone następnego dnia. Pastor zgodził się odprawić krótkie nabożeństwo w kościele, jak tylko wszystko zostanie przygotowane. Właściciel zakładu pogrzebowego i jego pracownicy stosownie ubrani, z żałobnymi twarzami, zajmowali się sprawami formalnymi. Początek dochodzenia ustalono na godzinę jedenastą rano. Wszyscy uczestnicy wycieczki zgodzili się składać zeznania. Kilkoro zdecydowało się zostać do czasu odprawienia nabożeństwa.

Glynne przyszła do hotelu „Pod Żółtym Dzikim” i namawiała Marple, żeby powróciła do „Starego Dworu” zanim wycieczka wyruszy dalej.

— Uniknie pani reporterów — zachęcała.

Marple podziękowała ciepło i przyjęła propozycję.

Po zakończeniu nabożeństwa wycieczka miała wyruszyć, zaczynając zwiedzanie od South Bedestone, trzydzieści pięć mil stąd. Zatrzymają się w hotelu pierwszej klasy, gdzie pierwotnie mieli spędzić tylko noc. Potem wszystko odbędzie się według planu. Niektórzy zrezygnowali z dalszego zwiedzania i wrócili do domu lub udali się w innych niż wycieczka kierunkach. Można było zrozumieć obie decyzje. Zostawić za sobą nieprzyjemne wspomnienia lub kontynuować zwiedzanie, za które przecież zapłacili. Przykre momenty mogą zdarzyć się podczas każdej wycieczki.

„Dużo będzie zależało od wyniku dochodzenia” — pomyślała Marple.

Wymieniwszy stosowne uwagi z trzema siostrami, Marple zajęła się szydełkowaniem. Siedziała, zastanawiając się nad dalszym sposobem postępowania. Automatycznie ruszając szydełkiem, nagle wypowiedziała słowo: „Verity”.

Rzuciła je jak kamień do strumienia, oczekując reakcji. Chciała sprawdzić, czy znaczyło coś ono dla trzech sióstr. Może tak, może nie. Jeśli nie, to powie to samo dziś wieczorem przy kolacji w hotelu wśród uczestników wycieczki. Było to ostatnie słowo, prawie ostatnie, które wypowiedziała Elizabeth Temple przed śmiercią. Ręce Marple ciągle były zajęte robótką, ale doszła już do takiej wprawy, że mogła w trakcie robienia czytać, prowadzić rozmowę, jednocześnie patrząc na rytmicznie poruszające się ręce.

Kamień wrzucony w wodę, marszczy jej powierzchnię, rozbryzguje krople. Jakaś reakcja musi być. Nie myliła się. Twarz miała nieruchomą, spojrzenie zza okularów niezauważalnie przebiegło jednocześnie po trzech siostrach, w sposób który wypracowywała w sobie latami. Na różnych spotkaniach towarzyskich uważnie obserwowała ludzi, gdy była na tropie interesującej nowości czy plotki.

Glynne opuściła książkę i zdziwiona spojrzała na Marple. Zdziwiona nie samym słowem, ale osobą, która je powiedziała. Clotilde zareagowała inaczej. Nagle podniosła głowę, ale nie spojrzała na Marple, lecz w kierunku okna. Zaciśnęła mocniej ręce. Marple pochyliła się nad robótką, tak jakby nic nie zauważyła, ale dostrzegła, że w jej oczach pojawiły się łzy. Siedziała sztywno, pozwalając, aby łzy swobodnie spływały po policzkach. Nie powiedziała ani słowa. Marple zaskoczona była smutkiem, który ją otaczał.

Anthea zawołała podnieconym głosem:

— Verity? Pani powiedziała Verity? Nie wiedziałam, że ją pani znała. Miała pani na myśli Verity Hunt?

— Czy to imię chrześcijańskie? — spytała Lavinia Glynne.

— Nie znałam nikogo o tym imieniu — powiedziała Marple.

— Ale chodziło mi o samo imię. Jest raczej niezwykle... Ve-ri-ty — powtórzyła powoli. Opuściła nagle kłębek wełny i spojrzała dookoła przeproszająco jak ktoś, kto popełnił nietakt, ale nie wie dlaczego.

— Ach, tak mi przykro... Czy powiedziałam coś, czego nie powinnam? To dlatego, że...

— Ależ oczywiście, że nie — zaprzeczyła Glynne. — Po prostu to imię z czymś nam się kojarzy.

— Wypowiedziała je biedna pani Temple — tłumaczyła się Marple. — Odwiedziłam ją wczoraj po południu. Zawiózł mnie profesor Wanstead. Myślał, że może... nie wiem, czy to właściwe słowo... może uda mi się pobudzić ją jakoś do życia. Była nieprzytomna i lekarze uważali... nie dlatego, że byłam jej znajomą ani nic takiego, ale rozmawialiśmy dużo ze sobą podczas wycieczki. Myśleli, że mogę im pomóc. Niestety. Siedziałam i czekałam, aż obudziła się i powiedziała kilka słów, których sensu nie zrozumiałam. Po jakimś czasie, gdy już odchodziłam spojrzała na mnie i... nie wiem, czy wzięła mnie za kogoś innego, ale powiedziała: Verity. Oczywiście utkwilo mi to w pamięci. No tak, mogła mieć na myśli prawdę. Przecież verity znaczy prawda.

Spojrzała kolejno: na Lavinie, Clotilde i Antheę.

— To imię dziewczyny, którą znałyśmy — wyjaśniła Glynne. — Dlatego tak zareagowałyśmy.

— Zmarła tak okrutną śmiercią — dodała Anthea.

— Antheo! Nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły — wtrąciła stanowczym tonem Clotilde.

— Przecież wszyscy o tym wiedzą. — Anthea spojrzała na Marple. — Myślałam, że znała ją pani przez pana Rafiela, że może wszystko pani opowiedział.

— Bardzo mi przykro — powiedziała Marple. — Ale nie bardzo wiem, o czym panie mówią.

— Znaleźli jej ciało w rowie — powiedziała Anthea.

Marple wiedziała, że nic nie może powstrzymać Anthei, jeśli już zaczęła mówić. Clotilde zdenerwowała się. Wyjęła chusteczkę i wytarła łzy. Miała tragizm w oczach.

— Verity — powiedziała — to dziewczyna, którą bardzo kochałyśmy. Mieszkała tu jakiś czas. Była mi bardzo bliska.

— I ty byłaś jej bliska — powiedziała Lavinia.

— Jej rodzice byli moimi przyjaciółmi — kontynuowała Clotilde. — Zginęli w katastrofie lotniczej.

— Uczyła się w szkole w Fallowfield — wyjaśniła Lavinia.

— Może dlatego pani Temple ją sobie przypomniała.

— Ach, teraz rozumiem — po wiedziała Marple. — Pani Temple była dyrektorką w tej szkole?

— Tak — przytaknęła Clotilde. — Po śmierci rodziców Verity zamieszkała z nami. Miała osiemnaście czy dziewiętnaście lat Kochana dziewczyna. Bardzo nam oddana. Myślała o kursie dla pielęgniarek, ale pani Temple uważała, że jest bardzo zdolna i chciała ją wysłać na uniwersytet. Zaczęła przygotowywać się już do egzaminów, gdy wydarzyła się ta tragedia. — Odwróciła głowę. — Czy możemy o tym nie mówić?

— Ach, oczywiście — powiedziała Marple. — Bardzo mi przykro, że przywołałam te tragiczne wspomnienia. Nie wiedziałam... nie słyszałam... myślałam, że... to znaczy...

— Marple coraz bardziej zaczęła się plątać.

Tego wieczoru dowiedziała się nieco więcej. Glynne przyszła do jej pokoju, gdy właśnie przygotowywała się do wyjścia do hotelu.

— Pomyślałam, że powinnam z panią porozmawiać — powiedziała Glynne. — O Verity Hunt. Oczywiście, nie mogła pani wiedzieć, że Clotilde była szczególnie mocno z nią związana. Ta straszna śmierć wywołała u niej ogromny szok. Myślę, że dobrze byłoby, żeby znała pani pewne fakty. Verity bez naszej wiedzy spotykała się z chłopcem, który okazał się niebezpiecznym przestępcą. Kiedyś nas odwiedził. Znałyśmy dobrze jego ojca... — przerwała. — Lepiej będzie, jeśli powiem pani całą prawdę, gdyż wydaje mi się, że pani nic nie wie: to był syn pana Rafiela, Michael.

— O Boże! — westchnęła cicho Marple. — Nie pamiętałam imienia, ale słyszałam o nim.

— Ciągłe wpadał w tarapaty. Był sądzony za napastowanie nieletniej. Osobiście uważam, że sędziowie postępują zbyt łagodnie. Nie chcą niszczyć kariery uniwersyteckiego chłopcom, więc zwalniają ich... zapomniałam, jak to nazywają... wyrok zawieszony, czy jakoś tam. Gdyby od razu byli zamykani w więzieniu, odstraszyłoby ich to od takich czynów. Michael był też złodziejem, podrabiał czeki. Znałam dobrze jego matkę. Szczęście, że umarła młodo i nie musiała doświadczać wszystkich poczynań syna. Wiem, że pan Rafael robił, co mógł. Myślę, że był to wielki cios dla niego, chociaż udawał, że takie sprawy go nie obchodzą. W tym czasie dokonano wielu tego rodzaju morderstw w innych regionach kraju, ale najwięcej popełniono ich tutaj. Pewnego dnia Verity wyszła do przyjaciółki i... nie wróciła. Zawiadomiliśmy policję. Przeszukano cały teren, ale nie znaleziono jej. Dałyśmy też ogłoszenie do gazety. Policja sugerowała, że uciekła ze swoim chłopcem, natomiast ludzie mówili, że widzieli ją z Michaeliem. Policja, w związku z jego licznymi przestępstwami, miała już na niego oko, ale z braku dowodów nie mogła nic zrobić. Ostatni raz widziano Verity w samochodzie Michaela. Nie było żadnych innych śladów. Sześć miesięcy później znaleziono jej ciało w dzikiej okolicy, trzydzieści mil stąd. Clotilde musiała zidentyfikować zwłoki. To była Verity. Udużona, ze zmasakrowaną twarzą. Po tym, co zobaczyła, Clotilde już nigdy nie doszła do siebie. Rozpoznała ją po znakach szczególnych, pieprzyk i blizna, no i oczywiście po ubraniu i

zawartości torebki... Pani Temple bardzo lubiła Verity i po prostu musiała ją sobie przypomnieć przed śmiercią.

— Bardzo mi przykro — przepraszała Marple. — Naprawdę, bardzo mi przykro. Proszę powiedzieć siostrze, że nic nie wiedziałam... nie miałam pojęcia.

16.

DOCHODZENIE

Marple szła wolno jedną z uliczek miasteczka prowadzącą do rynku, na którym znajdował się stary budynek w stylu gregoriańskim. W nim miało odbyć się przesłuchanie. Spojrzała na zegarek. Zostało jej jeszcze dobrych dwadzieścia minut. Zaczęła więc oglądać wystawy. Zatrzymała się przy sklepie z ubrankami dla dzieci i z wełną. Zajrzała do środka. Dwoje dzieci przymierzało wełniane sweterki. Pomagała im młoda sprzedawczyni. W głębi, za ladą stała starsza kobieta.

Marple weszła do środka, stanęła naprzeciw kobiety i wyjęła z torebki próbkę różowej wełny. Wyjaśniła, że zabrakło jej trochę do skończenia dziecięcego sweterka, który robiła. Przyniesiono różnego rodzaju próbki, które Marple zaczęła podziwiać. Powoli rozmowa przeszła do wydarzenia na wzgórzach Bonaventury. Wyraziła swój głęboki smutek z powodu tego wypadku. Pani Merrypit — jeśli nazwisko z szyldu odpowiadało osobie sprzedawczyni — była bardzo przejęta tym zdarzeniem. Narzekała, że władze miasta nie potrafią zapewnić ludziom bezpieczeństwa.

— Deszcz podmywa ziemię i powoduje obsuwanie się kamieni, które zaczynają spadać. Pamiętam rok, kiedy zdarzyły się trzy wypadki. Raz omal nie zginął chłopiec, później mężczyzna złamał rękę, a ostatnim razem przytrafiło się to biednej pani Walkers. Była niewidoma i trochę głucha. Gdyby usłyszała spadający kamień, usunęłaby się z drogi. Ktoś to zobaczył i zaczął krzyczeć, aby ją ostrzec, ale nie słyszała go, był za daleko, żeby dobiec. I zginęła.

— Och, to straszne — powiedziała Marple. — Tego się nie da łatwo zapomnieć.

— Coroner pewnie wspomni o tym?

— Chyba tak. To straszne, ale takie rzeczy się zdarzają. Często jednak wypadki powodują inne osoby.

— Tak, są łobuzy, którzy specjalnie wywołują grad kamieni, ale tak wysoko jeszcze ich nie widziałam.

Marple zmieniła temat. Zapytała o jaskrawe kolorowe pulowery.

— Nie dla mnie — wyjaśniła. — Dla mojego młodego kuzyna, który lubi takie swetry.

— To prawda. Młodemu podobają się jaskrawe kolory — przytaknęła Merrypit. — Dżinsy są zwykle czarne lub ciemnogrnatowe, ale powyżej lubią mieć coś jasnego.

Marple opisała sweter w kratkę. Mimo, iż wybór był duży nic takiego nie można było znaleźć. W przeszłości też nigdy nie dostawali takich rzeczy. Po obejrzeniu kilku wzorów Marple zaczęła zbierać się do wyjścia. Napomknęła jeszcze o poprzednich morderstwach, które podobno tu się wydarzyły.

— W końcu złapali tego chłopaka — powiedziała Merrypit. — Miły chłopiec. Nikt nie podejrzewał, że to on. Dobrze wychowany, studiował na uniwersytecie, miał bogatego ojca. Pomyłony chyba. Nie wysłali go do żadnego zakładu dla umysłowo chorych, ani nic

takiego, ale ja uważam, że był chory psychicznie. Podobno zginęło jeszcze pięć czy sześć innych dziewcząt. Z początku podejrzewali innych chłopców. Najpierw złapali Geoffrey'a Granta. Też trochę dziwny. Napastował małe dziewczynki idące do szkoły. Dawał im cukierki i zaciągał na łąkę, gdzie pokazywał pierwiosnki albo coś w tym rodzaju. Ale w rezultacie wypuścili go. Potem zabrali się za Berta Williamsa, ale w czasie dokonywanych przestępstw był poza miastem. A więc miał, jak to nazywają, alibi. Ostatni to, nie pamiętam nazwiska. Lukę chyba, nie... Michael coś tam. Miły, jak mówiłam, ale miał już za sobą kilka przestępstw. Kradzieże, podrabianie czeków i tym podobne. Także dwie sprawy o ojcostwo, nie, chyba niedokładnie tak to się nazywa, ale wie pani, o co chodzi. Gdy dziewczyna spodziewa się dziecka i ojciec sądowo jest zmuszony płacić. Miał już takie dwa przypadki.

— A czy ta dziewczyna była w ciąży?

— O tak. Gdy znaleziono ciało myśleliśmy, że to kuzynka pani Broad. Latała za chłopakami. Zniknęła w ten sam sposób. Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje.

— Ale to nie było jej ciało.

— Nie.

— A ja znaleziono?

— Nie, może kiedyś. Podejrzewano, że ciało zepchnięto do rzeki. Nigdy nie wiadomo, co można znaleźć, kopiąc ziemię, prawda? Raz kiedyś zabrano mnie, abym obejrzała zakopany skarb. Luton Loo, jakoś tak to się nazywało. Na wschód stad. Były tam złote miniaturki statków Wikingów, złote talerze, ogromne patery. Tak, nigdy nic nie wiadomo. W każdej chwili można też odkryć jakieś zwłoki. Mogą mieć setki lat albo tylko trzy czy cztery. Jak ciało Mary Lucas, które znaleziono po czterech latach niedaleko Reigate. Ach, smutne to życie. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie.

— Mieszkała tu także inna dziewczyna, którą zabito — wtrąciła Marple.

— Ta, której ciało rozpoznano jako zwłoki Nory Broad? Nie pamiętam jej nazwiska. Hope czy Charity. Często używane w czasach wiktoriańskich, ale obecnie wyszło z użycia. Mieszkała w „Starym Dworze”, po tym jak zginęli jej rodzice.

— W katastrofie lotniczej?

— Tak, samolot leciał do Hiszpanii czy Włoch.

— I zamieszkała tutaj. Czy to była jej rodzina?

— Wiem tylko, że pani Glynne była wielką przyjaciółką jej matki. Pani Glynne była mężatką i wyjechała za granicę, ale najstarsza z siostr, pani Clotilde, ta z ciemnymi włosami, bardzo troskliwie zajęła się dziewczyną. Zabierała ją za granicę do Włoch, Francji, uczyła maszynopisania, stenotypii, dawała lekcje sztuki. Pani Clotilde jest bardzo zdolna. Była zakochana w dziewczynie. Załamała się zupełnie po jej zniknięciu. Inaczej niż Anthea.

— Pani Anthea to najmłodsza? — przerwała Marple.

— Tak, nie całkiem normalna. Rozmawia ze sobą, kiwa dziwnie głową. Dzieci się jej boją. Mówią, że to dziwaczka. Nie wiem. Słyszała pani pewnie o tym. Wujek, który tu mieszkał też był dziwny. W ogrodzie trenował strzelanie z pistoletu. Bez powodu. Był dumny, że jest świetnym strzelcem.

— Ale pani Clotilde jest normalna?

— O tak, bardzo mądra kobieta. Zna łacinę i grekę. Chciała studiować, ale nie mogła ze względu na chorą od lat matkę. Lubiła tę... — jak jej na imię? — Faith, chyba. Traktowała ją jak córkę. I nagle pojawił się młody Michael. Pewnego dnia dziewczyna znika z domu, nie mówiąc nikomu o niczym. Nie wiem, czy pani Clotilde wiedziała, że ona była w ciąży. — Ale pani wiedziała.

— Och, mam duże doświadczenie. Wiem kiedy dziewczyna jest w ciąży. To łatwo zauważyć. Nie tylko po kształcie, ale patrząc w jej oczy, także po sposobie w jaki chodzi, siedzi. Te nagłe zawroty głowy, dolegliwości żołądkowe. I wtedy tak sobie pomyślałam: J mamy następną”. Pani Clotilde musiała pójść rozpoznać ciało. Zupełnie się załamała. Od tamtej pory nie jest tą samą kobietą. Bardzo ją kochała.

— A pani Anthea?

— Wyglądała wręcz na zadowoloną. Tak, zupełnie zadowoloną. To raczej nieprzyjemne, prawda? Córka farmera Plum — mera też tak się zachowywała. Chodziła oglądać, jak zabijają świnie. Bardzo ją to bawiło. W rodzinach często dzieją się bardzo dziwne rzeczy. Marple pożegnała się, a że zostało jej dziesięć minut do umówionego spotkania, ruszyła w kierunku poczty, która znajdowała się niedaleko rynku.

Weszła do budynku, kupiła znaczki, kilka pocztówek i zaczęła oglądać książki. Kobieta w średnim wieku o niezbyt przyjemnej twarzy wyszła zza kontuaru, aby pomóc Marple wyjąć jedną z nich, która się zaczepiła.

— Brzegi się zahaczają — wyjaśniła. — Ludzie nigdy nie odkładają równo.

W pomieszczeniu nie było nikogo. Marple patrzyła zdegustowana na okładkę książki przedstawiającą nagą dziewczynę z zakrwawioną twarzą i pochylonego nad nią mężczyznę, z nożem w dłoni.

— Nie znoszę horrorów — skrzywiła się.

— Trochę przesadzają z tym eksponowaniem treści na okładkach — powiedziała Vinegar. — Ostatnio coraz więcej brutalności.

Marple wyciągnęła następną książkę zatytułowaną Co się stało z małą Jane.

— O mój Boże, smutny jest ten świat.

— Czytałam wczoraj w gazecie o tym, jak kobieta zostawiła dziecko w wózku przed supermarketem i ktoś' obcy z nim odjechał. Policja znalazła je całe i zdrowe. A złodzieje tłumaczą się zawsze w ten sam sposób, obojętnie czy kradną dzieci, czy zabierają rzeczy. Mówią, że nie wiedzą, co im przyszło do głowy.

— Może rzeczywiście nie wiedzą — zauważyła Marple. Twarz pani Vinegar przybrała jeszcze bardziej nieprzyjemny wyraz.

— Nonsens.

Marple rozejrzała się dookoła. Nikogo nie zauważyła, więc podeszła do okienka.

— Czy mogłaby pani poświęcić mi trochę czasu? — powiedziała. — Zrobiłam straszne głupstwo. Na starość wszystko mi się myli. Wysłałam paczkę do instytucji charytatywnej zawierającą swetry, ubrania, ciuszki dziecinne. Dzisiaj rano zdałam sobie sprawę, że źle ją zaadresowałam. Nie przypuszczam oczywiście, żeby państwo mieli listę adresów wysyłanych paczek, ale może komuś rzuciła się w oczy. Poleciałam wysłać paczkę pod adres: Stowarzyszenie Pomocy Społecznej „Dockyard and Thames Side”.

Pani Vinegar spojrzała na nią uprzejmie, poruszona charakterystycznym dla starszego wieku roztrzepaniem i nieudolnością.

— Czy przyniosła ją pani osobiście?

— Nie, nie. Mieszkam w „Starym Dworze” i jedna z sióstr, chyba pani Glynne zaproponowała, że wyśle ją osobiście lub zleci siostrze. To bardzo miłe z jej strony.

— Chwileczkę, niech pomyślę. To było we wtorek. Ale przyniosła ją najmłodsza z sióstr, pani Anthea.

— O tak, chyba tak. To było we wtorek.

— Pamiętam dokładnie. Duża, niezbyt ciężka paczka. Ale adres był inny: „The Reverend Mathews — The East Ham. Ubioro wełniane dla kobiet i dzieci”.

— Och! — westchnęła Marple z ulgą i klasnęła radośnie. — Jak się cieszę, że pani zapamiętała! Rozumiem już, co zrobiłam. Na święta Bożego Narodzenia rzeczywiście wysłałam im jakieś rzeczy i musiałam przepisać ten sam adres. Czy mogłaby pani powtórzyć? — powiedziała i wyciągnęła notes.

— Przykro mi, ale paczkę już wysłano.

— Rozumiem, ale mogę napisać do nich i wyjaśnić pomyłkę, prosząc o przesłanie paczki do „Dockyard and Thames Side”. Serdecznie pani dziękuję.

Marple podreptała do wyjścia.

Pani Vinegar wydała znaczki następnemu klientowi i zwróciła się do kolegi siedzącego obok:

— Biedna staruszka. Pewnie często jej się to zdarza.

Po wyjściu z poczty Marple pognąła do Emlyna Price’a i Joanny Crawford.

Joanna była blada i wyraźnie zdenerwowana.

— Mam zeznawać — powiedziała. — Nie wiem, o co będą mnie pytali. Tak się boję.

Mówiłam już policjantowi, co widziałam.

— Nie martw się, Joanno — pocieszał ją Emlyn. — To zwykłe ustalanie faktów. Coroner to miły człowiek. Chyba lekarz. Zada ci tylko kilka pytań, a ty powiesz, co widziałas.

— Ty także to widziałeś.

— Owszem — potwierdził Emlyn. — Przynajmniej tak mi się, że zauważyłem kogoś obok stosu kamieni. Daj spokój, Joanno.

— Przeszukiwali nasze pokoje w hotelu. Pytali o pozwolenie, ale mieli nakaz rewizji. Sprawdzili także nasz bagaż.

— Myślę, że szukali tego swetra, który pani opisała. Nie ma czym się martwić. Gdyby pani miała taki sweter nie wspominałaby pani o nim. Czerwono — czarna kratka, tak? — wtrąciła Marple.

— Nie wiem — odparł Emlyn. — Nie bardzo znam się na kolorach. Z pewnością jaskrawy. To wszystko.

— Nic nie znaleźli — powiedziała Joanna. — Mieliśmy niewiele bagaży. Nie zauważyłam, aby ktoś z uczestników wycieczki nosił taki sweter. A ty?

— Ja też nie, ale i tak bym tego nie zauważył — rzekł Price. — Nie bardzo odróżniam zielony od czerwonego.

— Jesteś daltonista — powiedziała Joanna. — Zauważyłam to.

— Zauważyłaś?

— Kiedyś spytałam, czy nie widziałeś mojego różowego szala. Powiedziałeś, że widziałeś gdzieś zielony, a potem przyniosłeś czerwony. Zostawiłam go w jadalni.
— Nie lubię, jak ktoś mówi o mnie, że jestem daltonistą. To zraża ludzi.
— Mężczyźni częściej są daltonistami niż kobiety. To jedna z różnic płci — dodała tonem erudyty. — Przechodzi w genach kobiety, a ujawnia się u mężczyzny.
— Mówisz, jakby to była odra — powiedział Emlyn. — No, i jesteśmy na miejscu.
— Jak widzę, nie przejmujesz się zbytnio — zauważyła Joanna, gdy wchodzili na górę.
— Raczej nie. Nigdy nie uczestniczyłem w przesłuchaniu, a wszystko, co się robi po raz pierwszy jest interesujące.

Doktor Stokes był mężczyzną w średnim wieku o siwiejących włosach. Najpierw policja ustalała fakty, potem odbyły się oględziny medyczne stwierdzające przyczynę zgonu. Sandbourne przestawiła szczegółowy plan wycieczki i wyprawy tamtego popołudnia. Temple, chociaż niemłoda, była dobrym piechurkiem. Wycieczka miała dojść do starego kościoła Moorland znajdującego się na wzgórzu, zbudowanego w czasach elżbietańskich. Szczyt obok nosił nazwę Bonaventure Memoriał. Grupa podzieliła się. Młodzi szli szybciej, wcześniej osiągając szczyt Sandbourne szła na końcu, aby w razie potrzeby pomóc osobom zmęczonym. Temple rozmawiała z państwem Butler, ale zniecierpliwiona ich powolnym krokiem, wyrwała naprzód. Często denerwowała się, gdy musiała czekać na kogoś, kto szedł wolniej. Woliała, jak zwykle, chodzić szybko. Nagle usłyszano krzyk i część osób podbiegła w kierunku zakrętu za którym zniknęła Temple. Leżała na ziemi. Wielki głaz oderwał się od zbocza i stoczył w dół, uderzając ją, gdy przechodziła pod nim. Strasznie niefortunny i tragiczny wypadek.

— Nie przyszło pani do głowy, że to mógł nie być wypadek? — zapytał Stokes.

— Oczywiście, że nie. A cóż innego? — zdziwiła się Sandbourne.

— Nie widziała pani nikogo na szczycie?

— Nie. To była główna droga. Niektórzy pewnie wchodzą też innymi ścieżkami na sam szczyt, ale wtedy nie zauważyłam nikogo.

Następnie poproszono Joannę Crawford. Gdy podała szczegóły dotyczące nazwiska i wieku, doktor Stokes zapytał:

— Czy szła pani razem z grupą?

— Nie, szliśmy ścieżką trochę powyżej.

— Szła pani sama?

— Nie, z Emlynem Pricem.

— Czy z kimś jeszcze?

— Nie. Rozmawialiśmy i oglądaliśmy rzadkie okazy kwiatów. Emlyn interesuje się botaniką.

— Czy ktoś z grupy widział was?

— Momentami. Szli ścieżką poniżej.

— Czy widziała pani panią Temple?

— Szła daleko z przodu. Widziałam ją do momentu, kiedy skręciła i zniknęła za zboczem.

— Czy widziała pani kogoś na szczycie wzgórza?

— Tak. Wśród sterty dużych kamieni. Znajduje się tam charakterystyczne usypisko.

— Wiem, o jakie miejsce pani chodzi — powiedział Stokes. — Kamienie granitowe. Ludzie nazywają je Wethers, czasami Grey Wethers.

— Z daleka przypominają owce.

— I zobaczyła tam pani kogoś, kto je spychał?

— Tak. Spychał jeden kamień w stronę urwiska. Zastanawiałam się, dlaczego. Wyglądały na takie duże i ciężkie, że ruszenie ich wydawało się niemożliwością. Osoba ta jednak nie miała trudności ze stoczeniem go.

— Pani zdaniem, to była kobieta czy mężczyzna?

— Myślałam, że to mężczyzna, ale tak naprawdę nie zastanawiałam się wtedy. Ubrany w spodnie i męski pulower z wycięciem.

— Jakiego koloru?

— Jaskrawa czerwono — czarna kratka. Spod beretu wystawały długie włosy. Mogły należeć równie dobrze do mężczyzny, jak i kobiety.

— Z pewnością tak — powiedział sucho Stokes. — Obecnie rozróżnienie płci po włosach staje się prawie niemożliwe. I co dalej?

— Kamień zaczął się toczyć. Oderwał się od brzegu urwiska i poleciał w dół. Powiedziałam wtedy do Emlyna: „Patrz, spada dokładnie wzdłuż wzgórza”. Potem usłyszeliśmy huk. Wydawało mi się, że także krzyk.

— A potem?

— Pobiegliśmy w kierunku zakrętu zobaczyć, co się stało z kamieniem.

— I co zobaczyliście?

— Kamień, a pod nim ciało i biegnących ludzi w tym kierunku.

— Czy to pani Temple wydała ten krzyk?

— Lub ktoś z biegnących ludzi. To było straszne.

— Z pewnością. Co się stało z postacią na górze? Czy ciągle tam stała?

— Nie wiem, nie patrzyłam już do góry. Obserwowałam tylko to, co się działo na ścieżce. Potem pobiegłam zobaczyć, czy będę mogła w czymś pomóc. Może spojrzałam w górę, ale nikogo nie zauważyłam.

— Czy to mógł być ktoś z grupy?

— Och nie, absolutnie nie. Poznałabym po ubraniu. Jestem pewna, że nikt nie nosi takiego swetra.

— To wszystko. Dziękuję pani.

Poproszono Emlyna Price'a. Jego zeznania były w zasadzie powieleniem słów Joanny. Coroner oświadczył, że nie ma wystarczających informacji dotyczących przyczyn śmierci pani Elizabeth Temple i odroczył dochodzenie na dwa tygodnie.

17.

MARPLE SKŁADA WIZYTY

Wszyscy wracali do hotelu w milczeniu. Wanstead razem z Marple szli nieco wolniej, zostali więc w tyle.

— I co dalej? — spytała Marple.

— Z nami czy ze sprawą pani Temple?

— Z jednym i drugim, gdyż wiążą się ze sobą.

— Policja przypuszczalnie rozpocznie śledztwo w związku z zeznaniami Joanny i Emlyna.

— Tak.

— Potrzebne są nowe informacje. Dochodzenie na razie odroczone. Coroner z pewnością nie stwierdzi, że śmierć nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku.

— To rozumiem — rzekła Marple. — A co pan myśli o ich zeznaniach?

Wanstead spojrzął na nią przenikliwie.

— A co pani o tym sądzi? Ich zeznania nie były dla nas zaskoczeniem.

— Oczywiście.

— Pyta mnie pani, co myślę o nich samych i ich przeżyciach?

— To bardzo interesujące — oznajmiła Marple. — Czerwono–czarna kratka. To ważne, nie sądzi pan?

— Też tak uważam. — Znowu spojrzął na nią przenikliwie. — Co pani sugeruje?

— Myślę, że opis tego swetra jest dla nas wskazówką. Wreszcie dotarli do hotelu. Było dopiero piętnaście po dwunastej, więc Sandbourne zaproponowała małą przekąskę przed lunchem. Podano sherry i sok pomidorowy. W tym czasie Sandbourne ogłosiła kilka komunikatów:

— Zakończono oględziny zwłok i w związku z tym jutro o jedenastej odbędzie się nabożeństwo żałobne. Ustalę wszystko z tutejszym wikarym, panem Courtney'em. Następnego dnia, myślę, możemy kontynuować wycieczkę. W związku ze stratą trzech dni program ulegnie zmianie, ale pod względem organizacyjnym nie stworzy to żadnych kłopotów. Słyszałam od jednego czy dwóch uczestników, że chcą wrócić do Londynu, prawdopodobnie pociągiem. W zupełności to rozumiem i w żaden sposób nie będę starała się wpłynąć na zmianę ich decyzji. Śmierć pani Temple była bardzo przykrym zdarzeniem. Chciałabym wierzyć, że był to tylko nieszczęśliwy wypadek. Takie przypadki miały miejsce już wcześniej, chociaż ostatnio żadne zmiany atmosferyczne czy geologiczne nie wskazywały, że może nastąpić obsunięcie kamieni. Śledztwo będzie kontynuowane. Oczywiście, jakiś nieuważny turysta mógł popychać głazy dla zabawy, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Jeśli ta osoba się znajdzie, wszystko się wyjaśni, ale na razie nie można jeszcze nic powiedzieć. Wydaje się mało prawdopodobne, że ktoś chciałby wyrządzić krzywdę pani Temple. Proponuję, abyśmy więcej nie wracali do tematu. Dochodzenie prowadzone jest przez organa powołane do tego celu. Myślę, że wszyscy chętnie wezmą udział w jutrzejszej mszy. Potem powrócimy do zwiedzania, które mam nadzieję, uwolni nas odr tych przykrych wspomnień. Przed nami jeszcze wiele słynnych i interesujących obiektów zabytkowych oraz piękne krajobrazy.

Poproszono na lunch. Do tematu już nie wracano. Przynajmniej otwarcie. Po lunchu, przy kawie utworzono małe grupki w celu przedyskutowania dalszych planów.

— Czy dołączy pani do wycieczki? — spytał Wanstead.

— Nie — odparła Marple zamyślona. — To, co się stało zmusza mnie do pozostania tu jeszcze przez jakiś czas.

— W hotelu czy w „Starym Dworze”?

— To zależy, czy otrzymam zaproszenie. Wolalabym, żeby to nie wyszło ode mnie, gdyż pierwotnie miałam zatrzymać się tylko na dwa dni. Lepiej jeśli zostanę w hotelu.

— Nie myśli pani o powrocie do St. Mary Mead?

— Jeszcze nie — powiedziała Marple. — Mam kilka rzeczy aienia tutaj. Jedną już wykonałam. — Spotkała zaciekawiony wzrok Wansteada. — Jeśli pojedzie pan z resztą grupy, powiem panu, o co chodzi i poproszę o pomoc. O innych powiem później. Mogą być bez znaczenia, więc teraz nie ma sensu o nich mówić.

— Chciałbym wrócić do Londynu. Czeka na mnie nie skończona praca. Chyba, że przydam się pani tutaj.

— Nie, chyba nie. Myślę, że ma pan swoje wątpliwości, które chce pan rozwikłać.

— Przyjechałem tu, aby spotkać się z panią.

— No i spotkał się pan. Dowiedział się pan ode mnie wszystkiego. Rozumiem, że ma pan inne zadanie do wykonania, ale zanim mnie pan opuści, proszę mi jeszcze pomóc.

— Tak, słucham panią.

— Pamiętam, co pan o mnie mówił.

— Czy wyczuła pani zło czające się w pobliżu?

— Trudno mi określić, czym jest to zło.

— Ale wydaje się pani, że coś jest nie w porządku?

— Bardzo wyraźnie.

— Szczególnie po śmierci pani Temple, co oczywiście nie było wypadkiem, bez względu na to, co o tym myśli pani Sandboume.

— Oczywiście, że nie... Nie mówiłam chyba panu, że pani Temple wyznała mi, iż dla niej nie była to wycieczka Jęcz pielgrzymka.

— To interesujące — odparł Wanstead. — Nie podała pani celu tej pielgrzymki?

— Gdyby żyła trochę dłużej... ale niestety, śmierć przyszła za wcześnie.

— Nic nie przychodzi pani na myśl?

— Tylko pewność, że tę pielgrzymkę zakończono przewrotnym planem. Ktoś chciał ją zatrzymać. Możemy mieć jedynie nadzieję, że przypadek albo opatrność rzuci nam trochę światła na sprawę.

— Dlatego tu pani zostaje?

— Nie tylko. Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o Norze Broad.

— Nora Broad? — zdziwił się Wanstead.

— To ta, która zniknęła w tym samym czasie, co Verity Hunt. Wspomniał pan o niej. Dziewczyna, która latała za chłopakami, głupia, ale atrakcyjna. Uważam, że informacje na jej temat mogą być owocne.

— Tak jest, inspektorze Marple — rzekł wesoło Wanstead.

Mszę odprawiono następnego ranka. Udział wzięli wszyscy. Marple rozejrzała się dookoła. Było też kilka osób z okolicy, Clotilde i Glynne. Anthea się nie pojawiła. Kilkoro ludzi z miasteczka, nie związanych ze zmarłą, przygnała tu prawdopodobnie niezdrawa ciekawość. Zauważyła też starego pastora. Miał około siedemdziesiątki. Barczysty, z głową pokrytą dostojnym białym włosiem. Poruszał się z widocznym trudem. „Miła twarz. Ciekawe kto to jest? Stary przyjaciel Elizabeth Temple?” — pomyślała Marple.

Wychodząc z kościoła, zamieniła kilka słów z uczestnikami wycieczki. Wiedziała już, mniej więcej, kto dokąd się udaje. Butlerowie wracali do Londynu.

— Mówiłam Henry'emu, że dłużej tego nie wytrzymam. Ciągle mam wrażenie, że nagle ktoś wyskoczy zza rogu i zacznie strzelać. Na przykład ktoś, kto kiedyś zawiódł się na tej wycieczce.

— No wiesz, Mamie, no wiesz — zachnął się pan Butler. — Ależ ta twoja wyobraźnia pracuje.

— Teraz są takie czasy, że wszystko może się zdarzyć. A porywacze samolotów czy też ludzi? Nigdzie nie czuję się już bezpieczna.

Lumley i Bentham postanowiły nie rezygnować ze zwiedzania.

— Ta wycieczka kosztowała nas sporo pieniędzy i szkoda byłoby je stracić tylko dlatego, że zdarzył się ten smutny wypadek. Zadzwoniliśmy do naszych sąsiadów, którzy zgodzili się zająć kotami, więc nie mamy już czym się martwić.

Dla obu pań śmierć pani Temple pozostawała ciągle nieszczęśliwym wypadkiem. Lepiej się czuły, myśląc w ten sposób.

Pani Riseley-Porter także postanowiła nie rezygnować. Państwo Walker stwierdzili, że nic nie jest w stanie im przeszkodzić w obejrzeniu rzadkich okazów fuksji w ogrodzie, którego zwiedzanie zaplanowano na pojutrze. Architekt Jameson kierował się podobnymi motywami. Zależało mu na zwiedzeniu różnych budowli o bardzo interesującej dla niego architekturze. Caspar zamierzał wrócić pociągiem do Londynu. Cooke i Barrow były niezdecydowane.

— Tu, w okolicy są ciekawe tereny — zauważyła Cooke. — Myślę, że zostaniemy jeszcze trochę w hotelu. Pani chyba też zostaje, pani Marple?

— Chyba tak — odparła Marple. — Nie czuję się na siłach, aby dalej podróżować. Po tym co się stało, myślę, że dzień czy dwa odpoczynku dobrze mi zrobi.

Wszyscy rozeszli się. Marple wyjęła z torebki notes i wydarła kartkę, na której były dwa adresy. Pani Blackett mieszkała w małym domku z ogrodem na końcu drogi wiodącej do doliny. Tam udała się najpierw. Drzwi otworzyła jej mała, schludnie wyglądająca kobieta.

— Czy pani Blackett?

— Tak, słucham panią.

— Jeśli byłaby pani tak uprzejma, chciałabym wejść na chwilę i porozmawiać. Właśnie skończyła się msza i czuję się trochę słaba. Czy mogłabym usiąść?

— O mój Boże, oczywiście, niech pani wejdzie. Proszę bardzo. Proszę usiąść. Może trochę wody albo podam herbatę.

— Nie dziękuję — odparła Marple. — Wystarczy woda. Blackett wróciła ze szklanką wody i broszurką na temat zawrotów głowy i innych dolegliwości.

— Mam kuzyna, który ma duże kłopoty ze zdrowiem. Jest jeszcze stosunkowo młody, ma niewiele ponad pięćdziesiątkę. Nagle dostaje zawrotów głowy i czasami od razu upada. To straszne, a lekarze oczywiście nie mają pojęcia, co z tym zrobić. Proszę, oto woda.

— Ach, czuję się już znacznie lepiej — podziękowała Marple, popijając wodę.

— Msza za tę biedną kobietę? Jedni mówią, że to wypadek, inni, że morderstwo. Ja uważam, że to wypadek, ale policja zawsze chce z niczego zrobić sprawę kryminalną.

— O, tak — powiedziała Marple. — Wiele słyszałam na ten temat. Takie rzeczy podobno zdarzały się już wcześniej. Mówiono mi o dziewczynie. Nora Broad, chyba.

— A, tak Nora. Córka mojej kuzynki. Och, to było dawno temu. Wyszła i nie wróciła więcej. Te dziewczyny. Nikt ich nie pilnuje. Często mówiłam jej matce: „Pracujesz cały dzień. Czy wiesz, co robi Nora? Czy wiesz, że lata za chłopakami? Będą kłopoty. Zobaczysz!” No i oczywiście miałam rację.

— To znaczy?

— Niepożądana ciąża, jak zwykle. Nancy raczej nic o tym nie wiedziała. Mam sześćdziesiąt pięć lat i wiem, co jest co. Wiem chyba też z kim, ale nie jestem pewna.

— Zniknęła?

— Ktoś obcy zaproponował, że ją podwiezie i wsiadła. Wtedy widziano ją po raz ostatni. Nie pamiętam marki samochodu. Mówią, że to ten sam, z którym widziano tę drugą zaginioną dziewczynę. Ale Nory nie zamordowano. W przeciwnym razie znaleziono by jej ciało. Nie sądzi pani?

— To wydaje się prawdopodobne — powiedziała Marple. — A jak sobie radziła w szkole?

— W ogóle sobie nie radziła. Leniwa i niezbyt mądra. Zadawała się z chłopakami już od dwunastego roku życia. Pewnie uciekła z kimś i tyle. Nikomu nie dała znać. Nawet nie wysłała kartki pocztowej. Ktoś jej naobiecował pewnie niestworzone rzeczy. Gdy byłam młodą dziewczyną znałam jedną, która uciekła z Afrykaninem. Powiedział, że jego ojciec był szachem. Śmiesznie się złożyło, ale właśnie to był dla niej szach. Gdzieś w Afryce czy Algierii. Obiecał jej mnóstwo wspaniałości: wielbłądy, stado koni, pałace z dywanami na ścianach. Wyjątkowe miejsce na wieszanie dywanów. I uciekła. Wróciła po trzech latach. Przeżyła straszne rzeczy. Mieszkali w lepiance i jedli tylko kokosy, o których myślałam zawsze, że to sałata.

W smaku coś jak pudding grysikowy. W końcu stwierdził, że nie nadaje się na żonę i rozwiódł się. Ponoć tam wystarczy powtórzyć trzy razy: „Daję ci rozwód” i już. Jakieś towarzystwo opiekuńcze zajęło się nią i opłaciło koszty powrotu do Anglii. Ale to miało miejsce trzydzieści czy czterdzieści lat temu. Hora zniknęła siedem, może osiem lat temu. Ale jestem pewna, że wróci niedługo. Dostanie dobrą szkołę i zrozumie, że wszystkie obiecanki niewiele znaczą.

— Czy oprócz matki miała kogoś jeszcze?

— O, tak, miała wiele życzliwych jej osób. Chociażby siostry ze „Starego Dworu”. Pani Glynne nie było wtedy, ale pani Clotilde zawsze chętnie pomagała dziewczętom ze szkoły. Ofiarowywała jej prezenty. Dostała kiedyś szal i sukienkę. To bardzo miłe z jej strony. Starła się zmienić zainteresowania Nory i skierować w stronę nauki. Tłumaczyła, że źle się prowadzi. Może nie powinnam tego mówić, gdyż była to córka mojej kuzynki, ale ona wyszła tylko za męża za mojego kuzyna... to jest., ale chciałam powiedzieć, że zachowywała się okropnie w stosunku do chłopców. Każdy mógł ją poderwać. To smutne. Pomyślałam, że skończy na ulicy, innej przyszłości dla niej nie widziałam. To przykro tak mówić, ale to prawda. Może to lepiej niż być zamordowaną jak panna Hunt? Bardzo okrutna śmierć. Podejrzewano, że z kimś odeszła. Policja miała pełne ręce roboty. Zatrzymali trzech chłopców: Geoffrey'a Granta, Billy'ego Thomsona i Langfordsa Harry'ego. Nigdzie nie pracowali, mimo że roboty było w bród. W czasach mojej młodości

było inaczej. Dziewczęta zachowywały się odpowiednio, a chłopcy wiedzieli, że muszą pracować, jeśli chcą w życiu coś osiągnąć.

Marple porozmawiała jeszcze chwilę, potem podziękowała za gościnę i wyszła.

Następną wizytę złożyła dziewczynie, która hodowała sałatę.

— Nora Broad? Nie mieszka w tym mieście od lat Uciekła z kimś. Puszczala się ze wszystkimi. Zawsze zastanawiałam się, co z niej będzie. Czy pani chciała zobaczyć się z nią w konkretnej sprawie?

— Dostałam list od przyjaciółki z zagranicy — kłamała Marple. — Myśleli o zatrudnieniu Nory. Bardzo miła rodzina. Słyszałam, że Nora miała kłopoty. Wyszła za mąż za łobuza, który ją potem zostawił dla jakiejś innej kobiety. Podobno pracowała, opiekowała się dziećmi. Moja przyjaciółka nic o niej nie wiedziała, ale domyślam się, że pochodziła z tego miasteczka. Szukam kogoś, kto mógłby udzielić mi o niej informacji. Pani chodziła z nią do szkoły?

— Tak, do tej samej klasy. Ale nie podobało mi się jej zachowanie. Miała bzika na punkcie chłopców. Sama miała stałego chłopaka i mówiłam jej, że do niczego dobrego to nie prowadzi, jeśli pójdzie z każdym Harrym, Dickiem czy Tomem, który zaproponuje jej przejażdżkę. Zapraszali ją do pubu; opowiadała im różne głupstwa o sobie. Była dojrzałą dziewczyna i wyglądała na dużo starszą.

— Ciemna, czy blondynka?

— Miała piękne ciemne włosy. Zawsze rozpuszczone.

— Czy policja szukała jej, gdy zniknęła?

— Tak. Nora nie zostawiła żadnej wiadomości. Po prostu wyszła któregoś dnia i nie wróciła. Ostatni raz widziano ją wsiadającą do czyjegoś samochodu. W tym czasie popełniono wiele morderstw. W całym kraju. Policja zatrzymała wielu młodych mężczyzn i chłopców. Znalaziono ciało. Z początku myślano, że to jej. Ale nie... Na pewno zarabia dużo pieniędzy w Londynie lub w innym mieście jako striptizerka lub coś w tym rodzaju. Taka była.

— Jeśli to jest ta sama osoba, o której myślałam, to nie byłaby odpowiednia dla mojej przyjaciółki — oznajmiła Marple.

— O tale, musiałyby się trochę zmienić — przyznała dziewczyna.

18.

ARCHDEACON BRABAZON

Marple dotarła do hotelu „Pod Złotym Dzikim” trochę zadyszana i zmęczona. W hotelu podeszła do niej recepcjonistka.

— Pani Marple, jakiś pan chciałby z panią porozmawiać. Przedstawił się jako Archdeacon Brabazon

— Archdeacon Brabazon? — zdziwiła się Marple.

— Szukał pani. Słyszał, że pani jest na tej wycieczce i chciał skontaktować się, zanim wyjedzie pani do Londynu. Powiedział, że niektóre osoby wyjeżdżają pociągiem popołudniowym. Bardzo zależało mu na spotkaniu z panią. Zaprowadziłam go do pokoju telewizyjnego. Będzie tam państwu wygodnie i cicho.

Marple weszła do wskazanego pokoju. Brabazon był pastorem, na którego zwróciła uwagę w kościele. Wstał i podszedł do niej.

— Pani Jane Marple?

— Tak, to ja. Pan chciał...

— Nazywam się Archdeacon Brabazon. Przyjechałem dziś rano na nabożeństwo w intencji pani Elizabeth Temple. Była moją starą przyjaciółką.

— Ach tak — rzekła Marple. — Proszę niech pan usiądzie.

— Dziękuję bardzo. Już nie jestem taki silny jak dawniej.

— A pani...

Marple usiadła obok niego.

— Chciał się pan ze mną widzieć?

— Muszę wszystko wyjaśnić. Rozumiem, że jestem dla pani zupełnie obcy. Przed mszą pojechałem do szpitala w Carristown, gdzie siostra Barker poinformowała mnie, że tuż przed śmiercią Elizabeth poprosiła o widzenie z panią. Siedziała pani przy jej łóżku na krótko przed śmiercią.

Spojrzał na nią z niepokojem.

— To prawda — przyznała Marple. — Byłam zaskoczona, że mnie poproszono.

— Czy pani była jej dobrą znajomą?

— Ależ nie — odparła Marple. — Spotkałam ją dopiero na tej wycieczce, dlatego tak się zdziwiłam. Siedzieliśmy razem w autokarze. Szybko się ze sobą zaprzyjaźniłyśmy.

Doskonale się rozumiałyśmy.

— Rozumiem... Tak naprawdę to Elizabeth jechała, aby zobaczyć się ze mną. Mieszkam w Fillminster, gdzie wycieczka miała zatrzymać się pojutrze. Chciała, żebym jej w czymś pomógł.

— Czy mogę panu zadać pytanie, mam nadzieję, że nie będzie zbyt osobiste?

— Oczywiście, pani Marple. Niech pani pyta o wszystko.

— Pani Temple powiedziała mi, że jej udział w tej wycieczce nie był podyktowany chęcią zwiedzania i oglądania pięknych krajobrazów. Przyczynę określiła słowem dość niezwykłym: pielgrzymka.

— Tak powiedziała? To interesujące. I znaczące.

— Czy mówiąc o pielgrzymce, miała na myśli wizytę u pana?

— Tak, tak myślę.

— Rozmawialiśmy o pewnej dziewczynie. Verity.

— Ach, Verity.

— Nie znałam jej nazwiska. Pani Temple wspomniała tylko o imieniu.

— Verity Hunt nie żyje. Zmarła kilka lat temu. Wiedziała pani o tym? — spytał Brabazon.

— Tak — odparła Marple. — Rozmawialiśmy o niej. Pani Temple powiedziała mi, że Verity była zaręczona z synem pana Rafiela, który, znów muszę powiedzieć w czasie przeszłym, był moim znajomym. To on pokrył koszty tej wycieczki. Myślę, że chciał, a właściwie planował, abym spotkała się z panią Temple. Uważał, że ona może udzielić mi pewnych informacji.

— O Verity?

— Tak.

— Ze mną miała się spotkać również w celu uzyskania in —
— Pani Temple chciała dowiedzieć się, dlaczego Verity zerwała zaręczyny z Michaeliem
— powiedziała Marple.
— Verity — rzekł Brabazon — nie zerwała zaręczyn. Jestem tego pewny jak niczego na świecie.
— Pani Temple nie wiedziała o tym?
— Nie. Zdziwiona była takim obrotem sprawy i pewnie chciała dowiedzieć się, dlaczego tak się stało.
— No właśnie, dlaczego? Nie pytam z czystej ciekawości. Ja też jestem na pewnego rodzaju pielgrzymce, nazwałabym to misją, dlatego tak mnie to interesuje.
Brabazon przypatrywał się jej uważnie.
— Widzę, że zaangażowała się pani w tę sprawę.
— Na prośbę umierającego pana Rafiela — wyjaśniła Marple.
— Nie mam powodu, aby nie powiedzieć pani wszystkiego. Zadaje mi pani to samo pytanie, które prawdopodobnie zadałaby pani Temple. Ja nie znam odpowiedzi. Dwoje młodych ludzi zamierzało się pobrać, podjęli w tym kierunku pewne kroki. Chcieli to utrzymać w tajemnicy. Zwrócili się z tym do mnie, gdyż dobrze ich znałem. Verity przygotowywałem do bierzmowania. W tej szkole odprawiałem nabożeństwa wielkopostne, wielkanocne i wiele innych. Bardzo dobra szkoła. Pani Temple była wspaniałą nauczycielką z doskonałym wyczuciem potrzeb i możliwości dziewcząt. Namawiała je do dalszego studiowania, ale nigdy nie zmuszała do czegoś, co przekraczało ich możliwości. Cudowny człowiek. Verity była jedną z najśliczniejszych dziewcząt, jakie znałem. Piękna duchem i wyglądem. To straszne, że straciła rodziców w tak młodym wieku. Verity zamieszkała wtedy z panią Clotilde Bradbury–Scott, którą prawdopodobnie pani zna. Mieszkały tam jeszcze dwie siostry, a faktycznie tylko jedna, gdyż druga wyszła za mąż i wyjechała za granicę. Pani Clotilde była bardzo przywiązana do Verity. Robiła wszystko, żeby ją uszczęśliwić. Zabierała za granicę, udzielała różnych lekcji. Verity odwzajemniała to uczucie. Kochała ją prawie jak matkę. Była pod jej ogromnym wpływem. Pani Clotilde to intelektualistka, wykształcona kobieta. Nie zachęcała dziewczyny do studiów uniwersyteckich, widząc, że to jej nie pociąga. Verity wolała uczyć się muzyki, sztuki i tym podobnych przedmiotów. Myślę, że w „Starym Dworze” żyło się jej szczęśliwie. Zawsze wyglądała na taką. Oczywiście, nie widziałem jej od czasu, gdy się tu sprowadziła. Fillminster, gdzie pracowałem, leży przeszło sześćdziesiąt mil stąd. Pisałem do niej kartki na święta. Ona też o mnie pamiętała. I pewnego dnia pojawiła się jako piękna, dojrzała kobieta z przystojnym młodym mężczyzną, którego też trochę znałem. Przyszli, gdyż byli zakochani i chcieli się pobrać.
— Zgodził się pan?
— Zgodziłem. Myśli pewnie pani, że nie powinienem. Trzymali to w tajemnicy. Pani Clotilde starała się przeszkodzić tej znajomości. Miała swoje racje. Mówiąc szczerze, Michael Rafael nie był mężczyzną, o jakim bym marzył dla swojej córki. Ona była za młoda, aby mądrze zdecydować, a on zawsze w kłopotach. Często stawał przed sądem dla młodocianych, zadawał się z nieodpowiednimi osobnikami, brał udział w rabunkach.

Spotykał się z dziewczynami, z tego też powodu wplątywał się w tarapaty. Dziewczyny zakochiwały się w nim od pierwszego wejrzenia i popełniały głupstwa. Odsiedział dwa krótkie wyroki w więzieniu. Znałem trochę jego ojca. Wiem, że robił wszystko, aby mu pomóc. Wybawiał go z kłopotów; znajdował pracę, pokrywał koszty szkód...

— Uważa pan, że mógł zrobić coś więcej?

— Nie — odparł Brabazon. — Doszedłem już do tego, że powinniśmy akceptować ludzi takimi, jakimi są, jakimi, mówiąc naukowo, stworzyły ich geny. Nie uważam, żeby pan Rafiel był bardzo oddany swojemu synowi, ale można powiedzieć, że czuł się za niego odpowiedzialny. Nie dał mu miłości. Zresztą nie wiem, czy to by coś zmieniło. To smutne. Chłopak nie był głupi, miał swój rozum. Mógłby skończyć zupełnie inaczej, gdyby chciał. Ale to wykolejeniec z natury. Lubiło się go za poczucie humoru, szczerłość i hojność. Jako przyjaciel — niezastąpiony. A dziewczyny traktował źle. Porzucał je, a potem okazywało się, jak to się mówi, że miały problem... Oto było ich dwoje przede mną. No i zgodziłem się. Powiedziałem Verity bez ogródek, kogo chce wziąć za męża. Ale nie oszukiwał jej. Obiecał, że zmieni się po ślubie. Ostrzegałem, że nic takiego się nie stanie. Ludzie się nie zmieniają. Jednak Verity zdawała sobie z tego sprawę. Powiedziała mi: „Wiem jaki jest Mike i wiem, że prawdopodobnie zawsze taki będzie, ale ja go kocham. Może będę mogła mu pomóc, może nie, ale podejmuję to ryzyko”. I powiem pani. Znałem wielu młodych ludzi. Jednym się powiodło, drugim nie. Wiem, kiedy dwoje ludzi jest w sobie naprawdę zakochanych. I nie mam na myśli tylko pociągu fizycznego. Ostatnio wiele mówi się o seksie, zbyt dużo poświęca się mu uwagi. Nie chcę przez to powiedzieć, że seks to coś złego, ale seks nie może zastępować miłości. Idzie z nią w parze, ale sam nie wnosi nic wartościowego. Miłość zdefiniowana jest słowami przysięgi małżeńskiej: „Na dobre i na złe. W zdrowiu i w chorobie”. Podejmujesz się tego, zawierając związek małżeński. Tych dwoje się kochało... aż śmierć nas rozłączy. I tu kończy się moja opowieść. Nie wiem, co się stało dalej. Wiem tylko, że zgodziłem się na to, o co mnie prosili i poczyniłem odpowiednie przygotowania. Ustaliliśmy dzień, godzinę, czas i miejsce. Czuję się teraz winny, że zatrzymałem to w tajemnicy.

— Nie chcieli, aby ktokolwiek się dowiedział? — zapytała Marple.

— Nie. Ani Verity, ani Mike. Bali się, że im nie pozwolą. Dla Verity to małżeństwo było również ucieczką od życia, jakie wiodła. Zupełnie naturalne. Straciła rodziców w wieku, gdy dziewczęta doświadczają swojej pierwszej wybujałej miłości. Jest to stan krótkotrwały, naturalny w tym okresie rozwoju. Potem zdajesz sobie sprawę, że to, czego naprawdę pragniesz w życiu, to złączyć się na stałe ze swoim partnerem. Zaczynasz go szukać. Jeśli jesteś mądry, nie spieszysz się, masz wielu przyjaciół, ale ciągle czekasz na tego właściwego. Pani Clotilde była wyjątkowo oddana Verity, a ona ją ubóstwiała. To osobowość: przystojna, atrakcyjna, inteligentna, interesująca. Verity kochała ją miłością romantyczną. Clotilde zaczęła traktować ją jak córkę. Tak więc Verity wyrastała w atmosferze uwielbienia. To było szczęśliwe życie, ale myślę, że powoli zaczęła rodzić się w niej chęć ucieczki. Ucieczki od miłości. Z początku nie wiedziała, dokąd ma uciekać. Gdy poznała Michaela, wiedziała, że chce uciec w nowe życie. To naturalne. Mężczyzna i kobieta schodzą się, aby rozpocząć następny etap rozwoju. Wiedziała też, że nie uda się tego wytłumaczyć Clotilde, która będzie ostro sprzeciwiała się temu związkowi. Clotilde,

niestety, miała rację... Teraz to wiem. Nie był odpowiednim mężem dla Verity. Droga, na którą wkroczyła, nie prowadziła do szczęścia, lecz do bólu i śmierci. Rozumie pani, że mam ogromne wyrzuty sumienia, ale nie wiedziałem wszystkiego. Znałem Verity, ale nie znałem Michaela. Rozumiem, dlaczego chciała zachować to w tajemnicy. Wiedziałem, jak silną osobowością jest Clotilde Bradbury–Scott. Przekonałaby Verity, aby zrezygnowała z tego małżeństwa.

— Czy uważa więc pan, że Clotilde zmusiła Verity do zerwania z Michaeliem?

— Och, nie, nie wydaje mi się. Verity powiedziałyby mi.

— Co się stało w dniu, w którym mieli wziąć ślub?

— Nie powiedziałem pani jeszcze. Data, godzina i miejsce zostały ustalone. Czekałem... czekałem na pannę młodą i pana młodego. Nie przyszli. Nie przekazali żadnej wiadomości, żadnego wytłumaczenia, nic. Nie wiedziałem dlaczego! I do tej pory nie wiem! Ciągłe wydaje mi się to niewiarygodne. Nie to, że nie przyszli, ale że nie zawiadomili mnie o tym. Ani jednego słowa. Dlatego myślałem, że Elizabeth Temple przed śmiercią może pani coś powiedziała, jeżeli wiedziała, że umiera. Może Chciała przekazać mi jakąś wiadomość.

— Ależ to ona chciała od pana uzyskać informacje i dlatego jechała do pana.

— Tak. Prawdopodobnie. Wydawało mi się, że Verity, chociaż nie powiedziała nic Clotilde i Anthei w obawie, że ją powstrzymają, zwierzyłyby się Elizabeth Temple, którą bardzo szanowała i która miała na nią wielki wpływ. Może się z nią skontaktowała?

— Wydaje mi się, że to zrobiła — powiedziała Marple. — Tak?

— Pani Temple wiedziała, że Verity zamierza wyjść za Mi — chaela Rafiela. Powiedziała mi o tym. Jedyną osobą, która mogła jej o tym donieść, była sama Verity. Pewnie do niej napisała. Gdy spytałam, dlaczego Verity go nie poślubiła, pani Temple odpowiedziała, że zmarła.

— I tu historia się urywa. — Brabazon westchnął. — Znaliśmy tylko dwa fakty: że Verity zamierza wyjść za męża za Michaela i że wszystko zostało ustalone. Czekałem na nich na próżno.

— I nie wie pan, co się stało? — zapytała Marple.

— Jestem absolutnie pewien, że Verity i Michael nie zerwali ze sobą.

— Ale może zaszło między nimi jakieś nieporozumienie. Może Verity nagle zrozumiała, jaki jest Michael.

— To niemożliwe, w takim przypadku dałaby mi znać. Nie pozwoliłaby, abym czekał na nich z ceremonią. Była dziewczyną z nienagannymi manierami, doskonale wychowaną. Na pewno by mnie zawiadomiła. Niestety, tylko jedno mogło się wydarzyć.

— Śmierć? — zapytała Marple. Pamiętała słowo, które Temple powiedziała, i które brzmiało jak dźwięk dzwonu.

— Tak — westchnął Brabazon. — Śmierć.

— Miłość — powiedziała cicho Marple.

— Nie rozumiem....

— Tak powiedziała Temple, gdy spytałam, co było przyczyną jej śmierci. Miłość, najbardziej przerażające słowo, jakie znała.

— Chyba już rozumiem.

— To znaczy?

— Rozdwojenie jaźni. Coś, czego nie zauważą postronni ludzie chyba, że są fachowcami w tej dziedzinie. Jekyll i Hyde to nie fikcja, nie wyobraźnia Stevenson. Michael Rafiel był schizofrenikiem o podwójnej osobowości. Nie jestem psychoanalitykiem, ale wydaje mi się, że jedna jego osobowość to dobroduszny, kochany chłopiec, którego główną zaletą była chęć osiągnięcia szczęścia. Ale gdzieś również tkwiła w nim deformacja psychiczna, która spowodowała, że musiał zabić to szczęście, więc zabił Verity. Może nie zdając sobie sprawy. Przeróżający jest ten świat. Te wszystkie choroby psychiczne... Straszna rzecz przytrafiła się dwóm moim parafiankom. Mieszkały razem i wydawało się, że są szczęśliwe. Pewnego dnia jedna zabiła drugą. Posłała po swego przyjaciela i powiedziała: „Zabiłam Louise. To bardzo smutne, ale widziałam, jak wstępuje w nią diabeł. Poczulałam się w obowiązku ją zabić”. To przerażające. Zastanawiasz się dlaczego? Pewnego dnia lekarze wytłumaczą ci, że to jakaś deformacja chromosomów czy genów. Coś, co niszczy prawidłową pracę mózgu.

— I myśli pan, że tak właśnie było w tym wypadku? — spytała Marple.

— Tak. Długo szukano ciała. Verity po prostu zniknęła. Wyszła z domu i nie wróciła. Ale musiało się to zdarzyć właśnie tego dnia... Policja podejrzewała Michaela od początku. Widziano go z Verity w jego samochodzie. Byli pewni, że to on. Przesłuchiowano także innych mężczyzn, którzy znali Verity, ale mieli alibi; brak było innych dowodów. Cały czas podejrzewali Michaela, aż wreszcie znaleziono ciało. Udużona, ze zmasakrowaną twarzą. Okrutny atak. Nie mógł być normalny, gdy zadawał te ciosy. Pan Hyde przejął nad nim kontrolę.

Marple wzdrygnęła się.

— Nieraz wydaje mi się, że to ktoś inny ją zabił — kontynuował Brabazon cichym, niskim głosem. Ktoś niezrównoważony psychicznie, chociaż nikt tego nie brał pod uwagę. Jakiś nieznamy, przypadkiem spotkany, który zaproponował jej podwiezienie, aby potem... — Potrząsnął głową.

— To jest prawdopodobne — powiedziała Marple.

— Mike wywarł złe wrażenie na sędziach. Opowiadał same swojego samochodu, co do miejsca, w którym przebywał podczas morderstwa. Był przerażony. Nic nie wspominał o planach małżeństwa. Przypuszczam, że jego obrońca zabronił mu o tym mówić. Mogło to świadczyć przeciwko niemu, że chciał ją zmusić do małżeństwa. Minęło tyle lat. Nie pamiętam szczegółów. Wszystko świadczyło przeciwko niemu. Był winny i na takiego wyglądał. A więc widzi pani, jestem nieszczęśliwym człowiekiem. Źle oceniłem. Popchnąłem cudowną dziewczynę w ramiona śmierci, gdyż niewystarczająco znałem naturę ludzką. Nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie jej groziło. Wydawało mi się, że jeśli tylko poczuje się zagrożona, wyczuje w nim zło, natychmiast zerwie zaręczyny, przyjdzie do mnie i opowie mi o tym. Ale nic takiego się nie stało. Dlaczego ją zabił? Czy dlatego, że oczekiwała dziecka, a on związał się już z inną dziewczyną? Nie wierzę. Musiał być inny powód. A może ogarnął ją nagły strach i niepewność, co spowodowało zerwanie, a to z kolei wywołało u niego furię i doprowadziło do morderstwa? Nie wiadomo.

— Nie wie pan? Ale ciągle wierzy pan w jedną rzecz.

— Co pani rozumie przez wierzę? Czy chodzi pani o religijny punkt widzenia?
— Och, nie. Wydaje mi się, że tkwi w panu mocna wiara, że tych dwoje się kochało, że chcieli się pobrać, lecz coś im przeszkodziło. Coś, co spowodowało jej śmierć. Czy ciągle wierzy pan, że mieli pobrać się tego dnia?
— Ma pani rację, moja droga. Ciągle wierzę, że tych dwoje się kochało, że chcieli złączyć się na dobre i złe w chorobie i w zdrowiu. Kochała go na dobre i na złe... Odeszła, a więc — na złe...
— I musi pan w to wierzyć — powiedziała Marple. — Tak jak ja w to wierzę.
— Ale co dalej?
— Jeszcze nie wiem. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że Elizabeth Temple wiedziała coś albo była na tropie czegoś. Powiedziała, że „miłość” to przerażające słowo. Wtedy myślałam, że chodziło jej o samobójstwo, że Verity dowiedziała się o Michaelu czegoś, co popchnęło ją do tego desperackiego kroku. Ale to nie mogło być samobójstwo.
— Absolutnie nie. W sądzie dokładnie opisano obrażenia ciała. Nie popełnia się samobójstwa, masakrując sobie własną twarz.
— To straszne! — zawołała Marple. — To straszne. Nikt nie mógłby zrobić tego komuś, kogo bardzo kocha, nawet jeśli zabija się z miłości, prawda? Jeśli ją zamordował, to nie w tak okrutny sposób. Uduszenie — tak, ale masakrować twarz, którą się kocha?... Miłość, miłość, przerażające słowo — mruknęła.

19.

POŻEGNANIA

Autokar zajechał przed wejście hotelu „Pod Złotym Dzikim”. Marple zaczęła żegnać się z uczestnikami wycieczki. Pail Riseley–Porter była czymś wielce oburzona.

— Ach, te dzisiejsze dziewczęta — powiedziała. — Za grosz energii, wytrzymałości.

Marple spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Mówię o Joannie, mojej kuzynce.

— Czy źle się czuje? — zaniepokoiła się Marple.

— Ja nic nie widzę, ale skarży się na ból gardła i czuje, że ma temperaturę. Nonsens.

— Bardzo mi przykro. Czy mogłabym w czymś pomóc?

— Ja zostawiłabym ją w spokoju. Według mnie to tylko wymówka.

Marple spojrzała na nią pytająco.

— Dziewczęta są takie niemądre. Umieją tylko zakochiwać się.

— Emlyn Price? — zasugerowała Marple.

— Pani także zauważyła? Tak, są już na tym etapie. On mnie nie obchodzi. Jeden z tych długowłosych studentów. Ciągle mówią skrótami. Nie umieją powiedzieć jednego poprawnego zdania. No i co ja z tego mam? Nie ma kto zająć się moim bagażem... ja po prostu przestałam dla niej istnieć”. A opłaciłam całą wycieczkę.

— Wydawało mi się, że bardzo o panią dba — zauważyła Marple.

— Przez ostatnie dwa dni wcale. Nie rozumieją, że człowiek w pewnym wieku potrzebuje trochę opieki. Mają absurdalne pomysły. Zamierzają wybrać się gdzieś w góry, czy inne miejsce widokowe, siedem czy osiem mil stąd. Pieszko, tam i z powrotem.

— Ale z gorączką i bólem gardła...

— Zobacz pani, że jak tylko wyjedziemy, wszystko minie. No, muszę już wchodzić do autokaru. Miło było panią poznać, pani Marple. Szkoda, że nie jedzie pani z nami.

— Ja też żałuję — powiedziała Marple. — Niestety, nie mam już tyle siły, co pani. Poza tym, to wszystko, co się wydarzyło... wydaje mi się, że powinnam odpocząć.

— Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Uścisnęły sobie ręce i Riseley–Porter weszła do autokaru. Za plecami Marple nagle usłyszała głos:

— Bon voyage! Z Bogiem, droga pani!

Gdy odwróciła się, zobaczyła Emlyna Price'a

— Czy zwracał się pan do pani Riseley–Porter?

— A do kogóżby innego?

— Przykro, że Joanna źle się czuje.

Emlyn Price znowu uśmiechnął się szeroko.

— Wszystko będzie dobrze, gdy tylko autokar zniknie z horyzontu.

— To znaczy, że... — zawahała się Marple.

— Tak, Joanna miała już serdecznie dosyć ciotki. Ciągłe pouczała ją, co ma robić.

— Rozumiem, że pan również nie jedzie dalej?

— Nie. Zostanę kilka dni. Wybierzemy się na wycieczkę niedaleko. Proszę nie patrzeć tak krytycznie. Pani chyba nie jest taka staroświecka.

— No cóż, w mojej młodości też zdarzały się takie rzeczy. Tylko wymówki były trochę inne. I wydaje mi się, że trudniej radziliśmy sobie w pewnych sytuacjach.

Do Marple podeszli pułkownik i pani Walkers. Serdecznie wymienili uściski dłoni.

— Bardzo miło było panią poznać i porozmawiać o ogrodach — powiedział pułkownik. — Pojutrze będziemy mieli prawdziwą ucztę, jeśli znowu coś się nie zdarzy. Ten wypadek to bardzo przykra sprawa. Jeśli oczywiście to był wypadek, a tak mi się wydaje. Coroner chyba posunął się za daleko w swoich przypuszczeniach.

— To dziwne — powiedziała Marple — że nikt nie poszedł sprawdzić, czy rzeczywiście ktoś spychał kamienie.

— Obawiali się, że zostaną oskarżeni. Lepiej siedzieć cicho i nic nie wiedzieć... Do widzenia. Prześlę tę sadzonkę magnolii i mahonii japonskiej, choć wydaje mi się, że nie przyjmą się u pani.

Wsiedli do autokaru. Marple odwróciła się i zobaczyła Wansteada machającego ręką na pożegnanie odjeżdżającym. Pojawiła się Sandboume, która pożegnała Marple i również wsiadła do autokaru. Marple podeszła do Wansteada.

— Chciałabym z panem chwilę porozmawiać.

— Może usiądziemy w tym samym miejscu co wczoraj?

— Lepiej będzie na werandzie, tu obok.

Ruszyli w kierunku hotelu. Kierowca autokaru nacisnął kilka razy klakson na pożegnanie i wycieczka ruszyła dalej.

— Wolalbym, prawdę powiedziawszy, aby pani pojechała razem z wycieczką. Byłoby bezpieczniej dla pani. — Spojrzał na nią przenikliwie. — Dlaczego pani tu zostaje?

Wyczerpanie nerwowe czy też inny powód?

— To nie wyczerpanie, choć do doskonała wymówka dla osoby w moim wieku.

— Wydaje mi się, że powinienem zostać z panią i chronić przed ewentualnym niebezpieczeństwem.

— Nie ma takiej potrzeby. Miałabym natomiast prośbę do pana.

— Tak? Dowiedziała się pani czegoś?

— Chyba tak, ale muszę to sprawdzić. Są jednak pewne sprawy, których sama nie załatwię. Pan mógłby mi pomóc. Ma pan kontakt z pewnymi osobami, że się tak wyrażę na górze.

— Ma pani na myśli władze w Scotland Yardzie?

— Tak i kilka innych. Ma pan też znajomości w...

— Widzę, że ma pani jakieś poważne plany. Co mam zrobić?

— Po pierwsze: dam panu adres.

Wyjęła notes, wydarła kartkę i wręczyła ją Wansteadowi.

— To adres znanej instytucji charytatywnej — zauważył Wanstead.

— Tak, bardzo prężnej. Wysłała się tam, między innymi, ubrania dla dzieci.

— Jakie jest moje zadanie?

— Chciałabym, aby dowiedział się pan tam o paczkę, która została wysłana z tutejszej poczty.

— Czy to pani ją wysłała?

— Niezupełnie — powiedziała Marple.

— To znaczy?

— To znaczy — uśmiechnęła się Marple — że poszłam na pocztę i udając roztargnioną staruszkę, wyjaśniłam urzędnicze, że wysłałam paczkę pod zły adres. To właśnie ten adres, który panu dałam. Przeprosiłam bardzo i wytłumaczyłam, że pomyliłam adresy, gdy wysyłam rzeczy do kilku instytucji charytatywnych i często je mylę. Urzędniczka powiedziała, że jest za późno, aby cokolwiek można było zrobić, gdyż paczkę już wysłano. Oczywiście, nie oczekiwałam, że będzie inaczej. Powiedziałam, że po prostu wyślę Ust z uprzejmą prośbą o przesłanie rzeczy pod odpowiedni adres.

— To dość skomplikowane.

— „No, cóż. Trzeba było coś powiedzieć. Nie zamierzam oczywiście, tego robić. Zostawiam to panu. Musi się pan dowiedzieć, co znajduje się w tej paczce. Nie mam wątpliwości, że coś znajdziemy.

— Czy po zawartości paczki można zorientować się, kto ją wysłał?

— Raczej nie. Wewnątrz może być bilecik: Od przyjaciół lub z fikcyjnym adresem, na przykład: Pani Pippin 14 Westbourne Grove, pod którym oczywiście, taka pani nie mieszka.

— Lub...

— Raczej niemożliwe, ale na bileciku może być nazwisko: Miss Anthea Bradbury–Scott.

— Czy ona...?

— Ona wysłała tę paczkę — powiedziała Marple.

— Poprosiła ją pani o to?

— Ależ nie, nikogo nie prosiłam. Tę paczkę widziałam po raz pierwszy, gdy niosła ją Anthea, mijając ogród przy hotelu, gdzie siedzieliśmy razem i rozmawialiśmy.

- Ale poszła pani na pocztę i przedstawiła się jako właścicielka paczki?
- Oczywiście, skłamałam, ale chciałam sprawdzić, dokąd została wysłana
- Chciała się pani dowiedzieć, czy ta paczka została wysłana przez jedną z sióstr...
- Wiedziałam, że Anthea ją wysłała, bo widziałam ją.
- No, cóż... — Wanstead wziął kartkę. — Zajmę się tym. Czy uważa pani, że paczka może być dla nas interesująca?
- I to bardzo.
- Nie lubi pani uwalniać swoich sekretów.
- Nie chodzi o sekrety — wyjaśniła Marple. — To są tylko przypuszczenia, które muszę potwierdzić. Nie można mówić o czymś, czego się nie jest pewnym, chociaż w małym stopniu.
- Czy coś jeszcze?
- Myślę, że należy zawiadomić odpowiednie władze o ewentualności znalezienia drugiego ciała.
- Jest to związane z przestępstwem, którym się zajmujemy? Z tym, które miało miejsce dziesięć lat temu?
- Tak — odparła Marple. — Jestem całkowicie pewna.
- Czyje to ciało?
- Na razie tylko się domyślam.
- Czy wie pani, gdzie się znajduje?
- Bez wątplenia, tak. Ale muszę mieć jeszcze trochę czasu, zanim panu powiem.
- Czy to ciało mężczyzny, kobiety, dziecka czy dziewczyny?
- Zniknęła druga dziewczyna, Nora Broad. Słuch o niej zaginął. Jej ciało leży w bardzo szczególnym miejscu.
- Wanstead spojrzał na nią uważnie.
- Im dłużej pani słucham, tym bardziej obawiam się zostawić tutaj panią samą — powiedział. — Może pani zrobić coś nie przemyślanego. Te wszystkie pani domysły...
- Czy to wszystko, według pana, nonsens? — spytała Marple.
- Nie, nie. Absolutnie nie, ale jeśli pani wie zbyt dużo, to staje się to dość niebezpieczne. Myślę, że lepiej będzie, jeśli zostanę z panią.
- Nie, nie. Musi pan pojechać do Londynu i załatwić sprawę.
- Jest pani bardzo pewna siebie, pani Marple.
- Muszę jeszcze uzyskać pewne informacje.
- To mogą być ostatnie informacje w pani życiu. Nie chcemy trzeciego ciała.
- Och, niczego takiego nie oczekuję!
- Jeśli pani domysły się sprawdzą, może pani być w niebezpieczeństwie. Czy ma pani na myśli konkretną osobę?
- Podejrzewam kogoś... Muszę tu zostać. Pytał mnie pan, czy gdzieś w pobliżu wyczuwam zło. O tak, czuję wielkie nieszczęście i strach, muszę coś z tym zrobić. Ale jestem starą kobietą i niewiele już potrafię.
- Raz, dwa, trzy, cztery... — zaczął liczyć pod nosem Wanstead.
- Co pan liczy? — spytała Marple.
- Ludzi, którzy pojechali autokarem. Rozumiem, że oni nie interesują pani.

— Dlaczego miałoby mnie interesować?

— Ponieważ powiedziała pani, że pan Rafael wysłał panią na wycieczkę i do „Starego Dworu” w konkretnym celu. Ze śmiercią Elizabeth Temple jest związany ktoś z wycieczki, a pani pobyt tutaj związany jest ze „Starym Dworem”.

— Niedokładnie tak. Między tymi dwiema sprawami istnieje związek. Chcę, aby mi ktoś to wyjaśnił.

— Ma pani taką osobę?

— Owszem. Spóźni się pan na pociąg, jeśli natychmiast nie wyruszy.

— Niech pani uważa na siebie — powiedział Wanstead.

— Niech się pan nie obawia, dam sobie radę.

Drzwi nagle otworzyły się i do holu weszły Cooke i Barrow.

— O witam — powiedział Wanstead. — Myślałem, że panie razem na wycieczkę.

— W ostatniej chwili zmieniliśmy zdanie — wyjaśniła radośnie Cooke. —

Dowiedziałyśmy się właśnie o kilku ciekawych miejscach w okolicy. Tylko cztery czy pięć mil stąd znajduje się kościół z zabytkową saksońską chrzcielnicą. Jeździ tam autobus. Interesują mnie nie tylko zabytki i ogrody, ale także architektura.

— Mnie również — powiedziała Barrow. — Niedaleko stąd znajduje się Finley Park, bardzo ciekawy ze względu na znajdujące się tam oryginalne rośliny. Pomyślałyśmy, że znacznie przyjemniej będzie tu spędzić dzień czy dwa.

— Zatrzymały się panie „Pod Żółtym Dzikim”?

— Tak. Dostałyśmy bardzo przyjemny dwuosobowy pokój. Znacznie lepszy niż poprzednio.

— Spóźni się pan na pociąg — powtórzyła Marple.

— Wolałbym, żeby... — zaczął Wanstead.

— Dam sobie radę — pośpiesznie powiedziała Marple. — Taki miły człowiek — dodała, gdy zniknął za rogiem domu. — Tak bardzo się o mnie troszczy.

— To był wielki szok dla nas wszystkich — powiedziała Cooke. — Może chciałaby pani wybrać się z nami do St. Martines w Grove.

— Bardzo panie uprzejme, ale nie czuję się dziś na siłach. Może jutro.

— W takim razie zostawiamy panią.

Marple uśmiechnęła się do nich i weszła do hotelu.

20.

PRZYPUSZCZENIA MARPLE

Po zjedzeniu lunchu Marple przeszła na taras napić się kawy. Kończyła właśnie drugą filiżankę, gdy wysoka, szczupła postać wbiegła na schody i zbliżyła się do niej, mówiąc zdyszczanym głosem. Była to Anthea Bradbury-Scott.

— Och, pani Marple! Dowiedziałyśmy się właśnie, że jednak nie pojechała pani z wycieczką. Nie wiedziałyśmy, że zostaje pani tutaj. Clotilde i Lavinia przysłały mnie po panią. Mamy nadzieję, że wróci pani do „Starego Dworu” i zostanie z nami przez kilka dni. Z pewnością będzie przyjemniej niż tutaj. Pełno tu różnych ludzi, szczególnie podczas weekendu. Naprawdę, bardzo byłobyśmy rade, gdyby pani chciała przyjąć nasze zaproszenie.

— To bardzo miło z pani strony — odparła Marple. — Naprawdę bardzo miło, ale... to znaczy, miałam tu spędzić tylko dwa dni i dalej pojechać z wycieczką. Ten tragiczny wypadek spowodował, niestety, że nie byłam w stanie jechać dalej. Pomyślałam; że przyda mi się przynajmniej jeden dzień odpoczynku.

— Ale byłoby znacznie przyjemniej i wygodniej spędzić ten dzień u nas. Postaramy się zapewnić pani najlepsze warunki.

— Nie wątpię w to. Byłam zachwycona poprzednim pobytem. Naprawdę, czułam się fantastycznie. Taki wspaniały dom. Wszystko było takie piękne, zastawy, meble. O wiele milej spędzić dzień w domu niż w hotelu.

— A więc musi pani do nas przyjść. Koniecznie. Pójdę na górę i spakuję pani rzeczy.

— Och, dziękuję bardzo. Zrobię to sama.

— Czy mogę pani pomóc?

— Chętnie, dziękuję.

Poszła do pokoju. Anthea zaczęła nerwowo upychać rzeczy do walizki. Marple, bardzo czuła na punkcie porządku, musiała opanować się, żeby nie okazać niezadowolenia. Anthea poprosiła portiera, aby zaniósł bagaże aż do „Starego Dworu”. Marple dała mu napiwek. Powtarzając słowa podziękowań i zachwytu, dołączyła do sióstr. „Trzy siostry — pomyślała. — No i znowu tu jestem”. Usiadła w salonie, zamknęła oczy i głęboko odetchnęła. Czuła się zmęczona. To naturalne w jej wieku, tym bardziej, że Anthea i portier szli dość szybko. Ale tak naprawdę, starała się wczuć w atmosferę tego domu. Czy było w nim coś złowróżbnego? Raczej wyczuwała tu smutek. Smutek tak głęboki, że aż przerażający.

Otworzyła oczy i spojrzała na siostry. Glynne wyszła właśnie z kuchni. Niosła na tacy herbatę. Jak zwykle, nie można było wyczytać z jej twarzy żadnych uczuć. Może dlatego, że była ich zupełnie pozbawiona. A może po prostu przystosowała się do życia pełnego stresów i przeciwności i nauczyła się nie pokazywać niczego po sobie, zachowywać rezerwę i nie pozwalać nikomu wkraczać w swoje życie wewnętrzne.

Spojrzała na Clotilde wzrokiem Klitajmestry. Z pewnością nie zamordowała męża, bo nie miała męża, którego musiałaby mordować. Raczej też nie zamordowała dziewczyny, do której była tak przywiązana. Tego Marple była całkiem pewna. Pamiętała ten potok łez spływający po twarzy Clotilde, gdy wspomniała o śmierci Verity.

A Anthea? Wysłała paczkę. Przyszła, by ją zaprosić. Anthea — co do niej miała duże wątpliwości. Lekko roztargniona. Za wcześnie jak na jej wiek. Rozbiegane oczy widzące to, czego inni nie mogli zobaczyć. „Bała się — pomyślała Marple. — Czegoś się bała. Czy to przypadek choroby umysłowej? Przerażała ją może myśl, że będzie musiała resztę życia spędzić w zakładzie specjalnym. A może bała się sióstr, które uważały, że nie powinna zostawać na wolności. Siostry nigdy nie były pewne, co Anthea robi lub powie”.

Dopijając herbatę, zastanawiała się, kim naprawdę są Cooke i Barrow. Czy rzeczywiście zamierzały zwiedzić kościół, czy też był to tylko wykręt. Dziwne to wszystko. Dziwny był sposób, w jaki Cooke patrzyła na nią w St. Mary Mead. Chciała ją zapamiętać, ale później próbowała się nie przyznać, że ja kiedykolwiek widziała. Było wiele niejasności w całej sprawie.

Glynne wyszła, by odnieść tacę, a Anthea udała się do ogrodu. Marple została z Clotilde.

— Zna pani Archdeacona Brabazona? — zapytała Marple.

— O, tak — odpowiedziała Clotilde. — Był wczoraj w kościele na nabożeństwie. Pani go zna?

— Właściwie nie. Wczoraj przyszedł do mnie do hotelu porozmawiać. Pojechał do szpitala, aby dowiedzieć się o panią Temple. Zastanawiał się, czy nie zostawiła dla niego jakiejś wiadomości. Podobno miała złożyć mu wizytę. Poinformowano go, że widziałam ją tuż przed śmiercią. Powiedziałam mu oczywiście, że chociaż byłam w szpitalu, jedyne co mogłam zrobić, to siedzieć przy jej łóżku. Była nieprzytomna. W żaden sposób nie mogłam jej pomóc.

— Czy powiedziała coś, co wyjaśniłoby ten wypadek? Zadała to pytanie bez specjalnego zainteresowania. Marple zastanowiła się, czy Clotilde interesowała odpowiedź bardziej, niż dawała to po sobie poznać. Ale chyba nie. Clotilde była myślami zupełnie gdzie indziej.

— Czy pani uważa, że to był wypadek? — zapytała Marple. — A może jest coś w tej historii opowiedzianej przez kuzynkę pani Riseley-Porter... że widziała kogoś spychającego głaz?

— Jeśli tych dwoje tak mówi, z pewnością musieli kogoś zauważyć.

— Obydwoje to potwierdzili, chociaż niezupełnie tymi samymi słowami. Ale to chyba naturalne.

Clotilde spojrzała na nią z zaciekawieniem.

— Wydaje mi się, że jest pani zaintrygowana tą sprawą.

— To wszystko takie nieprawdopodobne, chyba że...

— Że, co?

— Po prostu zastanawiałam się. Do pokoju weszła Glynne.

— Nad czym się pani zastanawiała? — zapytała.

— Rozmawiamy o wypadku lub o... — powiedziała Clotilde.

— Ale kto...

— Ta historia, którą opowiedzieli, jest bardzo dziwna — powtórzyła Marple.

— Coś jest w tym miejscu — powiedziała nagle Clotilde. — Coś w otaczającej atmosferze. Nigdy nie mogłam tego przezwyciężyć. Nigdy. Nigdy od... od kiedy umarła Verity. Minęły już lata, a to nie odchodzi. Pozostał jakiś cień. — Spojrzała na Marple. — Nie uważa pani? Nie czuje pani tego?

— Cóż jestem tu obca. Inaczej odczuwa to pani i pani siostry, które tu mieszkały i znały tę dziewczynę. Pan Brabazon mówił, że była to urocza i piękna dziewczyna.

— Słodkie dziecko — potwierdziła Clotilde.

— Żałuję, że nie znałam jej lepiej — powiedziała Glynne. — Mieszkałam wtedy za granicą. Przyjeżdżaliśmy do Anglii, gdy mąż miał urlop, ale głównie mieszkaliśmy w Londynie. Niezbyt często tu gościliśmy.

Z ogrodu wróciła Anthea z naręczem lilii.

— Kwiaty nagrobkowe — powiedziała. — Takie właśnie kwiaty powinniśmy mieć dzisiaj, prawda? Włożę je do wazonu. Kwiaty nagrobkowe — powtórzyła i nagle wybuchnęła śmiechem. Był to przejmujący histeryczny chichot

— Antheo! — krzyknęła Clotilde. — Nie rób, nie rób tego! Tak nie można!

— Włożę je do wody — powiedziała radośnie Anthea i wyszła z pokoju.

— Wydaje mi się — wtrąciła Glynne — że z Anthea jest...

— ... coraz gorzej — dokończyła Clotilde.

Marple zachowywała się, jakby niczego nie zauważyła. Podniosła jakiś przedmiot i z zacięciem zaczęła mu się przyglądać

— Z pewnością zbije wazę — powiedziała Lavinia i wyszła za Anthea.

— Martwi się pani Anthea? — spytała Marple.

— Zawsze była niezrównowazona. Jest najmłodsza z nas. Jako dziewczynka miała w sobie wiele delikatności. Ale ostatnio jej stan się pogorszył. Nie rozróżnia rzeczy poważnych od śmiesznych. Często ma napady histerycznego śmiechu w poważnych momentach. Nie chciałybyśmy jej nigdzie wysyłać. Należałoby ją leczyć, ale wydaje mi się, że nie powinna być odsyłana z domu. Przecież to jest jej dom, chociaż dla nas życie stało się dość trudne.

— O tak, życie jest czasem bardzo ciężkie — powiedziała Marple.

— Lavinia znowu zamierza wyjechać za granicę, chyba do Taorminy, gdzie mieszkała z mężem i była bardzo szczęśliwa. Z nami jest już od kilku lat, ale tęskni za wyjazdem i podróżami. Czasami mam wrażenie, że nie chce mieszkać pod jednym dachem z Anthea.

— O Boże! — westchnęła Marple. — Słyszałam trochę o takich przypadkach.

— Bardzo się martwi Anthea — kontynuowała Clotilde. — Tłumaczę jej, że nie ma czym. Anthea jest czasami po prostu głupia. Ma dziwne pomysły i mówi dziwne rzeczy. Ale nie wydaje mi się, żeby istniało jakiegokolwiek niebezpieczeństwo... To znaczy... No, zrobienia czegoś dziwnego, niepokojącego.

— Nie było z nią tego rodzaju kłopotów?

— Nigdy. Czasami traci panowanie nad sobą i bardzo łatwo zniechęca się do ludzi. Jest bardzo zazdrosna o wszystko. Już nie wiem. Nieraz mam ochotę sprzedać ten dom i wyprowadzić się.

— To smutne — powiedziała Marple. — Wydaje mi się, że rozumiem. To trudne mieszkać z przeszłością.

— Rozumie pani? Widzę, że tak. Nic nie można na to poradzić. Ciągłe wraca się myślami do kochanego dziecka. Zżyłyśmy się z sobą jak matka z córką. Cóż, to córka jednej z moich najlepszych przyjaciółek. Dziewczyna bardzo inteligentna i zdolna. Utalentowana artystka. Świetnie sobie radziła z lekcjami sztuki i rysunku. Byłam z niej bardzo dumna. Poświęcała mi wiele czasu. I nagle pojawił się ten nieszczęsny, chory psychicznie chłopak.

— Ma pani na myśli syna pana Rafiela, Michaela?

— Tak. Gdyby się nie pojawił tutaj... Przejeżdżał kiedyś tędy i jego ojciec zasugerował, że może do nas wpaść na obiad. Potrafił być czarujący. Od początku było w nim coś nie w porządku. Dwa razy siedział w więzieniu. Miał nieprzyjemne historie z dziewczętami, ale nie myślałam, żeby Verity... Przypadek zauroczenia. Zdarza się dziewczętom w tym wieku. Nie myślała o niczym innym. Nie chciała słyszeć złego słowa na jego temat. Wszystkich przekonywała, że to, co się z nim dzieje — to, nie było jego winą. Tłumaczyła,

że wszyscy byli przeciwko niemu, że nikt nie chciał mu pomóc. Takie gadanie staje się męczące. Czy wszystkie dziewczyny są tak głupiutkie?

— Rzeczywiście, czasem trudno doszukać się w nich rozsądku — zgodziła się Marple.

— Nie chciała mnie słuchać. Staralam się trzymać go z dala od domu. Zabroniłam mu przychodzenia tutaj. Później zrozumiałam, że to było głupie. Spowodowało, że spotykali się gdzieś poza domem, w różnych miejscach. Przywoził ją do domu późno wieczorem. Raz czy dwa razy zniknęła na całą noc. Tłumaczyłam, że to musi się skończyć, ale nie słuchali. Ani Verity, ani on.

— Czy zamierzali się pobrać?

— Nie wydaje mi się, żeby sprawy zaszły tak daleko. Nie sądzę, by kiedykolwiek chciał się z nią ożenić, czy też myślał o tym.

— Bardzo pani współczuję. Musiała pani wiele przecierpieć.

— Najgorsza była identyfikacja zwłok. Stało się to w jakiś czas potem jak zniknęła.

Myślałyśmy, że po prostu z nim uciekła i wkrótce da o sobie znać. Policja wzięła te nasze przypuszczenia bardzo poważnie. Przesłuchano Michaela. Jego zeznania zgadzały się z tym, co mówili mieszkańcy miasteczka. — No i wreszcie ją znaleźli, daleko stąd. Jakieś trzydzieści mil, gdzieś w rowie, na nieuczęszczanym terenie, gdzie mało kto chodził.

Musiałam pójść i obejrzeć zwłoki w kostnicy. Czegóż tak straszego nigdy nie widziałam.

Tyle było w tym okrucieństwa. Co takiego mu zrobiła? Nie wystarczyło, że ją udusił i to jej własnym szalem. Nie mogę o tym dłużej mówić. Nie mogę tego znieść.

Nagle łzy popłynęły jej po policzkach.

— Bardzo mi przykro — powiedziała Marple. — Naprawdę, strasznie mi przykro.

— Wierzę pani. Ale nie wie pani najgorszego.

— To znaczy?

— Anthea zachowywała się wtedy bardzo dziwnie. Stała się zazdrosna. Obróciła się przeciwko Verity. Zdawała się jej nienawidzić. Czasem myślałam, że może — to straszne tak mówić o własnej siostrze — raz zdarzyło się jej kogoś zaatakować w jednym z tych napadów szału. Zastanawiałam się, czy byłaby zdolna... Ach, nie można mówić takich rzeczy! Niech pani zapomni, co mówiłam. To absolutnie niemożliwe, ale ona jest trochę nienormalna i musimy się z tym pogodzić. Gdy była małą dziewczynką zdarzyła się dziwna rzecz z papugą. Papuga, jak to papuga, mówiła głupie rzeczy, no i Anthea przetrąciła jej kark. Od tego czasu nigdy już jej nie ufałam, nigdy nie byłam jej pewna. Och, ja też powoli staję się histeryczką.

— Proszę już więcej o tym nie myśleć.

— Śmierć Verity jest wystarczająco ciężkim doznaniem. Przynajmniej inne dziewczęta są bezpieczne. Dostał dożywocie. Ciągłe jeszcze jest w więzieniu. Nie wypuszczą go, żeby znowu robił takie rzeczy. Dziwię się, że nie potraktowali tego jako przypadku choroby umysłowej — ograniczona odpowiedzialność czy coś w tym rodzaju. Powinien znaleźć się w Broadmore. Z pewnością nie był świadomy tego, co robił.

Wstała i wyszła z pokoju. W drzwiach minęła Glynne.

— Nie powinna pani brać poważnie tego, co mówi Clotilde — powiedziała Glynne. — Do końca nie otrząsnęła się po tym, co się stało. Bardzo kochała Verity.

— Bardzo się martwi Anthea.

— Anthea jest w porządku. Trochę rozhisteryzowana i to wszystko. Ma czasem dziwne pomysły i bujną wyobraźnię, ale wydaje mi się, że nie ma czym się martwili... A któż to do nas zawitał?

W oknie pojawiły się nagle dwie postacie.

— Bardzo przepraszamy — powiedziała Barrow. — Przyszliśmy się dowiedzieć, czy nie ma tu pani Marple. Słyszałyśmy, że miała tu być i zastanawialiśmy się... O! tu pani jest, droga pani Marple. Chciałyśmy powiedzieć pani, że w rezultacie nie poszliśmy zwiedzać tego kościoła, ponieważ był zamknięty z powodu sprzątanania. Będziemy więc musiały zrezygnować z dzisiejszej popołudniowej wycieczki. Przepraszamy, że weszliśmy tak bez pukania. Dzwoniłyśmy do drzwi, ale dzwonek chyba nie działa.

— To się nieraz zdarza — powiedziała Glynne. — Ma swoje humory. Ale proszę, niech panie usiądą i porozmawiają z nami. Nie wiedziałam, że nie pojechały panie z wycieczką.

— Nie. Zdecydowałyśmy się zobaczyć kilka miejsc w okolicy. Pomyślałyśmy, że po tym, co się niedawno stało, kontynuowanie wycieczki byłoby raczej... bolesne.

— Może napiłyby się panie trochę sherry — zaproponowała Glynne.

Wyszła z pokoju, by po chwili wrócić razem z Antheą, już zupełnie spokojną; niosła szklanki i sherry.

— Nie mogę się pozbyć uczucia, że coś jest niejasnego w śmierci biednej pani Temple — powiedziała Glynne. — Zupełnie nie wiadomo, co myśli policja. Dochodzenie odroczone, więc ciągle jeszcze coś rozważają. Czy nie mogą ustalić przyczyny jej zgonu?

— Raczej nie — powiedziała Barrow. — Uderzenie w głowę i wstrząs mózgu spowodował spadający gład. Problem w tym, czy gład spadł samoistnie, czy ktoś go zepchnął?

— Och! — zawołała Cooke. — To niemożliwe! Kto, do licha, chciałby robić takie rzeczy?! Oczywiście, chuligani są wszędzie. Zastanawiam się...

— ...czy to był ktoś z naszej wycieczki? — dokończyła Marple.

— Tego nie powiedziałam — odparła Cooke.

— Ale niestety, nie możemy pozbyć się tej myśli. Musi być jakieś wyjaśnienie. Jeśli policja jest pewna, że to nie wypadek i wiemy, że pani Temple była obcą osobą w tych stronach, można przypuszczać, że nie zrobił tego nikt zamieszkały tutaj. Wracamy do punktu wyjścia, a więc do uczestników wycieczki — zaśmiała się niepewnie Marple.

— Ależ...

— Nie powinnam mówić takich rzeczy, ale przestępstwa są takie interesujące. Czasami zdarzają się niesamowite rzeczy.

— Czy ma pani coś konkretnego na myśli? Bardzo bym chciała usłyszeć — powiedziała Clotilde.

— Cóż, rozważam różne możliwości.

— Pan Caspar — zaczęła Cooke — od początku mi się nie podobał. Jego wygląd kojarzył mi się ze szpiegostwem, no wie pani, rozpracowywanie tajemnic nuklearnych lub coś w tym rodzaju...

— Tu nie ma nic takiego w pobliżu — powiedziała Glynne.

— Oczywiście, że nie — wtrąciła Anthea. — Może ktoś ją śledził. Ścigał ją za przestępstwo, które kiedyś popełniła.

— Nonsens — powiedziała Clotilde. — To emerytowana dyrektorka bardzo znanej szkoły. Wspaniały pedagog. Za cóż mogłaby być ścigana?

— Och, nie wiem. Zawsze można coś znaleźć.

— Jestem pewna, że pani Marple doszła do ciekawych wniosków.

— Owszem — odpowiedziała Marple. — Wydaje mi się, że jedynymi osobami, które mogłyby... O Boże! To takie trudne, ale patrząc logicznie, te dwie osoby przychodzą mi od razu na myśl. Oczywiście, to nie musi być prawda. Bardzo mili ludzie, ale nikt inny mi nie pasuje.

— To bardzo interesujące, co pani mówi.

— Cóż, może nie powinnam tego mówić. To tylko takie zwariowane domysły.

— Kto mógłby spychać te kamienie? Kogo, według pani, widziała Joanna i Emlyn?

— Uważam... może oni nikogo nie widzieli?

— Nie rozumiem — powiedziała Anthea. — Nikogo nie widzieli?

— Mogli to wszystko wymyślić.

— Że kogoś widzieli?

— To możliwe, prawda?

— Czy to żart, czy mówi pani poważnie?

— Słyszy się o młodych ludziach bardzo dziwne rzeczy — powiedziała Marple. — Rozbijają szyby, atakują ludzi, rzucają kamieniami. Na wycieczce byli jedynymi młodymi ludźmi.

— Sugeruje pani, że Emlyn i Joanna zepchnęli ten kamień?

— Od razu się nasuwają, nieprawdaż?

— Niesamowite — powiedziała Clotilde. — Nigdy by mi to nie przyszło do głowy, ale rzeczywiście, coś w tym jest. Co prawda, zupełnie ich nie znam.

— Och, oni są bardzo mili! Joanna, wydaje mi się, to szczególnie zdolna dziewczyna.

— Zdolna? — spytała Anthea.

— Antheo! — przerwała Clotilde. — Bądź cicho!

— O tak, bardzo zdolna — powiedziała Marple. — Jeśli zamierza się kogoś zamordować, trzeba wykazywać się pewnymi zdolnościami.

— Musieli więc działać wspólnie — zasugerowała Barrow.

— O tak, opowiedzieli mniej więcej tę samą historyjkę. Nie ma żadnych wątpliwości, że to oni. Nikt ich nie widział. Szli ścieżką poniżej. Swobodnie mogli się wspinać na górę i zepchnąć ten kamień. Może nie mieli zamiaru zabijać pani Temple. Ot, po prostu wyraz buntu. Coś zniszczyć, kogoś pobić. Zepchnęli go i oczywiście wymyślili całą historię. Ten dziwny, rzucający się w oczy strój. To wszystko wydaje się tak mało prawdopodobne. Nie powinnam o tym mówić, ale tak sobie pomyślałam.

— To brzmi przekonująco. Co o tym sądzisz Clotilde? — spytała Glynne.

— Jest to jakieś wytłumaczenie. Sama nie pomyślałam o tym.

— No cóż, musimy wracać do hotelu — oznajmiła Cooke podnosząc się. — Idzie pani z nami, pani Marple?

— Och, nie! Zapomniałam paniom powiedzieć, że panie Bradbury–Scott zaprosiły mnie do siebie na jedną czy dwie noce.

— Rozumiem. To wspaniale. Dużo wygodniej. W hotelu właśnie pojawiła się jakaś hałaśliwa grupa.

— Może wpadłyby panie po obiedzie na kawę? — zaproponowała Clotilde. — Jest ciepły wieczór. Niestety, nie możemy zaprosić pań na obiad, gdyż niewiele mamy w domu, ale gdyby zechciały panie przyjść na kawę...

— To bardzo miłe z pani strony. Przyjdziemy, z przyjemnością — dziękowała Cooke.

21.

ZEGAR WYBIJA TRZECIĄ

1

Cooke i Barrow przybyły dokładnie o ósmej czterdzieści pięć. Jedna ubrana na beżowo, druga na oliwkowo. Podczas obiadu Anthea chciała się dowiedzieć od Marple czegoś więcej o tych paniach.

— To dziwne, że nie pojechały dalej z wycieczką — powiedziała.

— Och, nie. Myślę, że to całkiem naturalne — zauważyła Marple. — Wydaje mi się, że mają po prostu jakiś konkretny plan.

— Co pani rozumie przez plan? — spytała Glynne.

— Zawsze są przygotowane na wszelkie ewentualności i wiedzą, jak sobie radzić w różnych sytuacjach.

— Czy uważa pani, że były przygotowane na morderstwo? — zainteresowała się Anthea.

— Wolalabym — zwróciła się Glynne do Anthei — abyś nie mówiła o tym wypadku jak o morderstwie.

— Ależ bez wątpienia to było morderstwo — powiedziała Anthea. — Ciekawe tylko, kto go dokonał. Pewnie któraś z dawnych uczennic, która nienawidziła jej z jakiegoś powodu.

— Uważa pani, że nienawiść przetrwałaby tak długo? — spytała Marple.

— Wydaje mi się, że można nienawidzić całymi latami.

— A ja myślę — powiedziała Marple — że nienawiść wygasa dość szybko. Można starać się ją sztucznie podtrzymywać, ale to się nie udaje. Nienawiść nie jest tak silna jak miłość.

— A może pani Cooke z panią Barrow dokonały morderstwa?

— Dlaczego tak myślisz Antheo? Naprawdę, nie rozumiem — obruszyła się Glynne. — To takie miłe kobiety.

— Jest w nich coś tajemniczego. Nie sądzisz? — Anthea zwróciła się do Clotilde.

— Chyba masz rację — zgodziła się Clotilde. — Zachowują się trochę sztucznie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

— Roztaczają wokół siebie złowróżbną atmosferę — dodała Anthea.

— Zawsze miałaś bujną wyobraźnię — zauważyła Glynne. — W każdym razie wtedy szły ścieżką poniżej. Pani je widziała, prawda, pani Marple?

— Prawdę powiedziawszy, nie mogłam ich widzieć — odparła Marple.

— To znaczy...

— Pani Marple nie była na wycieczce. Była wtedy w naszym ogrodzie — wyjaśniła Clotilde.

— Oczywiście, zapomniałam.

— To był piękny dzień — powiedziała Marple. — Jutro z rana będę musiała wybrać się raz jeszcze, aby obejrzeć tę zachwycającą masę białych kwiatów rosnących obok tego wzniesienia. Zaczynały dopiero kwitnąć. Teraz musi być tam cudownie. Zawsze będę wspominała te kwiaty jako część wizyty tutaj.

— Nie znoszę ich — powiedziała Anthea. — Musimy się tego pozbyć. Chciałabym zbudować tam znowu cieplarnię, jeśli, oczywiście, będziemy miały wystarczającą ilość pieniędzy.

— Nic nie będziemy z tym robić. Zostanie, jak jest. Po co nam cieplarnia? Lata miną, zanim coś się urodzi.

— Przestańmy się kłócić — zakończyła dyskusję Glynne. — Przejdźmy do salonu. Zaraz przyjdą panie na kawę.

W tym momencie pojawiły się Cooke i Barrow. Clotilde wniosła tacę z kawą. Rozlała do filiżanek i podała gościom. Następnie przyniosła jedną filiżankę dla Marple. Gdy ją podawała, Cooke pochyliła się nad nią i powiedziała:

— Wydaje mi się, że nie powinna pani... niech pani mi wybaczy, że się wtrącam, ale kawa o tej porze? Będzie miała pani kłopoty z zaśnięciem.

— Tak pani uważa? — zdziwiła się Marple. — Jestem przyzwyczajona do picia kawy o tej porze.

— Ale to jest bardzo mocna kawa. Doskonała, ale dla pani chyba za mocna. Radziłabym jej nie pić.

Marple spojrzała uważnie na Cooke. Była wyraźnie przejęta. Farbowane włosy opadły, zasłaniając jej połowę twarzy. Nieznacznie przymrużyła jedno oko.

— Rozumiem — powiedziała Marple. — Może ma pani rację. Zna się pani na diecie?

— O tak, dużo na ten temat czytałam. Przeszłam także kurs żywienia.

— Nie mają panie fotografii tej dziewczyny? — Marple zmieniła temat, odsuwając na bok filiżankę. — Verity Hunt, tak? Pan Brabazon dużo o niej mówił. Bardzo ją chyba lubił.

— Och, lubił wszystkich młodych ludzi — powiedziała Clotilde. Wstała, podeszła do biurka, wyjęła zdjęcie i wręczyła je

Marple.

— To właśnie jest Verity — powiedziała.

— Piękna twarz — zauważyła Marple. — Piękna i niezwykła. Biedne dziecko.

— To okropne — wtrąciła Anthea. — Straszne rzeczy dzieją się dookoła. Dziewczęta chodzą na randki z każdym, który im się spodoba. Nie ma się kto nimi zająć.

— Muszą troszczyć się o siebie same, a zupełnie nie wiedzą, jak to robić. Boże! Pomóż im!

Mówiąc to Clotilde wyciągnęła rękę po zdjęcie. Zahaczyła rękawem o brzeg filiżanki i kawa wylała się na podłogę.

— Och! — krzyknęła Marple. — Czy to ja panią potrąciłam?

— Nie, nie. To moja wina, mam za długie rękawy. Może chciałaby pani szklankę gorącego mleka, jeśli obawia się pani wypić kawę?

— Bardzo chętnie. Szklanka mleka przed snem dobrze robi.

Rozmawiały jeszcze chwilę. Potem Cooke i Barrow zaczęły zbierać się do wyjścia. Zrobiły przy tym trochę zamieszania. Zanim wyszły kilka razy wracały, aby zabrać to szal, to torebkę, to znowu chusteczkę.

— Ale roztrzępane — zauważyła Anthea.

— Zgadzam się z Clotilde, jest w nich coś fałszywego — powiedziała Glynne.

— Ja też tak myślę — przytaknęła Marple. — Dlaczego wybrały się na tę wycieczkę? Czy podobała się im? Jakie miały plany? Długo się nad tym zastanawiałam.

— Doszła pani do czegoś? — spytała Clotilde.

— Do wielu rzeczy — Marple westchnęła.

— Mam nadzieję, że pani wycieczka się podobała.

— Tak, ale cieszę się, że nie muszę już dalej jechać. To byłoby za męczące.

— Całkowicie panią rozumiem.

Clotilde, wzięwszy z kuchni kubek z mlekiem, udała się z Marple na górę.

— Czy mogę jeszcze w czymś pani pomóc?

— Nie, dziękuję. Mam wszystko, czego mi potrzeba. To bardzo miło, że panie zaprosiły mnie znowu do siebie.

— Cała przyjemność po naszej stronie. Poza tym nie można było odmówić panu Rafielowi. To był taki miły człowiek. Zawsze o wszystkich pamiętał.

— O tak, bardzo pamiętający człowiek. Wielki umysł.

— Także wielki finansista.

— O wszystkim myślał... Cieszę się, że już mogę się położyć. Dobranoc pani.

— Czy mam pani przynieść jutro śniadanie do łóżka?

— Nie chciałabym sprawić paniom kłopotu. Zejdę na dół. Napiję się tylko herbaty, a potem pójdę do ogrodu obejrzeć tę górę pokrytą białymi kwiatami. Takie piękne...

— Dobranoc — powiedziała Clotilde. — Niech pani śpi dobrze.

2

Zegar wiszący tuż przy schodach wiodących do holu w „Starym Dworze” wybił drugą. Zegarów było dużo, każdy wskazywał inną godzinę, a część w ogóle nie chodziła. Utrzymać zabytkowe zegary w porządku to niełatwa sprawa. Zegary na pierwszym piętrze wybiły trzy razy. Słaba smuga światła przedostała się przez drzwi do pokoju Marple.

Marple usiadła na łóżku i położyła palec na wyłączniku lampy. Drzwi uchyliły się. Światło znikło, ale usłyszała czyjeś ciche kroki. Zapaliła lampkę.

— Ach, to pani, pani Clotilde. Czy coś się stało?

— Chciałam zobaczyć, czy pani czegoś nie potrzebuje.

Miała na sobie długi, purpurowy szlafrok. „Piękna kobieta” — pomyślała Marple. Włosy uwydatniające odsłonięte czoło. Tragiczna postać. Marple znowu przypomniała sobie grecki dramat Klitajmestra.

— Jest pani pewna, że niczego pani nie potrzebuje? — spytała Clotilde.

— Nie, dziękuję. Niestety, nie wypilałam mleka — powiedziała przepaszającym tonem Marple.

— Dlaczego? ;

— Uważałam, że nie czułabym się po nim dobrze... Clotilde stała w nogach łóżka, wpatrując się w Marple.

— A co pani chce przez to powiedzieć? — Głos Clotilde stał się ostry.

— Doskonale pani wie. Wiedziała pani cały wieczór, a może nawet wcześniej.

— Nie wiem, o czym pani mówi.

— Nie? — W głosie Marple wyczuwało się ironię.

— Obawiam się, że mleko jest już zimne. Przyniosę pani gorące.

Clotilde wyciągnęła rękę i zabrała kubek ze stolika.

— Niech pani się nie fatyguje. I tak nie wypiję.

— Zupełnie nie rozumiem — powiedziała Clotilde. — Cóż za dziwna z pani osoba. Dlaczego pani mówi w ten sposób? Kim pani jest?

Marple zdjęła z głowy różowy wełniany szal, ten sam, który miała na sobie w Indiach Zachodnich.

— Jedno z moich imion to: Nemesis.

— A cóż to znaczy?

— Myślę, że pani dobrze wie. Jest pani wykształconą kobietą. Nemesis czasem się spóźnia, ale zawsze przychodzi.

— O czym pani mówi?

— O pięknej dziewczynie, którą pani zabiła — powiedziała Marple.

— Którą zabiłam? O czym pani mówi?

— O Verity Hunt.

— Dlaczego miałabym ją zabić? — spytała Clotilde.

— Ponieważ kochała ją pani.

— Oczywiście, że ją kochałam. Byłam jej bardzo oddana. I ona mnie kochała.

— Ktoś powiedział mi, nie tak dawno, że „miłość” to przerażające słowo. To prawda. Kochała ją pani do szaleństwa. Znaczyła dla pani wszystko. Ale pokochała kogoś innego. Inny rodzaj miłości pojawił się w jej życiu. Miłość do mężczyzny. Chłopiec niezbyt dla niej odpowiedni, z nieciekawą przeszłością, ale pokochała go, a on ją. Chciała uciec od tej miłości, którą pani jej ofiarowała. Miłości zniewalającej. Pragnęła prowadzić normalne życie kobiety, być z wybranym człowiekiem, mieć z nim dzieci.

Clotilde usiadła.

— Rozumie pani wszystko doskonale.

— Tak.

— To, co pani mówi, jest prawdą. Nie ma sensu zaprzeczać.

— Owszem.

— Ale czy jest pani w stanie wyobrazić sobie moje cierpienia?

— Zawsze umiałam wyobrazić sobie różne rzeczy.

— Jaka to męczarnia zdawać sobie sprawę, że traci się najcenniejszą rzecz w życiu. I oddać ją takiemu zwyrodnialcowi? Niewartemu mojej cudownej dziewczynki. Musiałam ją od tego powstrzymać. Musiałam!

— Lepiej ją było zabić, niż pozwolić odejść? Zabiła ją pani ł miłości.

— Czy uważa pani, że mogłabym coś takiego uczynić? Udusić dziewczynę, która kochałam? Uderzyć w głowę, zmasakrować? Tylko nienormalny chłopak mógł to zrobić.

— Oczywiście, że pani by tego nie zrobiła — zgodziła się Marple. — Kochała ją pani i nie mogła pani tego uczynić.

— Sama pani widzi, że opowiada pani bzdury.

— Nie zmasakrowała pani twarzy Verity. Ona ciągle tu jest, prawda? W ogrodzie. Myślę, że pani jej nie udusiła, lecz dała zatruty napój. Mleko lub kawę z dawką środków nasennych. Gdy już nie żyła, zabrała ją pani do ogrodu, usunęła cegły pozostałe po cieplarni, wykopała tam dla niej grób i z powrotem przykryła cegłami. Na koniec zasadziła pani polygonum, które bujnie rozkwita każdego roku. Verity pozostała z panią. Nigdy już pani nie opuści.

— Ty głupia kobieto! Stara, szalona wariatko! Uważasz, że uda ci się opuścić ten dom, aby to wszystko opowiedzieć?

— Myślę, że tak, choć nie jestem całkowicie pewna. Pani jest ode mnie dużo silniejsza.

— Cieszę się, że to pani zauważyła.

— Zdaję sobie sprawę, że nie będzie miała pani żadnych skrupułów — powiedziała Marple. — Nie poprzestaje się na jednym morderstwie. Wiem to z doświadczenia. Zabiła pani dwie dziewczyny.

— Tak, zabiłam tę głupią dziewczynę. Latawica, bezmyślna gówniara. Skąd pani o niej wie?

— Znając panią, wiedziałam, że nie zabiłaby pani ukochanej dziewczyny, dusząc i masakrując jej twarz. W tym samym czasie zginęła druga dziewczyna, której ciała nie znaleziono. A ja uważałam, że znaleziono. Nie wiedziano tylko, że to było ciało Nory Broad. Ubrana była tak jak Verity, rozpoznana przez osobę najlepiej ją znającą. Poszła pani, aby stwierdzić, że zamordowaną była Verity. I oczywiście pani to potwierdziła.

— Ale po co to wszystko?

— Ponieważ chciała pani, aby chłopak, który zabrał pani Verity, którego ona kochała i który ją kochał, został oskarżony o morderstwo. A więc, ukryła pani drugie ciało tak, aby nie można go było łatwo znaleźć. Zrobiła pani wszystko, aby w przypadku odnalezienia, wzięto je za ciało Verity. Ubrała ją pani w rzeczy Verity, położyła torebkę, jakiś list, krzyżyk z łańcuszkiem... i pozbawiła ją pani twarzy... Tydzień temu popełniła pani trzecie morderstwo: zabiła pani Elizabeth Temple, gdyż obawiała się, że może coś wiedzieć. Verity mogła do niej napisać, coś jej przekazać. Spotkanie pani Temple z panem Brabazonem mogło być niebezpieczne. Bez większego trudu dała sobie pani radę z głazem, choć wymagało to dużego wysiłku, jest pani silna.

— Wystarczająco silna, aby dać sobie radę także z panią — powiedziała Clotilde.

— Nie pozwolę na to.

— Co masz na myśli, ty nędzna starucho?

— O, tak, jestem stara i nie mam już siły. Ale jestem, na swój sposób, wysłannikiem sprawiedliwości.

— A kto mnie powstrzyma przed zatrzymaniem tu pani na zawsze? — zaśmiała się Clotilde.

— Mój anioł stróż — powiedziała Marple.

— Wierzy pani, że pomoże? — Znów się zaśmiała i zbliżyła się do łóżka Marple.

— Prawdopodobnie mam dwóch stróżów. Pan Rafie! zawsze robił wszystko na wyrost.

Marple włożyła rękę pod poduszkę i wyciągnęła gwizdek. Przyłożyła do ust i wydała tak przenikliwy gwizd, że poderwałby policjanta na drugim końcu ulicy. Wszystko działo się prawie jednocześnie. Clotilde odwróciła się. W drzwiach stała Barrow. Nagle otworzyły się drzwi szafy, z których wyszła Cooke. Nie przypominały teraz niedołącznych staruszek. W ich ruchach wyczuwało się precyzję charakterystyczną dla profesjonalistów.

— A oto anioły! — zawołała radośnie Marple. — Pan Rafiel zatroszczył się o moje bezpieczeństwo w najdrobniejszych szczegółach.

22.

MARPLE OPOWIADA SWOJĄ HISTORIĘ

— Kiedy dowiedziała się pani — zapytał Wanstead — że te dwie kobiety były prywatnymi detektywami zatrudnionymi do ochrony pani?

Siedział pochylony i uważnie przyglądał się siwej staruszce siedzącej naprzeciwko niego. Znajdowali się w biurze, a wraz z nimi cztery inne osoby: urzędnik z prokuratury, pomocnik komisarza ze Scotland Yardu, James Lloyd, komendant więzienia Manstone, Andrew McNeil i minister spraw wewnętrznych.

— Do końca nie byłam pewna — powiedziała Marple. — Gdy pani Cooke przybyła do St. Mary Mead, szybko zrozumiałam, że nie była tą osobą, za którą się podawała, że nie przyjechała, aby pomagać przyjaciółce przy pracy w ogrodzie. Chciała dobrze zapamiętać mój wygląd i był to jedyny powód jej przyjazdu. Musiałam odgadnąć, do czego jej to potrzebne. Gdy zobaczyłam ją znowu na wycieczce, nie wiedziałam czy mam ją traktować jako przyjaciela, czy jako wroga, którego zaangażowała, nazwijmy to, druga strona. Upewniłam się dopiero wczoraj wieczorem, gdy pani Cooke wyraźnie ostrzegła mnie przed wypiciem kawy przyszykowanej przez panią Clotilde Bradbury–Scott. Wszystko co mówiła, brzmiało bardzo naturalnie, ale ostrzeżenie było oczywiste. Później, gdy żegnały się, jedna z nich chwyciły moją dłoń i zaczęła potrząsać z wylewnością. Wtedy to właśnie został przekazany mi, co zauważyłam później, gwizdek o wyjątkowo donośnym dźwięku. Zabrałam go ze sobą do łóżka, przyjęłam kubek mleka, do wypicia którego pani Clotilde bardzo mnie namawiała i życzyłam jej dobrej nocy, uważając, aby nie zmienić naturalnego i przyjaznego sposobu bycia.

— Nie wypila pani mleka?

— Oczywiście, że nie. Za kogo pan mnie ma?

— Bardzo panią przepraszam... Dziwię się, że nie zamknęła pani drzwi.

— Specjalnie. Chciałam, żeby Clotilde weszła. Pragnęłam zobaczyć, co powie lub zrobi. Byłam pewna, że przyjdzie w odpowiednim czasie sprawdzić, czy wypita mleko i czy już jestem głęboko uśpiona. Tak głęboko, abym już nigdy się nie obudziła.

— Czy pomogła pani schować się pani Cooke do szafy? — spytał Wanstead.

— To było dla mnie zupełne zaskoczenie, gdy nagle z niej wyskoczyła. Wydaje mi się...

— Marple zawahała się przez chwilę — że skryła się tam, gdy poszłam do... łazienki.

— Wiedziała pani, że te kobiety będą w domu?

— Wiedziałam tylko, sądząc po tym, że dały mi gwizdek, że będą gdzieś w pobliżu. Nie wydaje mi się, aby miały duże trudności z dostaniem się do środka. Ten dom nie miał żadnych krat w oknach, alarmów przeciwwłamaniowych ani niczego w tym rodzaju.

Jedna z nich wróciła pod pretekstem zostawienia torebki czy szala. W trakcie poszukiwań zagubionych rzeczy udało im się pewnie uchylić okno. Sądzę, że w domu znalazły się niedługo potem, jak go opuściły.

— Wiele pani ryzykowała, pani Marple.

— Miałam nadzieję, że wszystko się uda. Nie można przejść przez życie, czasami nie podejmując ryzyka.

— A propos, pani podejrzenia co do paczki okazały się słuszne. Zawierała ona zupełnie nowy sweter w jaskrawo czarno-czerwonej kratkę. Bardzo rzucający się w oczy. Skąd pani o tym wiedziała?

— To zupełnie prosta sprawa. Gdy Emlyn i Joanna opisali postać na wzgórzu, domyśliłam się, że osoba ta chciała, aby jej ubranie zostało zapamiętane. W związku z tym musiała go się pozbyć. Jedyna szybka i bezpieczna droga, to wysłanie pocztą do instytucji charytatywnych. Niech pan pomyśli, jak ludzie z takich instytucji cieszą się, kiedy dostają ubrania na zimę, gdy znajdą zupełnie nowy sweter. Wszystko, co musiałam zrobić, to znaleźć adres, pod który została wysłana paczka.

— I zapytała pani na poczcie? — minister wyglądał na lekko zaskoczonego.

— Oczywiście nie bezpośrednio. Musiałam udać, że jestem roztargnioną staruszką, która napisała na paczce zły adres i chcę dowiedzieć się, czy paczka już została wysłana. Miła pani na poczcie zapamiętała adres na paczce, który oczywiście nie był tym, który ja podałam. Uprzejmie dała mi go, abym mogła napisać i wyjaśnić pomyłkę. Nie sądzę, żeby cokolwiek podejrzewała. Wydawała się być jedynie bardzo zmartwiona, że paczka może zaginąć.

— Widzę, że jest pani doskonałą aktorką — zauważył Wanstead. — Jak również i doskonałym mścicielem. Kiedy pani zaczęła domyślać się wszystkiego?

— Z początku byłam zupełnie zagubiona i obwinałam pana Rafiela, że nie udzielił mi wystarczających informacji. Ale rozumiem teraz, że postąpił bardzo mądrze. Naprawdę miał niezwykłą inteligencję. Teraz wiem, dlaczego był tak świetnym finansistą i zrobił ogromne pieniądze. Doskonale umiał planować. Informacji dostarczał mi sukcesywnie, małymi porcjami. Najpierw moja ochrona dobrze zapamiętała sobie, jak wyglądam, a później zostałam skierowana na wycieczkę.

— Czy podejrzewała pani kogoś z wycieczki?

— Brałam pod uwagę taką możliwość.

— Wyczuła pani coś niepokojącego?

— Pamięta pan o tym? Nie, nic specjalnego. Nie wiedziałam, z kim mam się zaznajomić na wycieczce, ale ta osoba sama się do mnie zgłosiła.

— Elizabeth Temple?

— Tak. Zadziałała jak latarnia w ciemności. Zdawałam sobie sprawę, że gdzieś musi być ofiara i gdzieś przestępca. Pan Rafie! dał mi to wyraźnie do zrozumienia. Morderstwo złączyło nas w Indiach, więc tu również musiało chodzić o morderstwo. I to nie zwyczajne, ale świadome, zaplanowane zabójstwo, przez kogoś, kto poddał się siłom zła. Zostały mi wskazane dwie ofiary: ktoś, kto został zamordowany i ktoś, kto został niesłusznie za to oskarżony. Nic nie rozumiałam do czasu, gdy spotkałam panią Temple. Przedstawiła mi pierwszą nić łączącą sprawę z panem Rafielem. Powiedziała mi o

dziewczynie, która była zaręczona z jego synem. Ta dziewczyna nie wyszła jednak za niego... gdyż zmarła, jak wyjaśniła mi Temple. Do tej pory słyszę jej przejmujący głos, który dzwigał jak dzwon, gdy wyjaśniała mi przyczynę śmierci: „Miłość — powiedziała. — Najbardziej przerażające słowo, jakie znam”. Od razu pomyślałam, że chodzi jej o samobójstwo z powodu nieszczęśliwej miłości. Powiedziała mi także, że ta wycieczka nie jest dla niej wyłącznie przyjemnością, lecz — jak to określiła — pielgrzymką. Nie dowiedziałam się tylko, do kogo miała się udać i w jakim celu. Dowiedziałam się o tym od kogoś innego.

— Od Archdeacona Brabazona?

— Tak. Wtedy nie wiedziałam nic o nim, lecz domyśliłam się, że ci których szukam, nie znajdują się na wycieczce. Co prawda przez moment jednakże zastanawiałam się nad Emlynem i Joanną.

— Dlaczego?

— Bo młodość czasami wiąże się z samobójstwem, gwałtem, zazdrością i tragiczną miłością. Mężczyzna zabija swoją ukochaną. To się zdarza. Myślałam o nich, ale nie wyczuwałam wokół nich żadnej atmosfery zła, rozpacz, nieszczęścia. Wspomniałam o swoich przypuszczeniach podczas spotkania przy kawie w „Starym Dworze” ostatniego wieczoru, aby odwrócić uwagę gospodarzy od moich prawdziwych myśli. Powiedziałam, że oni najbardziej pasują na podejrzanych w sprawie śmierci Elizabeth Temple. Będę musiała ich przeprosić za to, że mówiłam w ten sposób. Ale byli mi bardzo pomocni.

— Potem zginęła pani Temple?

— Nie. Najpierw przybyłam do „Starego Dworu”, gdzie zastałam niezwyklej gościnności. To także zostało zaaranżowane przez pana Rafiela. Nie wiedziałam, dlaczego to zorganizował. Może tylko jako miejsce, gdzie miałam uzyskać dalsze informacje...

Przepraszam bardzo — Marple nagle przyjęła ton przeproszający — ale mówię zbyt rozwlekłe. Nie powinnam chyba opowiadać państwu o wszystkich moich domysłach...

— Proszę, niech pani mówi. Nie wie pani nawet, jak bardzo to jest interesujące i pomaga w mojej pracy. Proszę kontynuować.

— Niech pani mówi, bardzo proszę — dodał McNeil.

— Miałam uczucie — zaczęła znowu Marple — że... To nie była żadna logiczna dedukcja. Oparte to było na emocjonalnej reakcji, wewnętrznym wyczuleniu na, mogę to tylko tak nazwać, panującą tam atmosferę. : — To prawda. W różnych miejscach panuje różna atmosfera.

— Trzy siostry. To powiedziałam od razu po wejściu do tego domu. Zostałam przywitana przez uprzejmą Lavinie Glynne. Jest coś złowróżbnego w tym wyrażeniu: trzy siostry. Kojarzy mi się to z trzema siostrami u Czechowa i z trzema wiedźmami w Makbecie. Wyczuwałam tam atmosferę głębokiego nieszczęścia, strachu i walki... a wszystko wyglądało najnormalniej w świecie.

— To bardzo interesujące spostrzeżenie.

— Pani Glynne — kontynuowała Marple — spowodowała, że pozornie wszystko było w porządku. Przyszła do mnie do hotelu po przyjeździe wycieczki, aby zaprosić do siebie. Zachowywała się jak normalna, sympatyczna kobieta, wdowa. Nie wyglądała na szczęśliwą, ale nie miało to nic wspólnego z atmosferą domu. Tkwiło to już w jej

charakterze. Zaprowadziła mnie do domu, gdzie poznałam pozostałe dwie siostry. Następnego ranka stara służąca opowiedziała mi tragiczną historię sprzed dziesięciu lat. O dziewczynie zamordowanej przez swojego chłopaka i o wielu innych dziewczynach, które padły ofiarą gwałtu i morderstw. Dokonałam następnej oceny sytuacji. Nikt z uczestników wycieczki nie był mordercą. Zadałam więc sobie pytanie, czy mógł nim być ktoś z tego domu? Trzy siostry — nieszczęśliwe, cierpiące, przerażone? Jakie? Najpierw uwagę moja zwróciła Clotilde. Wysoka, przystojna kobieta. Osobowość. Tak jak pani Temple. Niewiele wiedziałam, ale musiałam to podsumować. Gdzie jest morderca? Jakiego rodzaju morderca? Jakiego rodzaju morderstwo? I wtedy zaczęłam wyczuwać tę dziwną atmosferę narastającą w swojej złowróżności. Nie mogę znaleźć innego słowa, które dobrze by to oddawało. To nie znaczyło, że któraś z sióstr była źródłem zła, ale po prostu jakieś zło wyraźnie na nie oddziaływało, przerażało je. Clotilde była najbardziej uczuciowa. Kojarzyła mi się z Klitajmestrą... Niedawno zostałam zaproszona na przedstawienie do znanej szkoły dla chłopców. Byłam pod wrażeniem gry chłopca w roli Agamemnona i innego chłopca odgrywającego Klitajmestrę. Clotilde świetnie pasowała mi do roli kobiety, która z zimną krwią planuje śmierć męża podczas kąpieli. Wanstead ledwo powstrzymał się, aby nie wybuchnąć śmiechem. Rozbawił go poważny ton Marple, gdy to mówiła. Marple niezauważalnie mrugnęła do niego okiem.

— Brzmi to trochę śmiesznie, prawda? Aleja to właśnie tak odczuwałam. Niestety, nie miała męża, więc nie mogła go zabić. Następnie zaczęłam rozpracowywać Lavinie Glynne. Wydawała się niezwykle uprzejmą, miłą kobietą. Ale to wcale nie przeszkadza zostać mordercą. Znam wiele niezwykle uroczych osób, które okazały się być mordercami. Często specjalnie wytwarzają wokół siebie takie wrażenie. Określam ich mianem szanowanych morderców. Ten typ ludzi, którzy dokonują morderstw z powodów czysto użytecznych. Bez emocji, ale skutecznie. Zdziwiłabym się, gdyby to była Glynne, ale nie mogłam całkowicie jej wykluczyć. Była wdową od kilku lat. Zostawiłam ją na razie. Następnie Anthea. Niepokojąca osobowość. Niezrównoważona, histeryczna... Cały czas sprawiała wrażenie, że czegoś się bała. Wypełniona ogromnym strachem. Ona też mogła być mordercą. Jeśli popełniła zbrodnię w przeszłości i nagle ktoś spowodował, że mogło to zostać ujawnione, wywołało to u niej strach. Związane to mogło być z dochodzeniem w sprawie śmierci Elizabeth Temple. Miała dziwny sposób patrzenia na człowieka. Najpierw lustrowała osobę, a potem rzuciła szybkie, przestraszone spojrzenia poza plecy, jakby kogoś tam spostrzegła. Pasowała na umyślowo chorego przestępcę, który zabił, czując się osaczonym i ściganym. Potem zginęła Elizabeth Temple. Sądząc z opisu tych dwojga młodych, nie był to wypadek, ale zaplanowane morderstwo. Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że dokonano trzech morderstw. Znałam dokładnie historię syna pana Rafiela, wszystkie jego przestępstwa i doszłam do wniosku, że to nie on zabił. Fakty jednak świadczyły przeciwko niemu. Nikt nie wątpił, że to on był mordercą Verity Hunt. Archdeacon Brabazon wyjaśnił mi całą sprawę do końca. Znał tych dwoje młodych ludzi. Przyszli do niego z prośbą, aby udzielił im ślubu. Nie sądził, że to była mądra decyzja, lecz zgodził się, gdyż uważał, że była podyktowana miłością. I to miłością prawdziwą. Chłopiec obiecał Verity, że będzie jej wierny i będzie starał się zmienić swój zły charakter. Archdeacon oczywiście nie był optymistą. Zdawał

sobie sprawę, że nie będzie to małżeństwo szczęśliwe, lecz — jak to określił — z konieczności, dlatego, że jeśli kochasz kogoś bardzo mocno, musisz za to płacić. Ale jednej rzeczy byłam pewna: twarzy nie mógł zmasakrować ktoś, kto rzeczywiście kochał. To nie był typowy przypadek gwałtu. Miłość między dwojgiem tych młodych była pełna czułości. Wierzyłam na słowo Archdeaconowi. Jednocześnie wierzyłam Elizabeth Temple, że przyczyną śmierci Verity była miłość. Powodowało to pewne sprzeczności, więc musiałam wyjaśnić niektóre szczegóły. Jeszcze raz przypominałam sobie słowa pani Temple, że miłość jest najbardziej przerażającym słowem, jakie zna. I wtedy zrozumiałam... Zaborcza miłość Clotilde do Verity. Uwielbienie dziewczyny dla niej, jej zależność i potem, gdy dorosła, naturalne pragnienie miłości. Pragnęła miłości, ale i wolności. Pragnęła wyjść za mąż i mieć dzieci. I znalazła chłopca. Doskonale zdawała sobie sprawę, kim on jest, ale zwykle to nie zniechęca dziewczyn. Przeciwnie, one to lubią, gdyż chcą i wierzą, że mogą ich zmienić. Verity napisała do Elizabeth, że zamierza wyjść za Michaela Rafiela. Plany te utrzymywali w sekrecie, gdyż Verity zdawała sobie sprawę, że jest to rodzaj ucieczki od życia, które prowadziła i że nigdy nie uzyska na to pozwolenia. Nie musieli wyjeżdżać do Gretna Green, gdyż byli wystarczająco dorośli. Postanowili zwrócić się do pana Brabazona, starego przyjaciela pani Temple. Wszystko zostało ustalone: data, miejsce, czas, prawdopodobnie także ubiory. Mieli się gdzieś spotkać. W umówionym miejscu pojawił się on, ale ona, niestety nie przybyła. Cekał i starał się dowiedzieć, dlaczego nie przyszła. Myślę, że wtedy otrzymał niestarannie napisany list informujący go o zmianie decyzji. A może coś innego? Przypuszczam, że do głowy mu nawet nie przyszła prawdziwa przyczyna jej nieobecności. Nie byłby w stanie wyobrazić sobie, w jaki sposób została zgładzona. Clotilde nie zamierzała pozwolić uciec osobie, którą tak kochała i oddać ją mężczyźnie, którego nienawidziła i którym pogardzała. Postanowiła zatrzymać ją przy sobie na zawsze. Nie mogłam jednak uwierzyć, że ją udusiła i zmasakrowała twarz. Domyśliłam się że pochowała ją w ogrodzie na miejscu zniszczonej cieplarni. Prawdopodobnie podała jej odpowiednią dawkę środków nasennych. Zupełnie jak w dramacie greckim: cykuta.

— Czy pozostałe siostry wiedziały o tym?

— Pani Glynne nie było. Przebywała z mężem za granicą. Pozostała tylko Anthea. Wydaje mi się, że orientowała się, że coś się dzieje. Widziała jak Clotilde formowała wzniesienie w końcu ogrodu i sadziła krzewy. Myślę, że prawda dochodziła do niej powoli. Clotilde, wstępując raz na drogę zła, nie miała już żadnych skrupułów. Znajdowała przyjemność w planowaniu następnych morderstw. Miała duży wpływ na Norę Broad, tę występłą, seksowną dziewczynę z miasteczka, która często przychodziła do niej i wyłudzała różne prezenty. Nie miała kłopotu z wyciągnięciem jej daleko od miasta, trzydzieści mil, pod pretekstem pikniku czy innej wyprawy. Miejsce upatrzyła sobie — wcześniej. Udusiła ją, zmasakrowała twarz i ukryła w rowie, przysypując ziemią. Nikt nie mógł jej podejrzewać. Ubrała ją w rzeczy Verity. Miała nadzieję, że to morderstwo nie zostanie szybko wykryte. W tym czasie rozpowiadała, że Nora Broad widziana była w samochodzie Michaela. Prawdopodobnie mówiła też, że Verity zerwała zaręczyny z powodu niewierności Michaela. Wszystko, co robiła sprawiało jej niezmierną przyjemność. Biedna, zagubiona dusza.

— Dlaczego pani uważa, że była biedna?

— Nie wyobrażam sobie większego cierpienia od tego, jakie przeżywała Clotilde przez cały ten czas. To było dziesięć lat bezustannych cierpień. Złożyła Verity w ogrodzie, na zawsze. Z początku nie wiedziała, co to znaczy. Tęsknota za dziewczyną narastała z każdym dniem. Nie sądzę, żeby odczuła jakieś wyrzuty sumienia. Po prostu cierpiała, rok za rokiem. Tak jak powiedziała Elizabeth Temple, miłość jest rzeczą straszną. Nawet sama do końca nie zdawała sobie z tego sprawy, jak bardzo straszną. Miłość może stać się jednym z najgorszych narzędzi szatana. Clotilde musiała z tym żyć każdego dnia. Myślę, że Anthea bała się właśnie tego. Bardziej niż ona uświadamiała sobie potworność tego czynu. Bała się, że Clotilde wie, że ona wie. Bała się tego, co siostra może zrobić. Clotilde kazała Anthei zanieść paczkę na pocztę. Opowiadała mi o niej dużo: że jest psychicznie niezrównowazona, że jeżeli jest zazdrosna, prześladowana, może być zdolna do wszystkiego. Wydaje mi się, że w niedalekiej przyszłości coś mogłoby się przydarzyć Anthei — samobójstwo spowodowane nieczystym sumieniem.

— A jednak współczuje jej pani? — spytał Andrew McNeil. — Jadowite zło jest jak rak, jak złośliwy guz powoduje cierpienie.

— Oczywiście — powiedziała Marple.

— Chyba opowiedziano pani, co się wydarzyło tej nocy, kiedy opiekunki zabrały panią?

— spytał Wanstead.

— To znaczy, z Clotilde? Pamiętam, że wzięła mój kubek z mlekiem. Gdy pani Cooke zabierała mnie z pokoju, cały czas trzymała go. Przypuszczam, że wypła.

— Spodziewała się pani tego?

— Nie myślałam wtedy o tym, ale przypuszczałam, że gdybym się zastanowiła, doszłabym do takiego wniosku.

— Nikt nie mógł jej powstrzymać. Była bardzo szybka. Poza tym nikt tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że w mleku jest trucizna.

— A więc wypła?

— Czy to panią dziwi?

— To raczej naturalne. Nie ma się czemu dziwić. I ona w tym momencie, tak jak Verity, zapragnęła uciec od tego wszystkiego, czym żyła do tej pory. Czy to nie dziwne, że kara, którą na siebie nakładamy tak bardzo przypomina to, co ją spowodowało?

— Bardziej pani współczuje tej kobiecie niż dziewczynie?

— Nie, to po prostu inny rodzaj współczucia. Współczuję Verity, że straciła: życie, miłość, radość z poświęcenia i oddania dla ukochanego mężczyzny. Nikt jej tego nie wróci.

Współczuję jej, ale uniknęła wszystkiego tego, co Clotilde musiała przecierpieć: smutek, strach, nieszczęście i drążące duszę zło. Musiała żyć ze swoją zniszczoną miłością, która już nigdy nie powróci, z dwiema siostrami, które się wszystkiego domyślały i bały się jej, z dziewczyną, którą pochowała w ogrodzie.

— To znaczy Verity?

— Tak. Cały czas miała świadomość jej obecności. Myślę, że czasem nawet ją widziała zrywającą kwiaty z usypanego przez siebie grobu. Musiała wtedy niesamowicie odczuwać jej bliskość. Chyba nic gorszego nie mogło jej spotkać, prawda? Nic gorszego...

23.

ZAKOŃCZENIE

1

— Dostająę gęsiej skórki, gdy słucham tej starszej pani — powiedział McNeil, pożegnawszy się z Marple.

— Taka delikatna, a taka bezwzględna — dodał pomocnik komisarza.

Wanstead zaprowadził Marple do samochodu, który czekał na dole i jeszcze na chwilę wrócił na górę.

— Co o niej myślisz Edmundzie?

— Najbardziej przerażająca kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem — powiedział.

— Bezwzględna?

— Nie, nie to. Po prostu przerażająca.

— Nemezis — powoli powiedział Wanstead.

— Te dwie kobiety, które miały chronić ją, przedstawiły mi jej niezwykle opis wczorajszej nocy. Schowały się w domu zupełnie łatwo, w małym pokoiku na dole, aż wszyscy poszli spać. Potem jedna weszła do szafy, a druga została na zewnątrz pokoju Marple. Ta, która przebywała w szafie powiedziała, że gdy z niej wyszła, zobaczyła starszą kobietę siedzącą na łóżku owiniętą różowym, puszystym szalem z zupełnie spokojną twarzą, świergoczącą w najlepsze z potencjalnym zabójcą. Całkowicie je zaszokowała.

— Puszysty, różowy szal — powtórzył Wanstead. — Tak, pamiętam.

— Co pamiętasz?

— Starego Rafiela. Powiedział, że jednej rzeczy nigdy nie zapomni. Kiedyś w Indiach Zachodnich, nagle w nocy wpadła do jego pokoju najśmieszniejsza staruszka, jaką kiedykolwiek spotkał. Otulona puszystym, różowym szalem, kazała mu natychmiast wstać i zrobić coś, aby zapobiec morderstwu. Spytał ją, co sobie u licha wyobraża, budząc go w środku nocy. Odpowiedziała wtedy, że nazywa się: Nemezis. Nie mógł sobie wyobrazić gorszego porównania... Bardzo podoba mi się w dotyku ten różowy szal — powiedział Wanstead. — Naprawdę bardzo.

2

— Michael — powiedział Wanstead. — Chciałbym przedstawić ci panią Jane Marple. Młody człowiek w wieku trzydziestu dwóch lat przyglądał się z powątpiewaniem siwej, schorowanej staruszce.

— No... tak... — powiedział. — Chyba słyszałem o pani. Bardzo dziękuję. — Spojrzał na Wansteda. — Czy to prawda, że mają mnie wypuścić?

— Zwolnienie zostanie niedługo dostarczone. W bardzo krótkim czasie staniesz się znów wolnym człowiekiem.

— Och! — wybąkał Michael niezbyt pewnym głosem.

— Musi się pan przyzwyczaić do tej nowej myśli — powiedziała uprzejmie Marple.

Przyjrzała mu się uważnie. Starła się wyobrazić sobie, jak wyglądał dziesięć lat temu. Ciągle bardzo atrakcyjny. Kiedyś musiał być wesołym, czarującym chłopcem. Może odzyska to w przyszłości. Małe usta, piękne, duże oczy patrzące prosto i szczerze,

użyteczne przy mówieniu różnych kłamstw .których pewnie w jego życiu nie brakowało. Kogo jej przypominał? Jonathana Birkina, oczywiście. Śpiewał w chórze. Cudowny baryton. Dziewczyny za nim szalały. Dostał niezłą pracę jako urzędnik w firmie „Messrs Gabriel”. Szkoda, że tak małą wagę przywiązywał do swoich obowiązków.

— Och! — powiedział Michael z jeszcze większym zakłopotaniem. — Bardzo pani uprzejma. Tyle pani poświęciła czasu.

— Sprawilo mi to duzą przyjemność. Cieszę się, że cię poznałam. Do widzenia. Mam nadzieję, że zaczyna się dla pana Ciekawy okres. Gospodarka naszego kraju nie jest w najlepszym stanie, ale może znajdzie pan dla siebie ciekawą pracę.

— O, tak. Bardzo, bardzo dziękuję. Jestem... jestem naprawdę bardzo wdzięczny — powiedział Michael ciągle niepewnym głosem.

— Powinien być pan wdzięczny nie mnie, lecz swojemu ojcu.

— Tata? Nigdy o mnie nie myślał.

— Umierając twój ojciec zaprzagnął, aby oddano ci sprawiedliwość.

— Sprawiedliwość? — Michael zdawał się rozważać to słowo.

— Tak, dla twojego ojca sprawiedliwość znaczyła bardzo dużo. Wydaje mi się, że sam był uczciwym człowiekiem. W liście, który do mnie napisał z prośbą o podjęcie się tego zadania, zamieścił taki oto cytat:

Niech sprawiedliwość wystąpi jak woda z brzegów

I prawość, jak potok nie wysychający wyleje...

— Czy to Szekspir?

— Nie, to z Biblii. Trzeba się nad tym zastanowić — uczyniłam to. — Marple rozwinęła paczkę, którą trzymała w rękach. — Dali mi to, gdyż myśleli, że może chciałabym zatrzymać. Pomogłam w odnalezieniu prawdy i ujawnieniu tego, co się naprawdę stało. Uważam jednak, że to pan jest osobą, która powinna to mieć. Ale może pan nie chce... Podała mu fotografię Verity Hunt, którą Clotilde pokazała jej w salonie „Starego Dworu”. Wziął ją do ręki i stał tak przez chwilę, wpatrując się w zdjęcie. Rysy jego twarzy złagodniały, potem znowu zaostrzyły się. Marple patrzyła na niego, nic nie mówiąc. Trwali tak w ciszy przez jakiś czas. Wanstead obserwował ich oboje.

Pomyślał wtedy, że ten moment może zaważyć na całym życiu Michaela.

Michael westchnął i oddał zdjęcie Marple.

— Ma pani rację. Nie chcę. To życie już minęło, ona odeszła. Nie może być już razem ze mną. Wszystko, co teraz uczynię musi być nowe. — Zawahał się. — Rozumie pani?

— Tak — odparła Marple. — Wydaje mi się, że ma pan rację. Życzę panu dużo szczęścia. Michael pożegnał się i wyszedł.

— No cóż — powiedział Wanstead. — Niezbyt entuzjastyczny młody człowiek. — Mógłby podziękować pani trochę bardziej serdecznie.

— Rozumiem go doskonale — powiedziała Marple. — Nie oczekiwałam od niego niczego więcej. Czuł się jeszcze bardziej zakłopotany. To bardzo trudne dziękować komuś i zaczynać życie zupełnie na nowo, od końca. Myślę, że powiedzie mu się. Nie jest zgorzkniały. To bardzo ważne. Wiem teraz, dlaczego ta dziewczyna tak go kochała.

— Może kiedyś wróci na dobrą drogę.

— To wątpliwe. Sam raczej sobie nie poradzi, chyba że... znowu spotka jakąś miłą dziewczynę.

3

— Najbardziej podoba mi się w pani to cudownie praktyczne podejście do życia.

— Zaraz tu będzie — powiedział Broadribb do Schustera.

— To wszystko jest bardzo niezwykle, nie uważasz?

— Z początku nie wierzyłem — powiedział Broadribb. — Myślałem, że to wytwór chorego umysłu Rafiela.

Zadzwoił telefon. Schuster podniósł słuchawkę.

— Niech pani ją wprowadzi — powiedział. Zwrócił się do kolegi: — To najdziwniejsza rzecz, jaka spotkała mnie w życiu. Wysłać starszą kobietę w nieznane okolice, aby szukała czegoś, o czym nie ma najmniejszego pojęcia Policja uważa, że tamta kobieta popełniła nie jedno, ale trzy morderstwa. Ciało Verity Hunt zostało znalezione w jej ogrodzie, zgodnie z tym, co powiedziała ta staruszka. Nie uduszono jej i nie zmasakrowano twarzy.

— Dziwię się, że ona sama nie padła ofiarą morderstwa. Nie wyglądała na osobę, która byłaby w stanie sama się obronić.

— Znajdowała się pod ochroną dwóch detektywów.

— Co? Dwóch?

— Tak, nawet o tym nie wiedziałem. Do pokoju wkroczyła Marple.

— Serdeczne gratulacje — powiedział Broadribb wstając, aby ją powitać.

— Najlepsze życzenia. Wspaniała robota — powiedział Schuster, wyciągając rękę. Marple usiadła naprzeciwko nich.

— Jak pisałam w liście — powiedziała — wydaje mi się, że wypełniłam polecenie pana Rafiela. Zrobiłam to, o co mnie prosił.

— Oczywiście. O wszystkim już wiemy. Od pana Wansteada i z wydziału policji. Wspaniała robota. Gratulujemy jeszcze raz.

— Z początku myślałam, że nie podołam — powiedziała Marple. — Wydawało się to bardzo trudne, wręcz niemożliwe.

— Dla nas również. Jak pani to zrobiła, pani Marple?

— Wytrwałością wiele można zdziałać.

— Teraz, jeśli chodzi o pieniądze. Są do pani dyspozycji w każdej chwili. Czy chciałaby pani, żebyśmy je przelali do pani banku, czy też może poradzili jak zainwestować? To duża suma.

— Dwadzieścia tysięcy funtów. Dla mnie to rzeczywiście dużo. To zupełnie niezwykle — dodała.

— Możemy pani polecić zaufanego pośrednika...

— Nie zamierzam inwestować.

— To byłoby bardzo...

— W moim wieku nie ma sensu oszczędzać. Uczynię to, co wydaje mi się, że pan Rafael miał na myśli: Cieszyć się tym, na co nigdy nie było mnie stać.

— Rozumiem więc, że mamy przelać sumę na konto pani banku?

— Middletown's Bank 132 High Street, St. Mary Mead.
— Na rachunek oszczędnościowy?
— Oczywiście, że nie — powiedziała Marple. — Proszę je przelać na rachunek bieżący.
— Chyba nie myśli pani...
— Właśnie tak myślę. Chcę je mieć na rachunku bieżącym.
Wstała i uściśniła sobie ręce.
— Może pani spytać o radę dyrektora banku. Nigdy nie wiadomo, czego możemy potrzebować, gdy nadejdzie deszczowy dzień.
— Jedyną rzeczą, jaką będę potrzebować w taki dzień, jest parasol.
Jeszcze raz uściśniła sobie ręce.
— Bardzo dziękuję panu, panie Broadribb i panu, panie Schuster. Byli panowie bardzo uprzejmi.
— Naprawdę chce pani mieć te pieniądze na rachunku bieżącym?
— Tak — powiedziała Marple. — Zamierzam je wydać i dobrze się zabawić.
W drzwiach odwróciła się i zaśmiała. Przez krótki moment pan Schuster, obdarzony większą wyobraźnią niż Broadribb, ujrzał nagle zamiast Marple, młodą piękną dziewczynę na dużym przyjęciu w ogrodzie. Uświadomił sobie, że jest to jego wspomnienie z młodości. Przez chwilę Marple przypomniała mu młodą, cieszącą się życiem dziewczynę.
— Pan Rafiel z pewnością chciał, żebym się dobrze bawiła — powiedziała Marple i wyszła.
— Nemezis — rzekł Broadribb. — Tak nazwał ją Rafiel. Pasuje do niej każde określenie, tylko nie to. To był pewnie jeden z licznych dowcipów Rafiela.
Schuster potrząsnął głową.
* ang. knight — konik, bishop — goniec (przyp. tłum.)
* gra słów: ang. castle — wieża, rook — wieża lub oszukiwać (przyp. tłum.).
* Biblia Tysiąclecia, Am 5,24 (przyp. tłum.).